

# KULTURA

*Szkice • Opowiadania • Sprawozdania*

PARYŻ

Nr 14

1948

---



J. TOROSIEWICZ — Thomas Stearns Eliot ★ P. HOSTOWIEC  
— Stanisław Mackiewicz o Dostojewskim i kilka uwag o biografiach  
literackich ★ D. HALEVY — Stulecie rewolucji 1848 ★ T. KO-  
MARNICKI — Prawo norymberskie ♦ C. DAY LEWIS — Obraz  
poetycki (c.d.) ♦ *ARKUSZE POETYCKIE* ♦ H. NAGLEROWA  
— Czerwona Linia ♦ *SPRAWY I TROSKI*: M. BRZEZIŃSKI  
— Kompleksy D.P. ★ J. R. — Uchodźcy wojenni ♦ *NAJNOWSZA  
HISTORIA POLSKI*: Z. NAGÓRSKI, jr. — Londyńskie lata ♦  
KRONIKA KULTURALNA ♦ KSIĄŻKI.



## SPIS RZECZY

Jan Torosiewicz:	<i>Thomas Stearns Eliot</i> .....	3
Thomas Stearns Eliot:	<i>Sroda popielcowa</i> .....	8
Thomas Stearns Eliot:	<i>Chór IX z „The Rock”</i> .....	9
Paweł Hostowiec:	<i>Stanisław Mackiewicz o Dostojewskim i kilka uwag o biografjach literackich</i> .....	11
Daniel Halévy:	<i>Stulecie rewolucji 1848</i> .....	22
Tytus Komarnicki:	<i>Prawo norymberskie</i> .....	31
◆		
Cecil Day Lewis:	<i>Obraz poetycki (d.c.)</i> .....	45
ARKUSZE POETYCKIE		
Marian Tuczyński:	<i>Ballada październikowa</i> .....	61
Marian Czuchnowski:	<i>Obudzenie wody</i> .....	63
Marian Czuchnowski:	<i>Zapalniczka</i> .....	64
Marian Czuchnowski:	<i>Mało</i> .....	64
Marian Czuchnowski:	<i>Na nocnym stoliku</i> .....	65
Marian Czuchnowski:	<i>O pierścionku</i> .....	65
Marian Czuchnowski:	<i>Z okna</i> .....	66
Wacław Iwaniuk:	<i>Śpiew róży</i> .....	66
Wacław Iwaniuk:	<i>Do autora „Ballady z tamtej strony”</i> .....	67
Wacław Iwaniuk:	<i>Koncert</i> .....	67
Wacław Iwaniuk:	<i>W zieleni</i> .....	68
◆		
Herminia Naglerowa:	<i>Czerwona Linia</i> .....	69
SPRAWY I TROSKI		
M. Brzeziński:	<i>Kompleksy D.P.</i> .....	87
J. R.:	<i>Uchodźcy wojenni</i> .....	96
NAJNOWSZA HISTORIA POLSKI		
Zygmunt Nagórski, jr.:	<i>Londyńskie lata</i> .....	123
KRONIKA KULTURALNA		
Kazimierz Romanowicz:	<i>Księgarnia na emigracji</i> .....	141
KSIĄŻKI		
Hanna i Jerzy Lerscy:	<i>Powieść historyczna</i> .....	148
Herminia Naglerowa:	<i>Sprawa Wacława Grubińskiego</i> .....	156
Władysław Pobóg-Malinowski:	<i>Dłużej klasztoru niż przeora</i> ...	160

Wydawca: EDITION ET LIBRAIRIE « LIBELLA »  
12, rue St-Louis en l'Île, Paris (IV<sup>e</sup>)

# KULTURA

*Szkice • Opowiadania • Sprawozdania*

PARYŻ

Nr 14

1948

INSTITUT



LITERACKI



KULTURA

Sciezka i Spis treści • Spis treści

1948

PARYZ

ZAMIĄST ŻYCZEŃ ŚWIĄTECZNYCH  
I NOWOROCZNYCH

Współpracownicy „Kultury” składają na ręce Polskiej Misji  
Katolickiej w Paryżu 3.000 frs. fr. na pomoc dla studentów  
polskich we Francji.

PRINTED IN FRANCE

Imprimerie de la S. N. I. E., 32, rue de Ménilmontant — Paris (20<sup>e</sup>)

## Thomas Stearns Eliot

Laureat Nobla na rok 1948, T. S. Eliot, obchodził przed paru miesiącami sześćdziesiątą rocznicę urodzin. Ten czołowy poeta angielski jest z urodzenia i wychowania Amerykaninem ze stanu Missouri i to z rodziny — jak na Amerykę — osiadłej tam od dawien dawna. Jeden z jego przodków Andrew Eliot osiedlił się bowiem w Ameryce już w roku 1670. Wśród jego przodków większość byli to kupcy w Bostonie, mieście które rozpoczęło rewolucję amerykańską zatopieniem owych siatek z herbatą, a które obecnie jest siedzibą najstarszej i najdumniejszej arystokracji kupieckiej Stanów. Dziadek poety jednak był jednym z współzałożycieli uniwersytetu w Waszyngtonie, a matka posiadała znaczny talent literacki, jedna z tych wielu matek XIX wieku, które nie mając możliwości rozwinięcia swych talentów w purytańsko-patriarchalnej atmosferze stulecia, przekazały je jako spadek swym synom.

Eliot skończył następnie czołowy uniwersytet Stanów — Harvard (który kończą wszyscy młodzi synowie arystokratycznych domów Bostonu), spędził jeszcze rok w Oxford i rok na Sorbonie (1910), gdzie był lektorem. Wróciwszy do Stanów poświęcił jeszcze trzy lata na naukę filologii, logiki i sanskrytu w Harvard, by następnie udać się do Niemiec i przybyć przed samą wojną do Anglii.

W roku 1915 żeni się i osiedla się na stałe w Londynie, ucząc początkowo — bardzo anglosaska kombinacja — francuskiego i gry w piłkę, a potem pracując w banku w londyńskim City. Pierwszy zbiór jego poezji ukazał się w roku 1917, a jego czołowy poemat — *Ziemia Jutowa* — w roku 1922. W pięć lat później poeta przyjął obywatelstwo brytyjskie, pracując jako redaktor czasopisma literackiego „Criterion”, a następnie jako kierownik „Faber and Faber”, firmy wydawniczej odznaczającej się dbałością nie tylko o szatę wewnętrzną wydawanych książek, lecz także o ich jakość.

Kiedy Eliot zaczął swą działalność poetycką oburzeni krytycy nazywali go „bolszewikiem literatury” (były to czasy — gdy słowo „bolszewik” było jeszcze używane w Anglii jako obelga). Gdy on sam definiował swe stanowisko w roku 1928, to powiedział o sobie: „Jestem klasycystą w poezji, anglo-katolikiem w religii i rojalistą w polityce”.







w wielu wypadkach, by porównując przeszłość i teraźniejszość pokazać beznadziejny (w znaczeniu: pozbawiony nadziei) bezsens tej teraźniejszości; tak jak nawiązując do współczesnego Szekspirowi Spensera umieszcza on pieśń trzech (niby nimf) cór Tamizy, urzędniczek czy robotnic londyńskich, uwiedzionych (o ile można tu użyć tak wzniosłego słowa) nad Tamizą.

Ten obraz życia bez nadziei, życia dzisiejszej wielkomiejskiej cywilizacji w „*Ziemi Jałowej*” sprawił, że niektórzy krytycy nazwali ten poemat „Piekłem” Eliota. Tylko, że eliotowskie „Inferno” kończy się słowami Upaniszad: „Szantih, szantih, szantih”, co oznacza „pokój, który przechodzi wszelkie pojęcie” i że po nim następuje pierwszy utwór o motywach bezpośrednio już religijnych: *Sroda Popielcowa*, którą musielibyśmy nazwać „Czyśćcem”. Jest nim ona w pewnym sensie:

...I modlić się do Boga, by zmiłował się nad nami  
I modłę się, bym mógł zapomnieć  
Te rzeczy, które sam ze sobą zbyt wiele rozważam  
Wyjaśniam za wiele.

Niech te słowa odpowiedzą  
Za to co się stało, co się jeszcze raz nie stanie  
Niech sąd nad nami nie będzie zbyt surowy

Módl się za nami grzesznymi teraz i w godzinę śmierci naszej  
Módl się za nami teraz i w godzinę śmierci naszej.

Po modlitwie błagalnej pierwszej części następuje część druga, moglibyśmy powiedzieć — pokutnicza, pełna pokory.

*Pani, trzy białe lamparty siedziały pod drzewem jałowca*<sup>1)</sup>

A część trzecia poematu jest opisem pielgrzymki, wznoszenia się z piętra na piętro (metafora jak widzimy współczesna) i walki z „demonem schodów” o złudnej twarzy „nadziei i rozpacz”, by osiągnąć wreszcie „siłę poza nadzieją i rozpaczą”. I poemat kończy się modlitwą:

Błogosławiona siostrzo, święta matko, duchu fontanny, duchu  
Logrodu,

1) Pełny przekład tej części na str. 8.

Nie pozwól nam nieprawdą z siebie samych sztydzić  
Naucz nas się przejmować i nie przejmować  
Naucz nas być w spoczynku  
Nawet wśród tych skał,  
Pokój nasz w woli Jego  
I nawet wśród tych skał  
Siostrzo, matko  
I duchu rzeki, duchu morza  
Nie pozwól, abym się oddzielił

A wołanie moje niech do Ciebie przyjdzie.

Dla czytelnika polskiego to wszystko może zakrawać raczej na bluźnierstwo niż na wiersz religijny. Jesteśmy przyzwyczajeni w poezji religijnej do wierszy sentymentalnych (Karpiński: „*Kiedy ranne wstają zorze...*”), w najlepszym razie patetyczno-wzniosłych (Słowacki, Wyspiański), reżorycznych. Myślę, że i przeciętnego Anglika te lamparty, spokojnie spożywające bohatera utworu, nieco zaskakują. Ale to właśnie jest metoda Eliota (i każdego wielkiego poety) — oświetlić przez zaskoczenie, przez niespodziewane skojarzenie, ta sama metoda, co przy cytatach w *Ziemi Jałowej*. A przy tym — zwrócił mi na to uwagę p. Gillie, któremu chciałbym tu podziękować za nieocenioną pomoc w choć częściowym zrozumieniu tekstu Eliota — jest w tych spożywanach nogach i gałkach ocznych wyraźny element humoru (humoru, powiedzielibyśmy po polsku, «wisielczego»), i to jest bardzo angielskie (gdzie indziej odważyłby się kto na humor we wierszu religijnym?).

Następne utwory poety będą jeszcze bardziej religijne, jak *Mord w Katedrze*, dramat wystawiany niedawno także w Paryżu, a będący apoteozą męczeństwa biskupa Tomasza à Becket, odpowiednika naszego Stanisława Szczepanowskiego, gdzie wyraźnie postawiona jest kwestia podwójnej dojałności: Kościół czy Państwo. Załamania się kapitalistycznej i materialistycznej koncepcji społeczeństwa omawia Eliot-krytyk w swym *Idea of a Christian Society*, a Eliot-poeta ponownie w *The Rock*, gdzie tak mówi w jednym z chórów:

Królik norę wykopie i głóg powróci,  
Pokrzywa rozpanoszy się na zwirowanym placu,  
I wiatr powie: „Tu byli przywoici ludzie bez Boga;  
Ich jedynym pomnikiem asfaltowa szosa  
I tysiąc zagubionych piłeczek golfowych”.

Eliot jest pilnym uczniem i entuzjastą Dantego (mówi o sobie, że w życiu udało mu się wszystkiego napisać kilka tylko dantejskich tercyn, tak to jest trudne, a i te tercyny były „niby słoma” przy najgorszych tercynach Dantego), jest on też autorem bardzo wnikliwego i skromnego essay'u o Dancie, gdzie stara się zbliżyć człowiekowi współczesnemu nie tylko „Piekło”, które



jest mu może najbliższe, ale właśnie „Raj”. Czy i kiedy będziemy mogli przeczytać eliotowski odpowiednik „Raju”, nie wiemy. Wiadomo, że zajęty on jest teraz pracą nad nowym dramatem. Jedno jest pewne, jest on jedynym poetą tej starganej i rozerwanej wewnętrznie epoki, od którego możemy oczekiwać takiego utworu.

Jan TOROSIEWICZ.

## Środa Popielcowa

### II.

Pani, trzy białe lamparty siedziały pod drzewem jałowca  
W chłodzie dnia, nakarmiwszy się do sytości  
Moim sercem, nogami, wątroba i tym co było zawarte  
W pustym kręgu mej cząstki. I rzekł Bóg  
Czy będą te kości żyły? czy będą  
Te kości żyły? A to co było zawarte  
W kościach (już wyschłych) odrzekło ćwierkając:  
Dla dobroci tej Pani  
I dla jej piękności i dlatego, że  
Czcisz Najświętszą Pannę w rozmyślaniu,  
Lśnimy od blasku. I ja który jestem tu rozłożony na części  
Oddaję me czynny zapomnieniu, a miłość moją  
Potomstwa pustyni i owocu arbuza.  
To ona sens przywraca  
Mym trzewiom gątkom mych oczu i częściom niestrawnym  
Które odrzucają lamparty. Pani odeszła  
W szatę białą odziana, na kontemplację, w szatę białą odziana.  
Niech kości białe odpokutują aż po niepamięć,  
Nie ma w nich życia. Jak ja jestem zapomniany  
I pragnę być zapomniany, tak pragnę zapomnieć  
Z takim oddaniem, skupiony w celu. I Bóg rzekł  
Prorokuj wiatrowi, wiatrowi tylko bo tylko  
Wiatr słuchać będzie. A kości śpiewały ćwierkając  
Refren pasikonika, mówiąc

Pani milczeń  
Spokojna i znękana  
Rozdarta i najbardziej cała  
Różo pamięci  
Różo zapomnienia  
Wyczerpana i życiodajna  
Zatroskana pełna pokoju  
Ta jedyna Róża  
Jest dziś Ogrodem

Gdzie kres wszelkim miłościom  
Zakończ torturę  
Miłości niezaspokojonej  
Więszą torturę  
Miłości zaspokojonej  
Kresie bezkresnej  
Wędrowki bez kresu  
Zakończenie wszystkiego co  
Nie do zakończenia  
Mowo bez słowa i  
Słowo bez mowy  
Matce niech będą dzięki  
Za ten Ogród  
Gdzie kres wszelkiej miłości

Pod drzewem jałowca kości śpiewały, rozrzucone i lśniące  
Cieszymy się, żeśmy rozrzucone, niewiele dobrego  
[wyrządziłyśmy sobie,  
Pod drzewem w chłodzie dnia, z błogostawieństwem piasku,  
Zapominając o sobie samych i jedna o drugiej, złączone  
W spokoju pustyni. Oto jest ziemia, o którą  
Rzucicie los. A podziat i jedność  
Są nieważne. Oto jest ziemia. Mamy nasze dziedzictwo.

Przełożył Jan Torosiewicz.

## Chór IX z „The Rock”

Synu Człowieka, oglądaj własnymi oczyma i słuchaj  
[własnymi uszami  
I serce swe zwróć ku wszystkiemu co ci pokaże.  
Któż to powiedział: Dom Boży jest Domem Smutku;  
Musimy kroczyć w żatobie i chodzić posepni, z wydużonymi  
[twarzami,  
Musimy chodzić między pustymi ścianami, trzęsąc się podle,  
[szepcząc bezgłośnie,  
Wśród kilku drżących rozrzuconych świateł?  
Chcielibyśmy złożyć swój własny smutek na BOGA, żal, który czuć  
[powinni  
Za swe grzechy i błędy, gdy chodzą za swymi codziennymi  
[sprawami.  
A jednak chodzą po ulicach z dumnym karkiem, jak konie  
[rasowe przed wyścigiem.  
Zdobiąc się, krzątając na rynku, na forum,  
I na innych świeckich zebraniach.



Myśląc dobrze o sobie, gotowi na każde świętowanie,  
 Bawiąc się znakomicie.  
 A my oddajmy się żałobie w oddzielnej komnacie, poznając  
 I drogę pokuty,  
 A potem nauczymy się radosnego świętych obcowania.

Dusza Człowieka musi stać się żywa na tworzenie.  
 Z bezkształtnego kamienia, gdy artysta stał się jedno z  
 [kamieniem,  
 Wytryskają wciąż nowe formy życia, z duszy człowieka, co  
 [połączona jest z duszą kamienia;  
 Z nic nie znaczących praktycznych kształtów uszystkiego, co  
 [żywe lub bez życia  
 Połączonych z okiem artysty, — nowe życie, nowa forma, nowy  
 [kolor.  
 Z morza dźwięków — życie muzyki,  
 Z lepkiego błota słów, z mokrego śniegu i gradu słów  
 [nieprecyzyjnych,  
 Przybliżonych myśli i uczuć, słów, co zajęły miejsce myśli i  
 [uczuć,  
 Wytryska doskonały ład mowy i piękno zaklęcia.

PANIE, czy nie zaniemiemy tych darów na służbę Tobie?  
 Czy nie zaniemiemy Tobie na służbę wszystkich naszych sił  
 Dla życia, godności, wdzięku i ładu,  
 I przyjemności intelektualnych naszych zmysłów?  
 PAN, który stworzył, musi pragnąć, byśmy tworzyli  
 I tworzenie nasze znów dawali na Jego służbę,  
 Które jest już Jego służbą gdy tworzymy.  
 Bo w Człowieku połączone jest ciało z duchem.  
 A więc musi on służyć jako duch i ciało.  
 Widzialne i niewidzialne, dwa światy stykają się w Człowieku;  
 Widzialne i niewidzialne muszą spotkać się w Jego świątyni.  
 Nie wolno nam zaprzeczyć się ciału.

Teraz ujrzycie jak Świątynia będzie ukończona:  
 Po długim wysiłku, po wielu przeszkodach;  
 Bo dzieło tworzenia nigdy nie jest bez męki;  
 Uformowany kamień, widzialny krucyfiks,  
 Przystrojony ołtarz, światło wznoszące,

Swiatło

Swiatło

Widzialne przypomnienie o Niewidzialnym Świacie.

## Stanisław Mackiewicz o Dostojewskim oraz kilka uwag o biografiach literackich

### 1

Leżąca przede mną książka Stanisława Mackiewicza o Dostojewskim \*) przypomina mi następującą rozmowę z D. W. Fiksofowem:

Okolo 1933, z okazji założenia w Warszawie nowego klubu literackiego, robiliśmy przegląd tematów rosyjskich mogących interesować zebraną w tym klubie grupę osób. Było to w krótkim czasie po 50-ej rocznicy śmierci Dostojewskiego, celebrowanej także przez nielicznych polskich rusycystów, wymieniłem więc parę tematów związanych z tym autorem. Kiedyśmy doszli do tego punktu, Dmitrij Władimirowicz przemówił mniej więcej w te słowa:

— Jeżeli chodzi o mój gust osobisty, ten temat zostawiłbym najchętniej w spokoju. Dostojewskiego czytaliśmy w naszych czasach gimnazjalnych i spędziliśmy nad nim niejedną bezsenną noc. Dla naszego pokolenia to wystarczy. Ze względów higienicznych wolałbym do tego nie wracać. Niech się nim teraz zajmują Francuzi, Niemcy, niech badają, zgłębiają, dociekają...

Dla D. W. Fiksofowa Dostojewski należał do zakresu zwanego przezeń *Cuir de Russie*, to jest do rzeczy, które dla nas mają zapach juchtu i rohoży, zaś dla Francuzów stanowią najbardziej wyszukaną perfumę.

Przez pół wieku Dostojewski stanowił ulubioną lekturę elity czytelników Zachodu. Wpływ jego był niemały. Od dwudziestu lat połowa przynajmniej modnych powieściopisarzy francuskich i niemieckich wydaje — z przodu lub z tyłu — dyskretny zapach *cuir de Russie*.

Czas, aby zajęli się nim także Anglicy, którzy zostali nieco w tyle za wielką modą literacką. Ich elita umysłowa jest już

1) Stanisław Mackiewicz: *Dostoyevsky*, Orbis Ltd., London 1947.



skądinąd bardzo chłonna na wszystkie nowinki rosyjskie. Czekają jeszcze dwadzieścia lat niedawno zawartego aliansu z Rosją. Czas więc najwyższy, aby zajęli się na serio Dostojewskim.

Pomysł Stanisława Mackiewicza napisania o Dostojewskim książki dla Anglików jest zajmujący, zwawy, figlarny. Książkę jego otwieramy z zainteresowaniem.

## 2

*Per genus proximum et differentiam specificam* opisalibyśmy studium Mackiewicza jako biografię literacką obecnego schyłkowego okresu, napisaną z wielkim talentem, barwnie i zajmująco.

Zarówno udatność tego studium jak i jego przedmiot budzą różne refleksje o stanie obecnym tego rodzaju literackiego.

Życiorys pisarza stoi — niby na dwóch nogach — na dwóch zasadniczych dla całego rodzaju przesłankach. Pierwszą jest pojęcie rangi wielkiego pisarza, którą od najdawniejszych czasów uważano za równą randze najślawniejszych bohaterów cywilnych i wojskowych. Już w starożytności klasycznej życiorys sławnego pisarza przekracza znacznie ramy komentarza historycznego zawierającego wiadomości użyteczne dla zrozumienia tekstów. W tej klasie osób każdy szczegół biograficzny przybiera rozmiar faktu historycznego o nieobliczalnej wadze i konsekwencjach. Dla tej przyczyny biografowie uznali za stosowne przekazać potomności także szczegóły nie mające nic wspólnego z twórczością pisarza. Tak więc, na przykład, od Diogeneśa Laërtiosa dowiadujemy się, że Arystoteles zbierał gliniane garnki i nosił na żołądku pod ubraniem skórzany worek z ciepłą oliwą. Z Plutarcha wiemy, że Cycéron mówiąc dotykał brody lewą dłonią. Te i inne malownicze szczegóły przeszły do historii razem z nosem Kleopatry, kamieniem w pęcherzu Cromwella, fistułą Ludwika XIV i chorą przesadką mózgową Napoleona.

Tradycyjne pojęcie rangi pisarza zostało rozwinięte i uzupełnione w okresie romantyzmu, kiedy zwrócono uwagę na zapoznaną przedtem oryginalność i — jak wówczas mówiono — personalność twórczości artystycznej. Schopenhauer sądził, że podziw dla dzieła sztuki sprowadza się do podziwu dla jego twórcy. Kiedy Słowacki pisał o Beniowskim:

*Twoje koszule potną na szkaplerze,  
A list twój każdy, choćby to był tylko  
Do ekonomy list albo przymierze  
Miłości wiecznej z Andzią lub Marylką,  
Sawantka łzami rzewnymi wypierze  
I w sztambuch wklei albo wepnie szpilką,  
A twa peruka — jeśliś miał perukę —  
Frenologistów podeprze naukę,*

mylił się tylko co do przedmiotu nowego bałwochwalstwa. Be-

niowski pozostał zapoznany, opisany zaś w tej wspaniałej okta- wie los spotkał samego Słowackiego i innych poetów romantycznych.

Drugą wielką przesłankę biografii literackiej sformułowali — już w wieku historycyzm — pozytywści, dla których twórczość pisarza wiązała się organicznie ze środowiskiem społecznym i historycznym. Przygody osobiste pisarza były dla nich miejscem zetknięcia się ze środowiskiem. Tam należało szukać sekretu jedności geniusza i smaku, stawania się historycznego i twórczości artystycznej.

Z tych dwóch wielkich przesłanek, wśród wirów, jakie powstały z ich częściowej przeciwstawności, wyrosła bogata twórczość biograficzna XIX i początków XX wieku. Do biografii właściwej dołączyła się mrówcza praca kilku pokoleń erudytów, którzy zgromadzili nieprzejrzaną masę materiałów, przyczynków, dokumentów. Każdy z nich wydawał się malowniczy, istotny, rzucający jakieś nowe światło na osobę kwalifikującą się na przedmiot biografii literackiej.

Każdy rodzaj literacki zdaje się w sobie samym zawierać zadatki swego przyszłego kryzysu i upadku. Już samo narastanie materiału dokumentarnego i krytycyzmu związanego z jego opracowaniem stawia często biografę wobec niepokonanych trudności. Materiały dotyczące Stendhala, Goethego i Flauberta łatwiej jest dziś ułożyć w formie opracowań encyklopedycznych niż w formie biografii literackiej.

## 3

Obok trudności powstałych z ewolucji wewnętrznej rzemiosła biograficznego, temu rodzajowi literackiemu zaczęły zagrażać inne niebezpieczeństwa. Nasze pokolenie było świadkiem wykruśzania się zasadniczych przesłanek pojęciowych, na których od wieków opierała się biografia literacka.

Piszący te słowa chciałby poruszyć tu pytanie bardzo niewdzięczne i drażliwe, lecz istotne dla rodzaju biograficznego, a być może i dla całej literatury współczesnej.

Czytając biografie pisarzy w randze Herkulesa lub Aleksandra Macedońskiego — jak np. życiorys La Fontaine'a pióra Giraudoux, aby wymienić ostatni z brzegu — trudno opędzić się pytaniu, czy takie pojęcie o randze pisarza da się utrzymać w państwie nowożytnym, demokratycznie czy hierarchicznie totalitarnym, przenikniętym od góry do dołu utylitarną moralnością obłądanego miasta.

Czytamy u Saint-Simona, że Ludwik XIV przestał zapraszać Racine'a, kiedy ten w chwili roztargnienia odezwał się przy nim niepoehlebnie o Scarronie, pierwszym mężu pani de Maintenon. Scena ta — zresztą okrutna i godna pióra Dostojewskiego — nie budzi w czytelniku podejrzenia o niższości rangi wielkiego pisarza. Po prostu zakresy władzy znakomitego poety i równie znakomitego króla były zasadniczo odmienne, oparte na różnych



konwenansach, co przy zetknięciu osobistym mogło powodować przykre incydenty.

Inna jest sytuacja pisarza w państwie nowożytnym, którego organizacja nie przewiduje ani miejsca ani czasu na budowę wież z kości słoniowej. Pisarz nie stoi dziś na marginesie organizacji społecznej. Od czasu wytepienia Cyganów i zamknięcia emigrantów w obozach koncentracyjnych, w Europie nie ma w ogóle takich marginesów. Autor tych słów stoi na ostatnim skrawku takiej cygańskiej wyspy i widzi ziemię szybko kurczącą się pod jego stopami. Moralność pragmatyczna przenika od góry do dołu wszystkie warstwy społeczne. Przed pisarzem — jak przed innym obywatelem — stoi na każdym progu Arakczejew z ołowianym spojrzeniem i pytaniem „Zacziem?” na ustach.

W tych warunkach nie ma być może w ogóle miejsca na literaturę. W niektórych krajach znikło też niemal wszelkie godne uwagi piśmiennictwo. Literaci okazali większą odporność. Przeważna część ich żyje i prosperuje nawet tam, gdzie nie ma więcej literatury. W zetknięciu z władzami nie okazują roztargnienia, jakim grzeszył Jean Racine, i wielu z nich dało nawet dowody niezwykłej przytomności umysłu. Takie rzeczy widywano zresztą i przedtem. Ausonius, nadworny poeta schyłkowych cesarzy Walentyniana II i Gracjana, zdobył pisaniem dostosowanych do okoliczności wierszy więcej pieniędzy i honorów — był nawet konsulem — niż Horacy, Owidiusz i Wirgiliusz razem wzięci.

W ustroju dyktatury totalitarnej, rangę przedmiotu klasycznej biografii posiada tylko jedna osoba, będąca personifikacją i symbolem obłożonego ze wszystkich stron mrowiska. I tej jednak nadludzkiej postaci brak konsystencji biograficznej. Jako wszechmocny, dyktator staje się identyczny z przeznaczeniem i nie posiada historii w rozmiarze ludzkim. Jako geniusz uniwersalny, łączący w sobie atrybuty wszystkich rodzajów genialności, nie posiada rysów indywidualnych. Wraz z deifikacją cesarzy rzymskich, ich biografie skurczyły się do pół strony. W razie utrwalenia dyktatury w obecnym okresie, ten sam los czeka zapewne życiorysy mocarzy czasów najnowszych.

Z chwilą gdy najwyżsi olimpijczycy nowożytnego państwa ulegli depersonalizacji i niwelacji, co można powiedzieć o innych mieszkańcach obłożonego miasta? **Humiliores** — jak ich nazywali nasi przodkowie — mogliby co najwyżej dostarczyć tematu do „żywotów mrówek” lub — jak proponuje Sałtykow-Szczedrin — „życiorysów wybitniejszych małp”. **Ils naquirent, ils souffrirent, ils mourirent** — to jest zapewne wszystko co się da o nich powiedzieć.

Mylne byłoby sądzić, że zmniejszenie formatu pisarza jako przedmiotu biografii jest zjawiskiem lokalnym, ograniczonym do krajów totalitarnych lub okupowanych. Wolność od okupacji jest dziś w Europie tylko faktycznym stanem tymczasowym, nie upoważniającym do wniosków natury zasadniczej. Towarzyszą-

cy mu we dnie i w nocy strach przed torturą i deportacją jest dziś specyficznym atrybutem Europejczyka, odróżniającym go od mieszkańców innych kontynentów. Literaci krajów zachodnich nie zdawali jeszcze agzeminu przed sędzią śledczym, lecz niesławny wynik tego egzaminu jest wszystkim z góry wiadomy.

W oczach naszego pokolenia wykruszyła się też druga przesłanka pojęciowa dawniejszych biografii, mianowicie obraz człowieka jako spadkobiercy długich procesów selekcji i przystosowania oraz jako przedstawiciela formacji historycznych. Większość naszych współczesnych widzi siebie i swych towarzyszy w postaci plastycznego tworzywa i nie wątpi, że — w naszej dobie eksperymentów społecznych — przy pomocy przymusu i reedukacji można by z nas wszystkich łatwo zrobić coś innego niż to, czym jesteśmy obecnie. W tej perspektywie ogólnej formacja osobista pisarza wydaje się czymś przypadkowym, nieistotnym, co nie może budzić głębszego zainteresowania ani służyć za przedmiot wielotomowych studiów.

Ruina pojęć, na których od wieków opierały się biografie pisarzy, i oswajanie się naszych współczesnych z nowym miejscem w kosmosie i własnym społeczeństwie trwają już od paru dziesiątków lat. Pierwszym symptomem tego osuwania się było pojawienie się tzw. obrazowiaczy. Żywoty pisarzy w randze Karola Wielkiego i Napoleona musiały wydawać się naszemu pokoleniu mocno przesadzone, skoro cała falanga obrazowiaczy, dekrustatorów i ich czytelników odczuła potrzebę sprowadzenia wczorajszych półbogów do rangi skromnych śmiertelników.

Wiele rysów wynikłych z tej ewolucji odnajdziemy w książce Mackiewicza.

#### 4

Zrzuciwszy znaczną część swego balastu pojęciowego i metodologicznego, historia literacka przybrała w znacznej części charakter panoramiczny, wzorując się na lżejszej połowie tego, co nazywa się dziś historią kultury. Ten ostatni rodzaj literacki osiągnął ogromną popularność. Na stołach księgarskich piętrzą się dziesiątki przeważnie świetnie ilustrowanych tomów, opisujących lekkim piórem bądź dwory renesansowe, bądź obyczaje Regencji czy Drugiego Cesarstwa, bądź czasy wiktoriańskie czy jakiś inny malowniczy i bogaty w anegdoty okres historii.

Na tym dekoracyjnym tle biograf dzisiejszy ustawia swego bohatera, traktując go też jako materiał plastyczny i — czerpiąc z zasobów nagromadzonych przez erudyty — lepi zeń mniej lub więcej nową i oryginalną postać. Niektóre z tych tworów przypominają dzieła opisanego w „Gogu” przez Papińskiego rzeźbiarza, który zręcznymi ruchami rąk nadawał kształty ludzkie wznoszącemu się przed nim słupowi dymu.

Zainteresowanie czytelnika przesunęło się w naszym pokoleniu z przedmiotu biografii na jej autora, na jego wirtuozerie



formotwórczą, lekkość ręki i to, co Edmond de Goncourt nazywa „écriture artiste”.

## 5

Książka Mackiewicza posiada wszystkie zalety naszego schyłkowego rodzaju biografii: doskonałą kompozycję, lekkość w wyborze dokumentacji, suetoniuszowskie operowanie drastycznym szczegółem, zwartość i błyskotliwość pisma. Chętniej oczywiście czytaliśmy ją w oryginale, to jest w pięknej polszczyźnie kresowej, która zdaje się być dziś niemal wyłącznym przywilejem autora.

Rozporządzając ogromnym materiałem pisany własną ręką ich bohatera, autorzy biografii ulegają często pokusie odtworzenia go niejako od wewnątrz, od strony domniemyanych przeżyć i wrażeń. Mackiewicz oparł się tej pokusie. Jego Dostojewski opisany jest metodą „behaviourystyczną”, od strony zachowania się, widziany w świetle dokumentów i relacji różnych osób. Ta okoliczność nadaje jego postaci wypukłość rzeźby, którą można obejść dokoła.

Niby na starym dagerotypie, widzimy Dostojewskiego w malowniczej grupie rówieśników, konspiratorów, pisarzy, przyjaciół i protektorów, z których każdy posiada własną indywidualność. Do pewnego stopnia książka Mackiewicza jest wizerunkiem całego pokolenia.

Wszystkie te zalety formalne pozwalają tym wyraźniej dostrzec zmianę perspektywy, z jakiej widzieliśmy Dostojewskiego w naszej młodości i dziś. Zresztą nie wszyscy zapewne czytelnicy odbyli tę samą drogę i oddalili się od pierwszego wrażenia w tym samym kierunku.

Od czasów Arturo Grafa, T. F. Zielińskiego (*Cicero im Wandel der Jahrhunderte*) i W. Gundolfa oswoliliśmy się już z ciągłym przesuwaniem się punktu widzenia czytelnika. Starych autorów każde pokolenie odkrywa niemal na nowo, wychodząc z nowych zainteresowań. W biografiach literackich tylko dokumenty pozostają mniej więcej te same. Ich wybór, układ i interpretacja naginają się do zagadnień aktualnych dla danego pokolenia.

Mackiewicz i jego równieśnicy z zaboru rosyjskiego czytali Dostojewskiego po raz pierwszy na tle niemal tego samego pejzażu, na którym rozgrywa się akcja głównych jego powieści: w ciemnych blokach mieszkaniowych, wśród zaśnieżonych ulic, kobiet o głowach zawiniętych w wełniane chustki i sanek z brzęczącymi przy uprząży dzwonkami. Od tamtych dni minęło dla nich 20 lat w Polsce niepodległej i 8 lat spędzonych bądź pod okupacjami, bądź na Zachodzie, w Paryżu i „Londyniszczu”. Dystans czasów i wypadków ogromny.

Nie wszystkie części obrazu namalowanego przez Mackiewicza uległy w jednakowym stopniu procesom oddalenia i rewizji. Najmniej może zasadniczych retuszów wykazuje główny bohater, trochę bardziej *salonfähig*, niż o tym tradycyjnie było wia-

domo. Więcej zmian widać w traktowaniu jego rówieśników, których autor nagina do głównego bohatera. Prowadzi go to ubocznie do rewizji mity inteligencji rosyjskiej, który dotąd stanowił jedną z podstaw historii literackiej tego okresu.

Mit o niezależnej inteligencji był zjawiskiem wschodnio-europejskim. Zachód używał terminu „inteligencja” w cudzysłowie, jako obcego pojęcia, zaczerpniętego z folkloru słowiańskiego. Aby ocenić różnicę dzielącą na tym punkcie Wschód i Zachód, bardzo użyteczne jest przejrzeć na nowo głośną niegdyś rozprawę C. Maurrasa z 1909 pt. *L'avenir de l'intelligence*. W książce tej teoretyk rojalizmu francuskiego znajduje dla literatów — o ile nie chcą spaść na dno i utracić reszty szacunku w społeczeństwie — tylko jedną radę: służyć interesom armii i kleru. Ówczesni literaci warszawscy, petersburscy, a nawet wileńscy i berdyczowscy poczuliby się taką propozycją dotknięci na honorze. Spory o Sienkiewicza zahaczały się częściowo o te ambicje i wrażliwości.

Dla czytelnika polskiego ta strona książki warta jest osobnego rozpatrzenia.

## 6

Pokolenie wychowane w Rosji za panowania Mikołaja I — w czasach kantonistów, zsyłek i leszczynowych *Spitzruten* — wydało sławną rosyjską inteligencję, przejętą ideami liberalnymi i humanitarnymi i pretendującą do posiadania sądu niezależnego od władz i ustalonego przez nie porządku. Zasięg tej grupy społecznej był nie mały i rozciągał się nie tylko na literaturę i wolne zawody, ale także na szkolnictwo wyższe, i sądownictwo, przenikając do różnych gałęzi administracji. Za pośrednictwem uniwersytetów i prasy — jakkolwiek cenzurowanej — inteligencja posiadała znaczny wpływ na opinię publiczną. Państwu rosyjskiemu nigdy nie udało się zmobilizować jej dla swoich celów. Z biegiem czasu grupa ta uległa zgubnemu dla niej zróżnicowaniu. Resztki jej dotrwały do 1917 i znikły w odmęcie rewolucji i wojny cywilnej.

Wielu z moich rówieśników zna to zjawisko nie tylko z książki, ale także z opowiadań starszych, z tradycji rodzinnych i rozmów z ostatnimi egzemplarzami tego zaginionego gatunku.

Mimo wyrozumiałości dawnej inteligencji dla gier hazardowych i nieporządnego życia prywatnego, Dostojewski znajdował się tylko na marginesie tej grupy. Położenie jego odpowiadało mniej więcej temu, jakie dziś zajmuje np. K. I. Gałczyński, któremu nikt nie odmawia talentu, ale którego — w obawie jakiegoś wybryku — nikt chętnie na obiad nie zaprasza. Jeszcze mniej wspólnego z inteligencją mieli przyjaciele i protektorzy Dostojewskiego z drugiej połowy panowania Aleksandra II — Katkow czy Pobiedonoscew — dla których Sałtykow-Szczedrin ma tylko pogardliwe przezwisko:

Pierechwat-Zalichwatskij, byłyj prochwość.



Tak widzieliśmy Dostojewskiego w naszej młodości, oczyma naszych ojców i dziadów, pamiętających lepiej barwę tamtych czasów. Było w nim coś z *poète maudit*, z Villona czy markiza de Sade. Z tą pikantną przyprawą czytały go też rzesze wielbicieli na Zachodzie, kiedy *l'immoralisme* stał się modny wśród episyjów.

Do mitu inteligencji rosyjskiej Mackiewicz ma stosunek bardzo sceptyczny. Oglądany z bliska, jej obraz wydaje mu się pełen poważnych defektów piękności, pełen skaz i plam, które wysuwa na przednią część sceny.

Oto parę przykładów:

Usiłując bronić swego czasopisma przed zamknięciem przez policję, N. A. Niekrasow, najbardziej wzięty poeta tego okresu, zniżył się do napisania ody do katedry Litwy, Murawiowa-Wiekszatiela. Oda ta nie zachowała się zresztą w żadnym odpisie i nie znamy bliżej jej treści. Na pewno więc nie zajmowała miejsca, jakie robi jej Mackiewicz. W historii literackiej pamięć jej figuruje tylko w postaci skandalicznego wybuchu.

Mówiąc o pisarzach współczesnych, Mackiewicz opisuje szczegółowo ich fantazyjne życie erotyczne. Gdybyśmy temu zjawisku mieli przypisywać większą wagę i chcieli je słusznie ocenić, musielibyśmy omówić panujące wówczas romantyczne pojęcia o miłości uświęcającej nieregularne związku i porównać Niekrasowa czy Herzena z George Sand i Wiktorem Hugo, żyjącymi w tymże czasie na wyspie z Adela i Julietta.

Zresztą nie wszystkich współczesnych łatwo byłoby nagiąć do Dostojewskiego. Co np. zrobić z Gonczarowem lub Sałtykowem-Szczedrinem?

Traktowanie materiału dokumentarnego jako plastycznej masy należy do konwencji dzisiejszej biografii literackiej. Nie myślę więc robić autorowi procesu z pewnej jednostronności jego obrazu. Przytaczam ten rys jego książki, ponieważ wydaje mi się skądinąd aktualny dla naszego pokolenia.

Jakie motywy skłoniły Mackiewicza do rewizji mitu inteligencji? Mit ten zaczął się dziś z różnych stron wykruszać. Mimoходом tylko wspomnę tu pamflety prof. Chałasińskiego. Książka Mackiewicza zdradza większą znajomość rzeczy i rzetelność przemyślenia. I on jednak zdaje się nie wierzyć w możliwość istnienia — nawet w przeszłości — niezależnej inteligencji. Pisanie ód do Murawiewa wydaje mu się bardziej zgodne z porządkiem rzeczy istniejącym w tej dziedzinie.

Pojęcia więc naszego pokolenia o literaturze i inteligencji utraciły resztę swej słowiańskiej odrębności i zbliżyły się do standardu zachodniego, znanego z Pen Clubów i Unesco.

Sceptycyzm taki jest zapewne owocem tego, co Mackiewicz i jego rówieśnicy widzieli w ciągu ostatniego ćwierćwiecza, zwłaszcza gdy zapoznali się z piszącymi ody do Murawiowa cudzoziemcami. Sonet José-Maria de Hérédia do Aleksandra III nie znikł wstydliwie, lecz znajduje się na swym miejscu w *Les trophées*. Ale po co szukać tak daleko wstecz? Jak niewielu obec-

nych koryfeuszów zdążyło na czas powstrzymać się od napisania ody do Murawiowa? Kiedy rozmawiałem o tym z jednym francuskim przyjacielem, posłyszałem trzeźwą uwagę: „Hérédia przynajmniej umiał pisać...”

## 7

Książka Mackiewicza zawiera kilka wnikliwych uwag o strukturze postaci i innych osobliwościach techniki powieściowej Dostojewskiego, na ogół jednak mało wdaje się w ekskursy literackie i trzyma się wiernie schematu biograficznego. To klasyczne ograniczenie stanowi podstawę kompozycyjną książki i jeden z jej uroków. Zresztą — kiedy mowa o Dostojewskim — mieszanie biografii z historią literatury byłoby szczególnie niewdzięczne.

Na przykładzie pisarzy o mało budującym życiu prywatnym widać najlepiej, jak niewiele szczegóły biograficzne mogą dorzucić do zrozumienia tekstów autora. Dotyczy to nie tylko pisarzy dawniejszych, znanych jedynie z dokumentów pisanych, ale także naszych rówieśników, żwawo hasających po zielonym kobiercu współczesności. Nawet po przeprowadzeniu go przez kompletny kurs psychoanalizy i wszystkie testy amerykańskiej psychotechniki nie potrafilibyśmy powiedzieć, jak i którądy organizm np. K. I. Gałczyńskiego wydziela z siebie poezję.

Z rozpoznania dystansu dzielącego życie i twórczość pisarza zrodziła się cała dzisiejsza *Literaturwissenschaft*, która odebrała biografii jej część analityczną, pozostawiając część narracyjną. Niestety nowa dyscyplina dostała się do rąk profesorów, którzy nie potrafili nią dotąd zainteresować ani pisarzy ani czytelników. Zwolniona z uczonych trosk i serwitutów, biografia literacka wraca do wzorów plutarchowskich.

## P r z y p i s e k

W rozdziale XIV swej książki Mackiewicz daje obraz warunków, w jakich Dostojewski zaczął pisać *Winę i karę*. Zgrany do nitki w ruletkę, nieszczęśliwy w miłości, z niezapłaconym rachunkiem w wiesbadeńskim hotelu, głodny, szarpany przez wierzycieli i chorobę, pisze pierwsze rozdziały powieści. Biograf podziwia w nim z tej okazji wytrzymałość nerwów i talentu.

Nie wszyscy mieli możliwość spokojnego pisania w Croisset. W okolicznościach opisanych przez Mackiewicza powstała już niejedna książka. Wielu plastyków i muzyków pracowało i pracuje nadal w podobnych warunkach. Niezbędną jednak przesłanką powodzenia staje się wówczas pewna rutyna i doskonałe posiadanie rzemiosła artystycznego. Nie brakło go też na pewno Dostojewskiemu.

Od strony budowy i stylizacji, powieści Dostojewskiego są w znacznej mierze ładem jeszcze nie odkrytym. Zapewne nie wróczę już nigdy do tego tematu, chciałbym więc streścić tu wyniki



kilku lektur i rozważań na użytek czytelników mogących interesować się takimi badaniami.

Powieści Dostojewskiego należą do rodzaju powieści ludowej — **roman populaire** — zrodzonego w pierwszych latach XVIII stulecia.

Do tej daty liczba czytelników powieści była niewielka, i koszty druku musieli ponosić protektorzy i „mecenasi” autora. Istnieje o tym wiele studiów i dokumentów, z których najciekawszy stanowi **La somme dédicatoire A. Furetière’a**.

Dopiero z początkiem wieku oświecenia nakłady książek wzrosły wystarczająco, aby czytelnicy mogli sami opłacać koszty druku za pośrednictwem wydawców, traktujących to przedsięwzięcie handlowo. Powieści wychodzące z tej fabryki musiały zdobywać jaknajszerszą publiczność, co w czasach mecenasów nie było sprawą najpilniejszą. Z tych warunków powstało miejsce na powieść ludową, zwracającą się do szerokiego koła czytelników, częściowo z książką nieobytych.

Od samego zarania tego rodzaju powieściowego uważano za pewne, że powodzenie księgarskie zależy od trzech warunków: opowiadanie winno toczyć się barwnie i wartko, apelować do uczucia — „chwytać za serce” — i dawać złudzenie rzeczywistości.

Powieść ludowa ma za sobą 250 lat rozwoju i tradycji. Mimo to jest stosunkowo mało znana, ponieważ paru tylko jej przedstawicieli weszło do historii literatury. Powieść ludowa przypomina zatopiony łańcuch górski, którego tylko najwyższe szczyty widoczne są nad powierzchnią wód. Pierwszym tytanem powieści ludowej był Daniel De Foë. Bliżej naszych czasów, z wód wyłania się drugi kolos — Dostojewski. Istnienie łączące ich pod wodą łańcucha nie ulega jednak wątpliwości. Wystarczy np. przeczytać uważnie ostatnią część **Kapitana Singletona**, aby znaleźć w nim pierwowzór wielu najlepszych stron Dostojewskiego.

Porównanie elementów chrześcijańskich w powieściach De Foëgo i Dostojewskiego może rzucić nowe światło na chrześcijaństwo autora **Braci Karamazow**. Nie zapominajmy, że Ewangelie i żywoty świętych stanowiły zawsze najpiękniejszą, najbardziej wzruszającą i rozpowszechnioną zarazem lekturę ludu, i że autorzy powieści ludowych nie mogli pominąć ich jako wzoru literackiego. Co wzięł Dostojewski z ducha Ewangelii, a co z ich strony literackiej? Postawienie tego pytania może dać powód do rewizji wielu utartych poglądów. Po czym poznać można pisarza chrześcijańskiego? Opisy nawróceń i „pokajań” nie wystarczy, bo na to są też i mniej chrześcijańskie wzory.

Dla badacza będzie zapewne ciekawe, że Albert Thibaudet wyprowadza powieść z kazania i temu przypisuje uporczywość w niej tendencji dydaktycznych. Wywody jego pasują najlepiej do powieści ludowej. Zainteresowanych odsyłam do **Le liseur de romans**, gdzie znajdują też próbę klasyfikacji powieści.

Między De Foëm i Dostojewskim jest kilka ważnych ogniw

pośrednich, z których najistotniejszym dla badacza będzie Eugène Sue. Czytały go nasze prababki, i w starych dworach można było znaleźć sporo jego książek w pierwszych wydaniach paryskich i kontrafakcjach belgijskich. Ale już w czasach młodości mego dziadka mężczyźni dworowali sobie z tej lektury. Z anegdot okresu „bałagułów” został mi w pamięci fragment wiersza, cytowanego zapewne na jarmarkach w Jarmolińcach:

**Autora nie pytajcie, bo dwa razy wzięty,  
Ostrożnie, moje panny, bo zamoczy pięty...**

Od tego czasu Eugène Sue popadł w niepamięć. W wydaniach brukowych przedrukowywane są już tylko dwie z jego niezliczonych powieści: **Le Juif Errant** i **Les mystères de Paris**.

Nie mniej jednak Eugène Sue ma wiele rysów wspólnych z powieściami ostatniej doby, kokietujących czytelnika nie tyle fabułą, ile kompozycją i stylizacją.

Eugène Sue jest twórcą **roman-feuilleton**, powieści drukowanej w odcinkach różnej długości w dziennikach i czasopismach. Aby sprostać wymaganiom stawianym przez ten tryb publikacji, powieść ludowa nabrała pod jego piórem szczególnego rytmu, który znajdujemy u Dostojewskiego, a którego nie miał jeszcze De Foë.

Aby dać pojęcie o zasięgu i różnorodności dróg krzyżujących się dokoła autora **Żyda wiecznego tułacza**, dodam, że z jednej z jego gorszych powieści zdaje się pochodzić sławny od ćwierć wieku pseudonim „Comte de Lautréamont”.

Przed paru laty rozmawiałem o tym z francuskim powieściopisarzem, od którego posłyszałem taką odpowiedź:

„Twoje uwagi nie są żadnym odkryciem. Eugène Sue nie jest być może znany profesorom i krytykom, ale zna go doskonale każdy zawodowy powieściopisarz. Kiedy chodzi o budowę powieści, zawiązanie intrygi i wartkie potoczenie opowiadania, Eugène Sue był i jest mistrzem nas wszystkich. Co do mnie, każdego roku — dla pogłębienia rzemiosła — czytam jego dwie powieści.”

**Paweł HOSTOWIEC.**



## Stulecie rewolucji 1848 r.

*Stuletnia rocznica rewolucji 1848 r. przyniosła zalew uroczystości, obchodów, książek. Niestety, w zalewie tym nic prawie nie wyszło poza frazes, szablon czy przyczynkarstwo. Od tego tła jaskrawo odbija ciekawa i oryginalna ocena Daniela Halévy.*

*Jakkolwiek wypowiedź ta dla czytelnika polskiego, patrzącego na te zjawiska z innej perspektywy — perspektywy Mickiewiczowskiej — nie będzie przyjemna a nawet będzie rozczarowaniem — drukujemy ją gdyż wydaje się nam, że w tym wypadku Halévy jest prawdziwym i niesfalszowanym propagandą czy zdziwieniem — głosem dzisiejszej Francji. Trzeba to sobie uświadomić.*

Minęły lata, które świat odmieniły. Ale jedno się nie zmieniło: to kult naszego Państwa dla przewrotów, z których samo się wywodzi. Po setnej rocznicy 1789 r., oto stulecie Rewolucji 1848 roku. Za 22 lata będziemy obchodzili rocznicę rewolucji 4 Września; za 23 — stulecie Komuny Paryskiej. Potem nadejdą dwusetne rocznice. Jaka obfitość jubileuszów. Żaden kraj nie ma ich tyle. Próżno nieszczęście wysadza nam bramy, dziesiątkuje rodziny nasze i wydziela nam chleb nasz — radosne obchody się mnożą.

Kult niezwykły, który uczynił z narodu naszego naród jedyny pośród innych i którego odrębności należycie nie doceniamy. Nawet ci z nas, którzy w swoim przekonaniu nie podzielają tych zapalów, są tak przyzwyczajeni, przez starannie naświetlane nauczanie do oceny naszych kolejnych rewolucji jako fenomenów mieszczących się normalnie w historii, że nie łatwo im zdać sobie w pełni sprawę z zasadniczo wyjątkowego charakteru tych przewrotów. Powiedzmy jasno: nie tylko nasza Rewolucja nie ma swego określonego miejsca w rytmie historii, ale występuje jako przełom tej historii i należy sięgnąć daleko wstecz, aby znaleźć jakieś analogiczne wypadki.

Nie będąc w stanie pogłębiać na tym miejscu analizy wieków, odwołuję się do historyka, jakim był Renan. Znał starożytność ze wszystkich jej źródeł, tak z żydowskiego jak i z sanskryckiego, tak z greckiego, jak z łacińskiego; -nowożytną historię znał z doświadczenia, jako że znał w dzieciństwie Francuzów dawnej Francji a potem przeżył sam nasze kolejne przesilenia

z lat 1830, 1848, 1852, 1870-1871. Otóż Renan dowodził, że zawsze były tylko dwa narody rewolucyjne: w starożytności naród żydowski, w czasach nowożytnych — naród francuski. O losie Żydów informowała go historia: po zdobyciu Jerozolimy przez Tytusa w 70 roku naszej ery Żydzi wymordowani i wysiedleni przestali istnieć jako naród. Co do losu narodu francuskiego, wstrząsanego na jego oczach przewrotami i periodycznym zdziesiątkowaniem, Renan mógł snuć tylko hipotezy. Hipotezy te były ponure.

Co pozostawało jeszcze do obejrzenia, a czego Renan nie zobaczył, to widowisko, które my oglądamy: regularyzacja naszego kultu rewolucyjnego, liturgia naszych zdziesiątkowań.

To wszystko jest wyjątkowe. Weźmy pod uwagę narody sąsiadujące z nami. Naprzód angielski. Jego sprawa jest tym bardziej znamienita, że w bogatej swojej przeszłości miał pewną skłonność rewolucyjną: wydał sektę absolutystów rewolucyjnych, sfanatyzowanych przez Biblię, miał króla świętego, a na jego tronie religijnego Cezara, Cromwella. Wszystko to trwało 10 lat; to mało, ale jeszcze za dużo. Cromwell był geniuszem, Anglicy to wiedzą i są dumni z niego, ale strącił głowę królowi, ściszył głos! W Londynie w Whitehallu, widzimy konny posąg Karola-ofiary. W odległości 20 metrów stoi na swym cokole, Cromwell. Oto angielska etykieta: dystanse są zachowane. Cromwell pozostał u progu historii, której osnowę zerwał. Sedno uczuciowe narodu angielskiego nie mieści się ani w jego wizji przyszłości, ani w przesądach przeszłości; naród angielski jest praktyczny, lubi posiadać, widzieć, dotykać to, co kocha. To zaś co kocha, to rodzina jego królów, wslawionych miłością 10 milionów rodzin prywatnych, które ją otaczają i są jej wierne; rodziny wybrane, związane z przeszłością, rękojmnia przyszłości, narzędzie rzeczywistej, doczesnej obecności rasy. Naród angielski oplakuje zgony królewskie, życzeniami i darami bierze udział w chrzcinach i weselach panującej rodziny i ta prymitywna liturgia ma taką siłę, że kiedy niesiona na falach eteru, przekroczywszy morze, wnika do naszych domów, naród nasz, nagle dotknięty wspomnieniem kultu, ongiś własnego, — religią St-Denis i Reims, jak mówił Renan — wzrusza się głęboko.

Dajmy temu pokój — powiedzą mi na to — Francja jest republikańska i jej republikańskie święta powinny czcić zwycięstwa odniesione nad sobą, zdobycze wewnętrzne. Zwróćmy się więc ku naszej bezpośredniej sąsiadce, najbardziej czcigodnej republice świata, Szwajcarii. Nawet Cezarowie mało zaciążyli an jej górskich plemionach. To republika bez wieku. Jakie są jej pamiątkowe obchody, jej zwycięstwa nad sobą, jej wewnętrzne zdobycze? Sama nam to powie.

W 1941 r. było wielkie święto u naszych sąsiadów. Obchodzono 700-lecie ich konfederacji. Akt liczący 7 wieków zachowany z pietyzmem, oto co leży u podstaw ich życia narodowego. Czy dany akt uświęca jakieś zwycięstwo Szwajcarów nad współobywatelami Szwajcarami, jakąś zdobycz wewnętrzną? Bynaj-



mniej! To pakt wzajemnej pomocy, zawarty pomiędzy trzema kantonami, kantonami leśnymi: Uri, Schwitz, Unterwald; to przysięga wzajemnego przymierza przeciw każdej obcej ingerencji, zagrażającej prawu zwyczajowemu. Zwyczaj — to one władają. Mówi się o demokracji szwajcarskiej, ale prajcowie nie znali ani słowa greckiego, ani samej rzeczy. Nie była u nich w obiegu, była pozbawiona treści. Powiedzmy, mówiąc po grecku, że kantony leśne, pierwsi konfederaci, to były *etargie* (*les étargies*), rządzone obyczajami (*ta êtha*). Władztwo obyczaju i zwyczaju, ich autonomia zazdrośnie strzeżona, ich cierpliwy wyrób i pilne baczenie, by prawo nigdy nie było zerwane — oto odwieczne i trwałe natchnienie szwajcarskich kantonów. Ich naród nosi od wieków szatę całodzianą, nie szytą. I w tym stroju uczestniczy radośnie w swoich świętach.

Ale czym Francja okrywa swoje ramiona, kiedy bierze udział w uroczystościach, na które bywa zapraszana? Lękam się myśleć o tym.

Pojęcie prawowitości nie zostało u nas zniesione, ale obalone; prawowita przysięga dla nas, to ta, która wynika z walki i która otrzymała chrzest krwi. Ovo pierwszeństwo w wyborze ujawniło się 70 lat temu przy ustanowieniu naszego narodowego święta. Dwie daty były wtedy brane pod uwagę: 14 lipca i 4 sierpnia. Pierwsza upamiętniała walkę uliczną, druga — noc porozumienia zawartego w uniesieniu. Wiecie która została wybrana. Co roku naród francuski raduje się i tańczy w rocznicę ulicznego rozruchu i ulicznej rzezi. Tańczy niewinnie, nie pomny wydarzenia. A przecie rocznica istnieje, zdarzenie było wyuczzone w szkole, przepowiadane w klasie, pozostał zeń w duszach trwały ślad, że rozruch uliczny i rzeź mają same przez się pewną godność i płodność. Co do 4 sierpnia, przepadł na egzaminie, tym gorzej dla niego! Owoc to suchy, wysychający w podręcznikach.

Tak oto wspomnienie, gdzie indziej źródło stałości, jest w nowej Francji źródłem przewrotu. Woda obfituje, starannie rozdzielana, i jutro, a może nawet dziś, grunt użyźniony, wyda plody, jak je wydał wczoraj.

Wczoraj, chciałem rzec przed wiekiem. Rewolucja 1848 roku jest zdarzeniem, które w wysokim stopniu natchnęło i określiło wspomnienia. We Francji 1848 r. oczywiście były przyczyny niezadowolona, reformy i prawa do ustanowienia — kiedyż ich nie ma! Ale nie było żadnego powodu rewolucji. Niezbitym tego probierzem jest fakt, że po nawałnicy rewolucyjnej, stosunki pomiędzy klasami pozostały na długą niezmienne, tak we Francji jak i w całej Europie.

To, co umożliwiło rewolucję, to była z jednej strony słabość władzy, podkopywanej ruchami rewolucyjnymi, z drugiej podniecenia opinii, wzburzonej wspomnieniami rewolucyjnymi.

Ludwik-Filip był słaby dla tej prostej przyczyny, że był królem uzurpatorem. Co to jest król uzurpator? Mało co. Otóż Ludwik-Filip miał tę niezatartą skazę. Poeta Polski Mickiewicz powiedział kiedyś proroczo: „Pewnego dnia dwie kobiety wjadą sobie

we włosy na targu St-Honoré, zbierze się wokoło nich gromada gapiów, jedni będą po stronie jednej, drudzy — drugiej. Wieczorem zaś Ludwik-Filip i jego dwór opuszczą Tuilerie”.

Mickiewicz, jak wiadomo, był prorokiem.

Co zaś do podniecenia opinii, aby wyrobić sobie o tym słuszny pogląd, należy cofnąć się do daty uprzedniej, do owego styczniowego dnia 1840 r., gdzie popioły Napoleona zostały wprowadzone do Paryża i jego starzy żołnierze, jego marszałkowie wnieśli go do Inwalidów. Pod wieczór tego dnia niezwykłych tłumów i niezwykłego wzruszenia Paryż miał dziwne uczucie, że się dokona cud. Cesarz, złożony pod swoją złotą kopułą, czyżby miał tam pozostać? Czy aby nie wstanie i nie obejmie znów władzy?

W tuileryjskim pałacu Ludwik-Filip i jego bliscy w otoczeniu kilku przyjaciół spędzili uciążliwy wieczór. Tamten był obecny. Ludwik-Filip byłże jeszcze królem? Powiedzmy śmiało, że nim już nie był, że osiem lat następnych było tylko przeżytkiem jego panowania. Odtąd zaczyna się ten przyływ wspomnień, który będzie rósł z roku na rok aż wreszcie zmiecie króla jak źdźbło.

Pisarze i poeci ściągają burzę: Thiers ze swoją historią cesarskiego panowania; Lamartine ze swoją epopeją w prozie, swoją Historią Żyrodystów. I jeszcze Lamartine, zwłaszcza Lamartine ze swoim strasznym słówkiem: „Francja się nudzi...”, słówkiem zblazowanego szlachcica, hulaki i karciarza. Dlaczego Francja się nudziła? Bo Ludwik-Filip nie dostarczał jej co sześć miesięcy zwycięstwa w Europie, nie dawał spektakularnego dnia na Placu Zgody. Wielki plebejusz Proudhon daje na ten temat w swoich notatkach najmocniejszą replikę: „Lamartine powiada, że Francja się nudzi. Nie, Francja znikczemiała, w tym rzecz. Francja umie jedynie podziwiać się sama w tym, co ongiś zdziałała... Nadmiar liberalizmu, fantazji, nagromadzonej chwały rozdrażnia Francję”.

Rozdrażnia aż do samobójstwa. Samobójstwo to luty 1848 roku. 23-go lutego zdarzył się ten tumult, który Mickiewicz przewidział. Zamiast targu St-Honoré, ulica des Capucines, zamiast poranku — wieczór, po czym następuje noc przerwy. Nazajutrz 24-go o godz. 5-tej pp. ucieżka królewska. Nie czepiajmy się poety za te drobne rozbieżności; przynajmniej, że przewidział słusznie.

Tak więc 24 lutego, pod wieczór, Ludwik-Filip wychodził z Tuilerii bocznymi drzwiami, a olbrzymi tłum toczył się ulicami Paryża i był jego monarchą.

Najbystrzejszy świadek tego wszystkiego, Proudhon, rzuca na karty swego dziennika kilka pobieżnych notatek:

„24 luty. — Byłem tylko co świadkiem spustoszenia Tuilerii. Nie można nawet powiedzieć zdobycia. Lud wkroczył tam bez żadnego oporu.

... Ciżba adwokatów, pisarzy, jeden głupszy od drugiego, będą się sprzeczać o władzę. Nic tam po mnie.

... Lamartiny, Quinety, Michelety, Considéranty, skrajna lewi-



ca itd., cały mistycyzm, robespieryzm, szowinizm są u władzy: **Zrobili rewolucję bez idei.**

**To będzie straszliwe.**

Zamiast zbierać nieżyczliwe opinie, powiedzą mi, posłuchaj tłumy; to co się dzieje, jest nad miarę wielkie. Istotnie: pali się skład drzewa, płomienie się wznoszą. Co z tego zostanie za 24 godziny? Kilka zwęglonych trupów w rozmiecionym popiele. W Paryżu dzień jutrzejszy będzie podobny: popiół i trupy. A jednak posłuchamy. Renan mówił gdzieś o tych chwilach nadzwyczajnych, gdzie wzburzona dusza ludu objawia się w błyskawicach i dźwiękach nieznanym.

Poprzez te słowa przebija niewątpliwie doświadczenie tego 1848 roku. Wszystkie narody są w ruchu, Europa brzmi jak orkiestra, w której każdy muzyk, bez dyrygenta, chwytą za swój instrument i próbuje jego akcentu. Jaki zgiełk! I powiedzmy także: jakie dysonanse! Jest w tym głos proletariusza, nieznanym w uprzednich wiekach, tego wywłaszczzonego sługi zmechanizowanego przemysłu; jego rzecznikiem to młody Marx, którego surowy i potężny manifest będzie tłumaczony we Francji 40 lat później, te głosy są całkiem różne od tych, które sławia ojczyznę, ziemię, język. Nie, nie jedna rewolucja, ale dwie, oto co wyjawia ten zgiełk niezgody. Dwie rewolucje, z których każda ma swoją krwawą tradycję.

Na bulwarach paryskich mieli narodowcy 2 marca swoje święto, swoją paradę i pochód. Włosi, Niemcy, Polacy, Węgrzy nieśli dumnie swoje kolory. Obserwował ich świadek genialny, Michelet. Wysokiego wzrostu, nerwowy, magicznie wrażliwy na temperaturę tłumów, był przerażony. Pod pozorami pokojowego entuzjazmu odgadywał przyszłe wojny. I słusznie, wojny i rewolucje stanowią w Europie nierozdzieloną parę, krew jednej przyzywa krew drugiej. Olbrzymia postać Napoleona nawiedza te rozentuzjazmowane tłumy, które za niewiele tygodni będą się obliczać jego imieniem. Co zaś do idei politycznej, jest tylko jedna: powszechne głosowanie, to jest forma konstytucyjna panującej ruchawki. Rządy państwa będą oddane obłąkanym masom uległym halucynacji.

„Opowiadał moje marzenia...” — napisze Proudhon w *Confessions d'un Révolutionnaire*, ważkiej książce, marzenia ogarniętego po niewoli halucynacją swego narodu.

Halucynacja: oto najważniejsze słowo. Nękanie wspomnieniami tłumy paryskie są spragnione przemówień i widowisk i mogą dać Europie tylko coś w rodzaju wystawy powszechnej uczuć rewolucyjnych, wystawy ujętej w znakomitą ramę.

Montagnards<sup>1)</sup>, pisze Proudhon, **dadzą nam odgrzaną komedię z 1793 roku.** — Otwierajmy uszy i oczy; tragikomedie się zaczyna”.

Wielka Rewolucja, Rewolucja-Matka, miała swoje „dnie”.

<sup>1</sup> La Montagne — skrajna lewica Konwencji, zasiadająca na najwyższych ławach.

Rewolucja 1848 r., uległa córka, upojona lekturą, będzie je też miała, skupione w granicach trzech miesięcy. Po 24 lutego będzie 17 marzec, 15 kwiecień i 15 maj. Podziwiamy regularność odstępów pomiędzy wysokimi falami: oto jest rytm widowiska. Tragedia racinowska nie jest lepiej skomponowana, Francuzi w owe czasy mieli styl. 17 marca, 15 kwietnia tłum defiluje na Placu Ratuszowym, żąda komitetu zbawienia publicznego, aby dokonać rewolucji społecznej.

Jest tu Lamartine, wszędzie obecny, na balkonie Ratusza, na stopniach wejściowych, na placu, piechotą lub konno. Zrazu był Eolem, który przyznał burze, po czym spodobało mu się być Orfeuszem, zaklinającym żywioły. W pewnej chwili naciskany przez tłum nie zdradzi żadnego zmieszania: „Najpiękniejszą trybuną dla mówcy — zawoła — to siodło jego konia”. Uczczono go wrzawą uznania i, pod wieczór 17 marca, lud wrócił do domów rad z uczestnictwem w jednym z „dni”.

15 maja sprawy zaszły dalej, od 4-go zasiadało nowo wybrane zgromadzenie, obdarzone, drogą powszechnego głosowania prowincjonalnego i chłopskiego, znaczną większością konserwatywną. Aby ją ukrócić, wodzowie rewolucyjnego Paryża postanowili na wzór przodków z 1789 r. sięgnąć do wielkich środków. Przekonanie, w 1792, w celu zabezpieczenia i przedłużenia swojej władzy, wtrącili Francję w wojnę. Chcąc przeto poskromić zgromadzenie, należało wtrącić Francję w nową wojnę. Mówcy klubowi poruszali tę wizję potężną: wojna niepodzielna, powszechna sprawiedliwość, niesiona rzeką krwi. Liczni byli w Europie pogńębieni, którzy odezwali się jak echo. W swojej sławnej modlitwie za Polskę, Mickiewicz wołał: „**O wojnę powszechną za wolność ludów — prosimy Cię, Panie!**”

Polska wie dzisiaj, co daje wojna powszechna za wolność ludów — jest niewolnicą.

Od pierwszego dnia, w którym się zaczęły obrady naszego Zgromadzenia, mówcy klubów wtórują jak echo życzeniu Mickiewicza: chcą, aby rząd francuski posłał dwie dywizje do Gdańska.

Lud paryski powstaje tłumnie i wyrusza na Palais-Bourbon, ogarnia go, wysadza bramy źle strzeżone, utracą Lamartine'a, który tkwi u progu sali obrad. Deputowanych wypędzono.

Daremne zwycięstwo, widowisko jedynie, czwarty akt tragedii. Barbès, Blanqui, dwaj zwycięzcy, bracia-wrogowie, ścierają się o mównicę, którą dopiero co zdobyli. Co zaś do ludu, rad z odniesionego zwycięstwa, nie dba o sporną mównicę i udaje się na spoczynek, rad z tego „dnia”, prawdziwie udanego dnia.

Wieczorem wszelako na ul. Royale krzyczano: Niech żyje Zgromadzenie! Gwardia Narodowa, ponownie zdyscyplinowana, stanęła pod bronią. Rewolucja bankrutowała, ale kto spłaci jej koszty?

Oto dane piątego aktu, dane tragiczne, dane nowe. W tym akcie wyjdziemy poza „odgrzaną komedię” z 1793 r.



Zaraz po załamaniu się 24 lutego nastąpiło groźne przesilenie, pozbawiające pracy tysiące robotników. Stanęli oni w obliczu tej próby z naiwną i wzruszającą odwagą: „Dajemy 3 miesiące nędzy na służbę Republiki” — powiedział jeden z nich. Trzy miesiące, porachujmy je: marzec, kwiecień, maj, miesiące trzech „dni”. — Ale oto nastaje czerwiec, czwarty miesiąc, miesiąc terminu płatniczego. Ci co się bili w ciągu tych trzech „dni” są wszyscy obecni — około 200 tys. ludzi, żyli z zapomóg im wyznaczonych, dziś czekają na coś więcej jak zapomogi. Z wekslem w rękę żądają owej obiecanej im manny cudownej.

Żądają jej w milczeniu. Jednocześnie z sezonem widowisk skończył się sezon krasomówstwa. Czerwoni mówcy, Blanqui i Barbès, są uwięzieni od 15 maja. Kluby nie dają już dochodu, i Lamartine, rzecz niebываła, już nie mówi. Sytuacja jest całkiem nowa. Literaci nie zaznali jeszcze czegoś podobnego. — Bojownicy tych trzech „dni” skupiają się wieczorami w ciemne gromady od przedmieść Montmartre’u do Placu Bastylli. Czytajmy o tym w *Education sentimentale* Flaubert’a, która, wraz z *Confessions d’un Révolutionnaire* Proudhon’a, jest drugą wielką książką, przekazaną nam przez Paryż tamtych czasów.

Te masy, jak powiedziałem, są obecne, nędzne, groźne, silne poczuciem swego prawa i wekslem, który mają w rękę. Nadszedł termin płatności — płacicie! — płacicie! Ale do kogo się zwracają? Uwaga, w tym leży dramat. Oto oni, wierzyli lutowi, ze swoim wekslem w rękę, ale dłużnicy, ci co się zobowiązali do zapłacenia — znikli. Władza przeszła w inne ręce. Ci co ją teraz pełnią, ci co rządzą Francją, to wielmożowie prowincjonalni, święcie wybrani, w lutym byli niczym i pogardzali żałosnymi zwycięzcami tamtych dni. Nie oni podpisywali weksel wojowników owych trzech dni, znają ich o tyle tylko, o ile byli przez nich znieważeni, o ile im tamci przerwali pracę, wyganiając z sali obrad w czasie ich pierwszego zebrania. Dla nich, dla deputowanych, te groźne bandy, które zalegają bulwary, to wróg, nie więcej; ich wróg i wróg porządku, za który urząd czyni ich odpowiedzialnymi; pretorianie pozbawieni wodzów, lub przez nich poniechani i którzy zuchwale domagają się żołdu. Obowiązkiem ich, deputowanych, to słumić ten anonimowy rozruch, tyle groźny co niedorzeczny.

Oto zespół elementów katastrofy. Wybuchowi jej nie należy się dziwić. Rankiem 23 czerwca sto tysięcy statystów trzech „dni” wznosi front barykad, obejmujących wschodnie dzielnice Paryża, od wzgórz Panteonu aż w pobliże La Chapelle. Nie są to już barykady ustawione jak na paradę, tu i ówdzie, niby chorażwie zatykane po bramach w uroczyste święta, ale barykady zbudowane i rozmieszczone na bitwę. Zaś na przeciw nich — pełnomocnik Zgromadzenia, gen. Cavaignac, żołnierz afrykański, nawykły zwycięzcą, nie uznający innej powinności jak zwyciężanie, ożywiony mocnym postanowieniem zwyciężyć, nie dopuścić do tego, by wojsko było wyszyczone na ulicach Paryża.

Dnie czerwcowe są dla czytelników zamrożone w podziemnych

lochach historii, dla mnie żywe. Ich świadkowie opowiadali mi je po stokroć. Było to najbardziej oplakane wspomnienie Paryżan XIX-go wieku.

Trwałym jego wynikiem to skurczenie się społeczeństwa francuskiego, odraza przeciwko wszystkiemu, co z bliska lub z daleka przypomina socjalizm, odraza odnowiona w 1871 przez Komunę Paryską i przyczyna długiego opóźnienia, któremu uległy we Francji ustawy zabezpieczające prawa robotników.

Taki jest, z punktu widzenia ściśle robotniczego, bilans zdarzenia, w którym mielibyśmy widzieć jeden z wielkich momentów francuskiego socjalizmu. Od 1830 do 1848 wydał socjalizm dzieła i ludzi. W 1848 zaczyna się dlań długi okres uwiędnięcia.

To, co powiedziałem, jest już od tak dawna przemysłane, i tylokrotnie przeze mnie powtarzane, że mi się niekiedy zdaje, słuchając własnych słów, że słyszę nie żywy głos, a raczej echo głosu dawnego, zanikającego.

Przeto na zakończenie mam ochotę odejść od razu w cień i oddać głos młodemu mistrzowi powszechnie szanowanemu za jego powagę i myśl — Albertowi Camus.

Ten głos trafi w sedno sprawy, która nie jest osądem tego, co się stało w 1848 r., ale poszukiwaniem tego, co znaczy i co jest warta idea rewolucji w tym bieżącym, 1948 roku.

Cytaty, które poniżej przytoczę, znalazłem 23. XI. 1946 w dzienniku *Combat*. Czytelnicy zapewne wiedzą, że od września 1944 do jesieni 1945 *Combat* pod redakcją Camus’a miało w nagłówku, pod swoim tytułem, następujące słowa: „*De la Résistance à la Révolution*” (od Ruchu Oporu do Rewolucji).

Można być pewnym, że Camus zawsze całkowity w tym, co robi, czuł się wtedy rewolucjonistą. W listopadzie 1946 powrócił na przeciąg kilku tygodni do swego dawnego dziennika i ogłosił szereg artykułów, z których jeden jest zatytułowany: „Strawestowana Rewolucja”.

Oto pierwszy ustęp tego artykułu:

«Od 1941 roku wszyscy mówią u nas o rewolucji — i zawsze szczerze, to nie ulega wątpliwości. Ale szczerze sama w sobie nie jest cnotą. Są szczerości tak zawile, że aż gorsze od kłamstwa. Nie chodzi nam dziś o użycie mowy serca, ale jedynie tylko o jasną wypowiedź.

«Idealne pojęcie rewolucji to zmiana instytucji politycznych i ekonomicznych w celu wprowadzenia więcej swobód i sprawiedliwości na świecie. Pojęcie praktyczne, to zespół wypadków historycznych, często nieszczęśliwych, które sprowadzają tę szczęśliwą zmianę».

Definicja fenomenu rewolucyjnego podana przez Camus’a jest pobieżna i słaba. Ale o co mu chodzi tutaj, to o praktykę, taką, jaką zawiera w obecnej kolejności układ idei, interesów i sił. Na tym właśnie skupia Camus swoją uwagę i odkrywa tą drogą, że pojęcie rewolucji jest dziś związane z pojęciem wojny ideologicznej.

Odkrycie, moim zdaniem, spóźnione, bo związek ten istnieje nie od dziś ani nawet od wczoraj. Istniał on zanim Mickiewicz



wypowiedział swoją krwawą modlitwę; istnieje od 1792. Pięć milionów trupów z 1793-1815 zapowiadają 10 milionów z 1914-1918, 30 milionów z 1939-1945. Ale przejdźmy do wniosków, oto one, podane w formie ostatecznej:

«Rewolucje wewnętrzne kosztują nas już bardzo drogo. Zważywszy jednak postęp, który powinny wydać, przyjmujemy na ogół konieczność tych spustoszeń. Dzisiaj zaś koszt wojny, który by ludzkość poniosła, powinien być obiektywnie odważony ze spodziewanym postępem wynikłym z wszechwładztwa Rosji lub Ameryki. Moim zdaniem tego rodzaju odważenie na szali historii miałyby zasadnicze znaczenie; ponadto należałoby raz wreszcie wnieść nieco wyobraźni do tego, czym byłaby nasza planeta, o 30 milionach jeszcze świeżych trupów, po kataklizmie, który by nas kosztował 10 razy więcej.

To całkiem obiektywne spostrzeżenie, powiada w końcu Camus, «powinno by skłonić do zastanowienia tych, co lekkomyślnie mówią o rewolucji».

Ci ludzie lekkomyślni, kimże są dzisiaj? Tymi, co nami rządzą: wczoraj był nim Vincent Auriol, Prezydent Republiki, pielgrzymujący do ratusza, miejsca poświęconego naszym rewolucyjnym ustawodawstwem. Co prawda, między wierszami jego przemówienia odgadywano człowieka przerażonego: „Upamiętniam rocznicę — zdawał się mówić Prezydent — mój urząd zmusza mnie do tego, ale na miłość Boską, nie zaczynajcie znowu!”

Aby znowu nie zaczynać, byłoby w pierwszym rządzie wskazane, nie uderzać w zakurzone trąby wspomnień.

Tłum. Maria Czapska.

Daniel HALEVY.

## “Kronika”

niezależny tygodnik demokratyczny.

Adres redakcji i administracji:

Eppstein-Taunus, Hotel Bienberg, US Zone, Germany.

PRZEDSTAWICIELSTWA :

**FRANCJA:** Librairie «Libella», 12, rue St-Louis en

l'Île, Paris IV<sup>e</sup> (Metro: Sully Morland). Prenumerata roczna 480 frs., półroczna 240 frs. Cena pojedynczego egz. 10 frs.

Prenumerata zagranicę wpłacana w markach na terenie

Niemiec kosztuje rocznie 52 DM.

## Prawo norymberskie

(DROGI I BEZDROŻA PRAWA NARODÓW)

Proces norymberski przeciw głównym przestępcom wojennym niemieckim zalicza się niewątpliwie do najdonioślejszych wydarzeń w powojennym życiu międzynarodowym. Dyskusja nad przestankami politycznymi i założeniami prawnymi wyroku Międzynarodowego Trybunału Wojskowego oraz nad konsekwencjami tego doniosłego precedensu zarówno dla polityki międzynarodowej i prawa narodów jak dla prawa karnego nie jest bynajmniej zamknięta. W miarę zaostrzania się przeciwnieństw między dwoma coraz silniej zarysowującymi się blokami, zaznaczają się też coraz silniej różnice w postulatach programowych, opartych na systemie prawa norymberskiego. Poza tym, niezależnie od zasadniczej linii podziału, jaki stworzyła tzw. żelazna kurtyna, uwypukla się coraz bardziej podział na kraje, które odczuły na sobie bezpośrednie objawy zbrodniczej działalności niemieckich okupantów i gdzie pamięć o tych tragicznych czasach jest ciągle żywa i kraje, których opinia publiczna tworzyła się jedynie pod wpływem dalekich ech, stopniowo rozbrzmiewających. Podobnie się działo zresztą po ostatniej wojnie np. w Anglii, gdzie hasło Lloyd'a Georęa: „powiesić Kajzera” zostało szybko zastąpione przez hasła rehabilitacji moralnej i gospodarczej Niemiec.

Zaledwie kilka tygodni temu, bo w dniu 28 października 1948 r. b. premier brytyjski, Churchill, wygłosił te znamienne słowa w Izbie Gmin:

„Nasza polityka powinna polegać na zatarciu przeszłości, (draw the sponge across the past), bez względu na to, jak twardą ona była, zapomnieniu o wszystkich zbrodniach i okropnościach i na skierowaniu wzroku ku przyszłości dla własnego naszego ocalenia”.

Przyznając, że z dużą ciekawością brałem do rąk gruby tom, wydany w Warszawie w tym roku, pt. **Prawo Norymberskie, bilans i perspektywy** — owoc współpracy dwóch prokuratorów, pp. Tadeusza Cypriana i Jerzego Sawickiego (str. XVI, 601). Wydawcy warszawscy reklamują tę książkę w następujący sposób:

„Praca ta stanowi jedyną publikację w Europie, ujmującą w szerokiej perspektywie historycznej zagadnienie



zbrodni wojennych, zbrodni przeciw ludzkości i międzynarodowego prawa karnego. Ze względu na szereg ataków międzynarodowych kół reakcyjnych, dążących do podważenia autorytetu wyroku norymberskiego, „Prawo Norymberskie” ma specjalne znaczenie i zawiera oryginalną polską koncepcją prawną”.

Ideologiczne znaczenie tej książki, która ma ilustrować jeden z etapów walki o „równość ochrony osobowości ludzkiej przez prawo karne — równość ochrony bez względu na przynależność klasową” — podkreślona jest na samym wstępie przez „ministra” Wiktora Grosza, który w swej przedmowie podnosi, że w Norymberdze została „skazana sama idea panowania nad światem”, wysunięta przez hitleryzm, — że wyrok norymberski był to „pierwszy w historii wyrok na agresję i agresorów” i przez to „proces norymberski stał się groźnym ostrzeżeniem dla nowych podżegaczy wojennych, którym przypominać winien, że epoka ich bezkarności minęła bezpowrotnie” i dalej:

„Chcielibyśmy, aby ta odpowiedzialność za wywołanie wojen wisiała jak groźny miecz nad karkiem tych wszystkich, co podjudzają jedne narody przeciw drugim, wtrącają się w wewnętrzne życie wolnych narodów, umożliwiają i podtrzymują wegetowanie niedobitków reakcji w różnych krajach, prowadzą propagandę nienawiści i dyskryminacji rasowej i propagandę wojenną. Nade wszystko zaś — aby wisiał nad karkami tych, co sabotują rozbrojenie, potrząsając groźnie nowymi rodzajami barbarzyńskiej broni masowego zniszczenia”.

Zanim przejdę do omówienia prawnych, historycznych i socjologicznych tez autorów „Prawa Norymberskiego”, pragnę na wstępie zaznaczyć, iż książka jest bardzo kompletnym kompendium, zawiera bogaty materiał faktyczny i obszerną bibliografię, przy czym, jeśli chodzi o tę ostatnią, uwzględniła w dużej mierze mało znaną na Zachodzie literaturę sowiecką — nie pomija również głosów krytycznych, ani poglądów sprzecznych z założeniami autorów. Na układzie materiału oraz stosunku do rzeczywistości politycznej autorów, odbija się jednak ich zawód prokuratorski, podchodzenie do zagadnień przede wszystkim od strony wymiaru sprawiedliwości i sankcji karnych.

Nie chcę bynajmniej odmawiać zasług tym prawnikom polskim, którzy, bez względu na to, w jakich warunkach znaleźli się po tamtej stronie, współdziałali przy wymiarze sprawiedliwości nad oprawcami i katami Polski. Niewątpliwie Polacy na emigracji czytają z wielkim zadowoleniem sprawozdania z procesów przeciw niemieckim zbrodniarzom. Pytanie, które postawić sobie jednak należy, a na które autorzy w obszernych wywodach odpowiadają pozytywnie, polega na tym, czy mamy tu istotnie do czynienia z ewolucją pojęć prawnych w społeczności międzynarodowej i ugruntowaniem zasad sprawiedliwości, czy

też nie działają tu raczej momenty czysto polityczne, chęć podtrzymania popularności reżimu przez zadośćuczynienie opinii publicznej w kraju i skierowanie jej raczej ku smutnej przeszłości, aby odwrócić uwagę od ponurej rzeczywistości politycznej. Zbyt wiele refleksji nasuwać się tu musi badaczowi współczesnego życia międzynarodowego oraz stosunków wewnętrznych poszczególnych krajów, który staje przed ogromem zjawisk, przeczących na każdym kroku, istotnemu rozwojowi praworządności i ugruntowania sprawiedliwości na świecie. Dlatego też obok zjawisk, potwierdzających tezy autorów, o uznaniu nowych kategorii przestępstw w stosunkach międzynarodowych, nie możemy nie dostrzegać faktów i wydarzeń, wskazujących na ewolucję w kierunku odmiennym. Rozumiemy, jak delikatna była rola autorów, którzy bądź pod przymusem reżimu, w którym żyją, bądź też z wolnego wyboru, pominieli szereg zjawisk, obalających ich tezy generalne. — W studium naszym, które z uwagi na ogrom materiału, musi ograniczyć się tylko do kwestii zasadniczych, zajmiemy się w szczególności dwoma zasadniczymi kompleksami zagadnień:

- 1) Warunkami politycznymi powstania Międzynarodowego Trybunału Wojskowego w Norymberdze i częścią wyroku, odnoszącą się do przestępstw przeciw pokojowi, oraz
- 2) zbrodniami przeciw ludzkości.

Incydentalnie tylko będziemy mówili o zbrodniach wojennych *stricto sensu*, gdyż to jest dział najobszerniej w nauce opracowały i na ogół bezsporny.

#### MIĘDZYNARODOWY WOJSKOWY TRYBUNAŁ W NORIMBERDZE I PRZESTĘPSTWA PRZECIW POKOJOWI

Ciekawa jest historia powstania tego Trybunału. Podkreślić należy na wstępie, iż w domaganiu się ukarania zbrodniarzy wojennych rola Rządu Polskiego w Londynie była b. znaczna. Nie ma w tym nic dziwnego, skoro Polska była od początku wojny terenem największych przestępstw, popełnianych przez obu okupantów — Niemcy i Rosję. Zaznaczyć jednak należy, że Rząd Polski w Londynie, zarówno pod naciskiem sprzymierzonego, jak i z uwagi na przeważające tendencje w jego łonie szukania drogi do porozumienia z Rosją, wysuwał na porządek dzienny niemal wyłącznie zbrodnie, popełniane przez okupantów niemieckich. Z inicjatywy Polski, (i Czechosłowacji, ściśle współpracującej wówczas z gabinetem Gen. Sikorskiego), zebrała się w dniu 13 stycznia 1942 r. konferencja międzysojusznicza w Pałacu St. James w Londynie, zwołana celem zastanowienia się nad zagadnieniem ukarania sprawców zbrodni, popełnianych przez Niemców na terytoriach okupowanych krajów Europy. Jak widzimy, od samego początku zagadnienie, ze względów politycznych, zostało zwięzione do zbrodni niemieckich. Rosja Sowiecka nie wzięła zresztą udziału w utworzonej następ-



nie Komisji Zjednoczonych Narodów dla dochodzeń w sprawach zbrodni wojennych, (United Nation Committee for the Investigation of War Crimes), przy czym w sierpniu 1944 r. zdarzył się nader charakterystyczny incydent w związku ze staraniami przewodniczącego Komisji, Sir Cecil'a Hurst'a, zmierzającymi do pozyskania Rosji dla wzięcia udziału w pracach Komisji. Rząd sowiecki postawił wówczas warunek dopuszczenia do Komisji przedstawicieli republik Ukrainńskiej, Białoruskiej, Mołdawskiej, Litewskiej, Łotewskiej, Estońskiej i Karelo-Fińskiej, jako pełnoprawnych członków Komisji, oświadczając, że prawa tych republik nie są mniejsze, niż prawa dominiów brytyjskich, a ponadto republiki te padły ofiarą agresji ze strony państw Osi i wobec tego są tym bardziej uprawnione do wzięcia udziału w pracach Komisji. Rząd sowiecki dążył przez ten postulat do zapewnienia sobie dużej ilości głosów w łonie Komisji, co było dla niego tym bardziej ważne, iż system prawny sowiecki był na ogół zupełnie odmienny od systemu prawnego państw demokratycznych, zaś z drugiej strony chciał zdobyć precedens prawny w uznaniu swoich poprzednich agresji i związanych z nimi przestępstw międzynarodowych.

Przez długi okres czasu ważyła się w łonie Komisji Zjednoczonych Narodów sprawa głównych przestępców wojennych — wielu wybitnych prawników podnosiło zastrzeżenia przeciw ukaraniu ich w drodze procedury sądowej, wysuwając alternatywę decyzji politycznej, bo to nie wymagało „kategorycznego odejścia od zasady działania w ramach Konwencji Haskiej”. Charakterystyczne jest, że jeszcze 27 września 1944 r. Komitet III (prawny) powziął większością głosów rezolucję, która brzmiała, jak następuje:

„a) Czyny, popełnione przez osoby fizyczne, jedynie celem przygotowania i wszczęcia wojny agresywnej, a nie dające się podciągnąć pod ustęp, b) nie są zbrodniami wojennymi, lege lata”.

Jeśli do rozprawy w Norymberdze doszło, to zawdzięczać to należy w pierwszym rzędzie Rosji Sowieckiej, gdyż w łonie Sztabu Generalnego, jak i rządu U.S.A. ścierały się różne zapatrywania dużo było zwolenników ukarania „głównych przestępców wojennych” w drodze „politycznych decyzji”, a nie w drodze sądowej; kwestionowano uznanie wojny agresywnej za przestępstwo oraz konstrukcję prawną spisku zbrodniczego, a wreszcie zadawano sobie ogólne pytanie, czy alianci są uprawnieni do sądzienia niemieckich przestępców wojennych na zasadzie przepisów prawa międzynarodowego bez specjalnych klauzul traktatowych, jak to miało miejsce w Traktacie Wersalskim (art. 227-229), (vide *Prawo Norymberskie* str. 195).

Głęboką zasłoną okryte są rokowania między Rosją Sowiecką a mocarstwami anglo-saskimi na temat utworzenia Trybunału Norymberskiego i ustalenia kwalifikacji przestępstwa międzyna-

rodowego przeciw pokojowi. Nie należy zapominać, że działo się to w okresie najgłębszego appeasement'u w stosunku do Rosji, kiedy zasada jedności Sprzymierzonych była podniesiona do dogmatu. Ważnym etapem na drodze do przyjęcia też sowieckich była „Deklaracja moskiewska” Wielkiej Trójki z 1 listopada 1943 r., której ustęp końcowy brzmiał jak następuje: „Powyższa deklaracja nie przesądza sprawy głównych zbrodniarzy, których przestępstwa nie dadzą się geograficznie umiejscowić i którzy będą ukarani na mocy osobnej decyzji narodów alianckich”. W ślad za tą deklaracją nastąpiło oświadczenie Stalina z dnia 6 listopada tegoż roku, w którym podkreślić należy ustęp, dotyczący wyłącznej odpowiedzialności Niemiec za wybuch wojny:

„Gdy Niemcy się załamią, państwa alianckie staną wobec ważnego problemu: zorganizowania i przywrócenia ekonomicznego i duchowego życia narodów europejskich. Nasza polityka w tej dziedzinie pozostaje niezmienną. Wspólnie z naszymi sojusznikami musimy najpierw uwolnić narody Europy od niemieckich najeźdźców, a potem współpracować z tymi ludami w odbudowaniu ich państw narodowych, które zostały rozczłonkowane przez faszystowskich tyranów...”

„Po trzecie jest rzeczą konieczną przedsięwziąć potrzebne kroki przeciw tym zbrodniarzom, którzy odpowiedzialni są za obecną wojnę...”

O rozmowach między czterema mocarstwami informował Komitet Zjednoczonych Narodów w sprawach zbrodni wojennych, sędzia amerykański Jackson, na posiedzeniu Komisji w dniu 18 lipca 1945 r. Zresztą w kilka dni potem, bo 25 lipca 1945 r. Foreign Office zawiadomił oficjalnie Komisję, że:

„...Rząd Jego Królewskiej Mości w Zjednoczonym Królestwie przyjmuje zasadę odpowiedzialności zbiorowej (collective responsibility) w stosunku do niektórych kategorii przestępstw wojennych i celem zastosowania tej zasady w praktyce prowadzi obecnie rozmowy z przedstawicielami rządów Stanów Zjednoczonych, Związku Radzieckiego i Tymczasowego Rządu Republiki Francuskiej”.

Można z całą pewnością stwierdzić, że zarówno zagadnienie samego trybunału, jak i najważniejsze zagadnienie z dziedziny prawa materialnego dotyczące przestępstw przeciw pokojowi, wchodziły w zakres poufnych rozmów w czasie Konferencji Zjednoczonych Narodów w San Francisco, które doprowadziły do kompromisu między stanowiskiem państw anglo-saskich, a stanowiskiem sowieckim, kompromisu, który nie był właściwie kompromisem, a równał się przyjęciu nieomal zupełnemu postulatów sowieckich. 8 sierpnia 1945 r. została podpisana w Londynie umowa o ustanowieniu Międzynarodowego Trybunału Wojskowego w Norymberdze, przy czym umowa ta stanowi jesz-



cze jeden przyczynek do sposobu traktowania przez Wielkie Mocarstwa mniejszych aliantów, co zresztą odpowiadało ściśle tezie sowieckiej. Umowa ta, opierająca się na deklaracji moskiewskiej z dnia 1 listopada 1943 r. została zawarta między 4 Wielkimi Mocarstwami „w interesie” wszystkich Zjednoczonych Narodów, z wykluczeniem mniejszych aliantów od jakiegokolwiek udziału w Trybunale wbrew zaleceniom Komisji Zjednoczonych Narodów dla dochodzenia w sprawach zbrodni wojennych, (w Międzynarodowym Trybunale Wojskowym dla Dalekiego Wschodu w Tokio każdy naród, będący w wojnie z Japonią mógł ustanowić w urzędzie oskarżycielskim swego prokuratora, podczas gdy w Norymberdze mniejsze państwa alianckie były całkowicie odsunięte od udziału w oskarżeniu, nawet w drodze pośredniej, w formie przyjętej w procedurze anglo-saskiej, „amicus curiae”). Tak więc decyzje w sprawie Trybunału były decyzjami politycznymi i muszą być traktowane jako takie. Były to decyzje wyłącznie zwycięzców, w drodze procedury stworzonej ad hoc, przez co stworzony został precedens na przyszłość, na który w przyszłości może powołać się każda strona zwycięska w stosunku do strony pokonanej. Ujął to doskonale prof. H. Lauterpacht, mówiąc:

„W obecnym stanie prawa międzynarodowego jest nie do uniknięcia, że prawo ukarania przestępców wojennych przyjmuje na siebie jednostronnie Zwycięzca, („should be unilaterally assumed by the victor”).

The British Yearbook of International Law, 1944, The law of nations and the punishment of war crimes.

Dobrze jest, jeśli sprawiedliwość jest po stronie zwycięzców, ale tak niekoniecznie być musi.

Ile dręczących pytań co do przyszłości prawa międzynarodowego zawiera takie stwierdzenie?

Wpływ sowiecki na prawo materialne, które miało być podstawą wyroku Trybunału Norymberskiego, jest zresztą starannie uwypuklony przez pp. Cypriana i Sawickiego. Piszą oni co następuje

„Wpływ prawa radzieckiego na statut przejawia się zwłaszcza w dziedzinie takich zasad, jak *nullum crimen* i *nulla poena* oraz *lex retro non agit*.

„W statucie widzimy to w art. 6 (kwalifikacja przestępstw), 13 (formowanie procedury) i 27 (system kar). Tak samo w kodeksie karnym radzieckim są art. 14 i 58, pozwalające na stosowanie tego kodeksu do czynów popełnionych przed ustanowieniem systemu radzieckiego. Kodeks ten daje sędziemu bardzo szeroką swobodę w kwalifikowaniu przestępstw — tworząc zarazem szereg nowych stanów faktycznych, nieznanymi dawnemu ustawodawstwu, jak np. przestępstwa ekonomiczne”.

Czytając motywy wyroku norymberskiego, nie można oprzeć

się wrażeniu, że pewne koncepcje prawne, wyrosłe z tradycji demokratycznych i mające ustalone prawa obywatelstwa w krajach kultury zachodniej, ustąpić musiały miejsca pojęciom, które stosowane przez analogię w prawach wewnątrzno-krajowych, oddają całkowicie jednostkę w ręce państwa i jego ideologii społeczno-politycznej. Podniesienie pewnych zasad, przejętych z ideologii totalistycznej, do rzędu zasad prawnych, na których ma się oprzeć ustroj wspólnoty międzynarodowej, jest niewątpliwie kapitulacją przed ustrojami totalistycznymi. Autorzy Prawa Norymberskiego piszą:

„Formalizm (sic!) prawny, wymagający ścisłego przestrzegania zasady *lex retro non agit* i przestrzegania przepisów prawa międzynarodowego, zakazującego podejmowania działań prawnych, zmierzających do osądzenia winnych przed zawarciem traktatu pokojowego, doznał już znacznego rozluźnienia, do czego zresztą walnie przyczynili się sami Niemcy, gwałcąc wszelkie prawo do tego stopnia, że zwolnili stronę przeciwną od zbytniego przestrzegania jego strony formalnej”.

To jest przynajmniej szczerze. Niewątpliwie przywódcy hitlerowscy ukarani być musieli, jednak było dosyć form i podstaw do ich ukarania bez odwracania się od zasad prawnych świata zachodniego, wyrosłych na tle poszanowania i ochrony praw jednostki.

Jest rzeczą znamioną, że Rosja Sowiecka nastawała szczególnie na ustalenie wyłącznej odpowiedzialności Niemiec za wybuch wojny, w myśl dezyderatów, wypowiedzianych w wyżej przytoczonej deklaracji marszałka Stalina z dnia 6 listopada 1943 r. Zadanie to, które Rosja postawiła przed Trybunałem Norymberskim, zostało niewątpliwie osiągnięte. W motywach wyroku Trybunału Norymberskiego w dziale „Agresja przeciw Polsce” bogaty materiał dowodowy w postaci archiwów niemieckich, został oświetlony w sposób niesłychanie jednostronny, nie uwzględniający zupełnie czynnej roli Rosji, która tak dobitnie została stwierdzona w wydanych niedawno w Stanach Zjednoczonych dokumentach urzędowych niemieckich. Bardzo wnikliwy obserwator brytyjski procesu, korespondent *Times'a* R. W. Cooper, w wydanej bezpośrednio pod wrażeniem procesu książce *The Nuremberg Trial*, Penguin Book, 1947, mimo całego swego appeaserskiego stosunku do Rosji, nie wahał się stwierdzić, że w procesie tym dokonano „destylacji” prawdy historycznej („distillation of the historic truth”, str. 148), ale mimo to dowodzi, że proces wykazał, że wojny w Europie chcieli wyłącznie Hitler i jego reżim (op. cit. str. 20 „It has also shown beyond all doubts that he and his régime alone willed war in Europe”). Te słabe strony oskarżenia wykorzystali zresztą niektórzy oskarżeni, zwłaszcza Ribbentrop i jego obrońcy, co wywołało nawet objawy zniecierpliwienia u zwolenników utrzymania jedności



międzysojusznicej za wszelką cenę, choćby kosztem prawdy historycznej. Tenże p. Cooper wyraźnie stwierdza, że wszystko, co mogło poddawać w wątpliwość dobrą wiarę Sowieców, musiało być jak najkategoryczniej wykluczone z debat, nawet jeśli pozostawało w bezpośrednim związku z postępowaniem niemieckim (op. cit. str. 31).

P. Cooper pisze dalej w związku z klauzulami tajnymi układu moskiewskiego niemiecko-sowieckiego z sierpnia 1939 r. co następuje: „Dużo mniej mówiliby się o tych klauzulach, gdyby oskarżyciele sowieccy nie przestawali oponować przeciw wszelkiej wzmiance w tym względzie, dając nawet poniekąd do zrozumienia, (leaving a vague interference), że tego rodzaju klauzule w ogóle nigdy nie istniały” (op. cit. str. 205, 206). Czyż Ribbentrop nie uderzał w słabą stronę oskarżenia, kiedy na dowód że wojna nie była uważana w roku 1939 za przestępstwo międzynarodowe przeciw pokojowi, cytował depeşe Stalina przy końcu kampanii z Polską, brzmiącą jak następuje:

„Przyjaźń między Niemcami i Unią Sowiecką jest oparta na krwi, wspólnie przelanej i ma wszelkie widoki do pozostania trwałą i silną”.

Jak dziwnym echem musiało rozbrzmiewać w sali norymberskiej przemówienie prokuratora sowieckiego Rudenki: „Po raz pierwszy w dziejach stają przed sądem przestępcy, którzy zagarnęli całe państwo i uczynili je środkiem do popełnienia strasznych zbrodni”. Zaś szczytem naiwności czy zakłamania, zwłaszcza dziś, musi się wydać przemówienie prokuratora francuskiego, (nota bene wybitnego działacza katolickiego), François de Menthon, który stwierdził w imieniu całego kompletu sędziowskiego

„Możemy zbadać nasze własne sumienia bez strachu, nie znajdziemy wspólnej miary między nimi (przestępcami wojennymi) a nami”.

Nie zajmujemy się na tym miejscu specjalnie zbrodniami wojennymi, stricto sensu, ale incydentalnie musimy przypomnieć, że w akcie oskarżenia (Indictment) z 18 października 1945 r. na str. 22, w dziale „morderstwa i złe traktowanie jeńców wojennych”, znajdujemy ustęp następujący, wprowadzony przez oskarżycieli sowieckich, (wbrew radom innych sprzymierzonych, jak stwierdza p. Cooper, op. cit. str. 43):

„We wrześniu 1941, 11.000 polskich oficerów zostało zabitych w Lesie Katyńskim niedaleko Smoleńska”.

W wyroku (Indictment) z dnia 30 września i 1 października 1946 r. wzmianka ta nie figuruje. Sprawozdawca Times'a p. Cooper sprawę Katyńską zaopatruje uwagą krytyczną pod adresem Sowieców, twierdząc: „że dały one powód do stworzenia 'kapitału politycznego' dla przyszłych generacji w Niemczech, oraz poza

Niemcami, przez obudzenie wątpliwości co do należytego obiektywizmu procesu”.

Nie bez zdumienia czytamy też votum separatum, (dissenting opinion), sowieckiego członka Trybunału Norymberskiego, I. T. Nikiczenko, w sprawie wyroku na Schachta, von Papen'a, Fritsche'a i Hessa oraz w sprawie nieuznania gabinetu Rzeszy, Sztabu Generalnego Rzeszy i Naczelnego Dowództwa Reichswehr'y (O.K.W.) za organizacje przestępcze.

P. Nikiczenko zarzuca gabinetowi Rzeszy m. i. zniesienie wolnych związków zawodowych i uwięzienie większości ich przywódców, stworzenie tajnej Rady Ministrów itd., itd., i wykazuje, że w Sztabie Generalnym dobierano ludzi stosownie do kryteriów ich wierności dla reżimu.

Można by mnożyć przykłady te w nieskończoność. Autorzy książki *Prawo Norymberskie* zdawali sobie sprawę z tego, że sprawa ew. „niegodności” (sic!) sądzących mocarstw do ścigania przestępców, winnych zbrodni przeciwko pokojowi, może być komentowana w sensie podważającym znaczenie wyroku. Odpowiadają oni na te zarzuty, jak następuje (str. 503):

„Zasada angielskich 'sądów słuszności' (equity courts), iż ten, kto szuka sprawiedliwości, musi sam być sprawiedliwy (He who seeks equity must do equity, lub: He who comes to equity must have clean hands), nie ma bowiem w tym wypadku zastosowania.

„Kto domaga się zastosowania do siebie zasad słuszności, musi mieć sam czyste ręce — zasada ta była jako norma adoptowana w prawie międzynarodowym, ale wedle jednomyślnej opinii nie ma zastosowania w prawach karnych”.

Nie chodzi nam tu bynajmniej o podważanie samego wyroku, który uważamy za sprawiedliwy i nie chodzi też o względy formalne, ale o moralne i polityczne znaczenie całego procesu norymberskiego, który wykazał wprawdzie zbrodnię systemu hitlerowskiego ale jednocześnie miał służyć do postawienia Rosji sowieckiej na równi z głęboko pokojowymi mocarstwami zachodnimi i do udzielania jej świadectwa dobrego prowadzenia się w społeczności międzynarodowej. Niemcy nie mają żadnego tytułu do usprawiedliwienia swych własnych zbrodni, ale obawiać się należy, że w motywach wyroku, pomijających całkowicie współodpowiedzialność Sowieców za wybuch wojny i przestępstwa wojenne, dokonane przez sowiecką armię i NKWD, Niemcy czerpać będą materiał propagandowy dla swych własnych celów politycznych. Z każdego nieomal paragrafu wyroku norymberskiego można by równie dobrze skazać kierowników polityki sowieckiej i uznać zarówno partię bolszewicką, jak i NKWD za organizacje przestępcze. Jakże jednostronnie przedstawiają sytuację autorzy *Prawa Norymberskiego* (str. 75):



„Pakt Kelloga, zobowiązania Ligi Narodów, dwustronne paktu o nieagresji, wszystko to runało pod uderzeniem niemieckich pancernych dywizyj; niemal cała Europa znalazła się pod okupacją niemiecką, podczas gdy Związek Radziecki gorączkowo przygotowywał się do obrony przed spodziewanym atakiem”.

Autorzy wydają się nic nie wiedzieć o agresji na Polskę i państwa bałtyckie, o wojnie z Finlandią i usunięciu Rosji Sowieckiej z Ligi Narodów po przyjęciu przez tę ostatnią rezolucji wyraźnie stwierdzającej agresję sowiecką.

Politycznie Sowiety będą niewątpliwie wyzyskiwały i już wyzyskują, wyrok norymberski w sensie propagandy przeciw wojnie prewencyjnej ze strony Zachodu, powołując się na formalne kryteria, zatwierdzone w Norymberdze. Rozporządzając formami agresji pośredniej, podziemną akcją swojej piątej kolumny i stałym mieszanym się do spraw wewnętrznych innych krajów, mogą Sowiety bronić formalnych kryteriów agresji i w tym kierunku prowadzić swoją propagandę, która nie pozostaje bez echa w szerokich masach świata zachodniego.

W wyroku norymberskim, z punktu widzenia prawnego, możemy z jednej strony całkowicie zgodzić się z pięknymi słowami Sir Davida Maxwell-Fyfe'a, przedstawiciela prokuratury brytyjskiej, w przedmowie, napisanej przez niego do cytowanej już książki R. W. Cooper'a:

„Sprawiedliwość i istotnie uporządkowany system sądownictwa są niezbędnymi przesłankami dla uzyskania wolności, szczęścia i dobrobytu”.

Z drugiej jednak strony nie możemy nie przyznać słuszności autorowi amerykańskiemu G. A. Finch, który w swym artykule „The Nuremberg Trial and International Law”, (The American Journal of International Law, January 1947, str. 35) pisze co następuje:

„Nie należy usypiać czujności świata w fałszywym poczuciu bezpieczeństwa przez przecenianie znaczenia werdyktu norymberskiego. Trybunał ten był wojskowy. Powaga jego wyroku, jako precedensu w czasie pokoju, może być wątpliwa. Ponadto brak w czasie pokoju Międzynarodowego Trybunału, wyposażonego w jurysdykcję, który by mógł kontynuować dzieło, rozpoczęte w Norymberdze”.

#### ZBRODNI PRZECIW LUDZKOŚCI

Trybunał norymberski ustalił w swym wyroku 3 kategorie przestępstw międzynarodowych: zbrodnie przeciw pokojowi, zbrodnie wojenne, zbrodnie przeciw ludzkości. Ta ostatnia kate-

goria przestępstw została określona w artykule 6 c) Karty Trybunału w formie następującej:

„Zbrodnie przeciw ludzkości, a mianowicie mordowanie, wyniszczenie, niewolnictwo, deportacje i inne nieludzkie akty, popełniane przeciw wszelkiej ludności cywilnej przed wojną lub podczas niej; lub prześladowania z przyczyn politycznych, rasowych i religijnych, w popełnianiu przestępstw albo w związku z wszelkimi przestępstwami, podpadającymi pod jurysdykcję Trybunału, bez względu na to czy miały one miejsce z pogwałceniem, czy nie, praw wewnętrznych kraju, na terenie którego zostały dokonane”.

Trybunał rozpatrywał więc zgodnie z Kartą te kategorie przestępstw tylko w związku ze zbrodniami wojennymi, tym niemniej Karta dała nader wyczerpującą definicję tych zbrodni, co niewątpliwie odkrywa szerokie horyzonty na przyszłość. Tym bardziej żałować należy, że autorzy **Prawa Norymberskiego**, przerażeni konsekwencjami, jakie przyjęcie tej definicji mogłoby spowodować dla państw totalnych, robią rozpaczliwe wysiłki, aby przeprowadzić interpretację wyraźnie zwężającą zakres zbrodni i przystosowaną do celów polityki bolszewickiej. Oświadczają więc oni kategorycznie, że „stan faktyczny tego przestępstwa nie ma na celu generalnej ochrony obywateli przed władzami własnego państwa”, str. 319.

Mówią dalej: „Połączenie już obecnie zbrodni przeciw ludzkości z konstytucyjnymi prawami człowieka — innymi słowy zaopatrzenie sankcjami karnymi naruszenie pewnych konstytucyjnych praw obywatela — byłoby w tym etapie stosunków nierealne i od razu pozbawiłoby uzyskaną definicję praktycznego znaczenia”, str. 455.

„Niektórzy usiłują rozszerzyć pojęcie zbrodni przeciw ludzkości na: wszelkie pogwałcenie jakichkolwiek praw człowieka. Takie postawienie problemu wydaje się nam w obecnym stanie rozwoju prawa międzynarodowego — przedwczesne. Dotychczas nie została sprecyzowana dokładnie lista praw człowieka, która by obowiązywała powszechnie.

„Obecnie prawa człowieka stanowią one przez poszczególne konstytucje. Te zaś odpowiadają układowi stosunków społecznych w danym kraju, lub są — co bardziej odpowiada rzeczywistości — ujęte deklaracją konstytucyjną, wprowadzane w życie i praktycznie chronione w zależności od układu sił ekonomicznych, społecznych i politycznych w danym kraju”.

Sprawa ta nabiera szczególnie na znaczeniu, jeśli uświadomimy sobie, jaką rolę odgrywa Rosja z satelitami na terenie Komisji Praw Człowieka Zjednoczonych Narodów, przeciwsta-



wiając się wszelkim tendencjom zagwarantowania w drodze międzynarodowej tego, co Roosevelt nazwał „czterema wolnościami”. Rosja z satelitami staje tu, rzecz charakterystyczna, w obronie suwerenności państwowej i w związku z tym warto cytować znamienne wypowiedzenie się sowieckiego teoretyka, D. Lewina, w jego dziele *Zasada suwerenności w burżuazyjnej nauce prawa* (Princip suverenitjeta w burżuaznoj naukje prawa, Izvestia Akademji Nauk SSSR N. 3/1947, str. 154).

„...Negacja całkowita suwerenności państwowej wyraża daleko idące dążenia monopolistycznego kapitału w głównych państwach kapitalistycznych do światowej hegemonii i do wyzyskania w tym celu szeregu nowych instytucji prawa międzynarodowego”.

Gdzie więc kontrola międzynarodowa stosunków wewnętrznych mogłaby być niewygodna dla organizmów totalnych, Sowiety kryją się za zasłonę suwerenności państwowej. Z definicji zbrodni przeciw ludzkości przyjmują tylko jedną zasadę: prześladowanie pewnych grup ludzkości ze względów rasowych czy socjalnych, gdyż to umożliwia im propagandę w stosunku do krajów kapitalistycznych i kolonialnych. I dlatego też autorzy *Prawa Norymberskiego* uważają, że pojęcie zbrodni „wyrosło przede wszystkim jako reakcja na praktykę pewnego światopoglądu, który różniczkował ludzi w ich prawie do ochrony karnej. Państwo faszystowskie, będące instrumentem tego światopoglądu, urzeczywistniło zamiar dyskryminacji ludzkości ze względu na rasę, religię i narodowość. I tu tkwi punkt ciężkości tego przestępstwa!”, str. 310.

Natomiast autorzy mają „poważne wątpliwości” co do ochrony grup politycznych, czyli co do obrony swobody przekonania politycznych (vide str. 545). Zdaniem autorów:

„W obecnym etapie historycznym zaborczy kapitalizm imperialistyczny znajduje w utrwaleniu i rozszerzeniu doktryny nierówności narodów i ras — doskonały instrument do podporządkowania sobie i eksploatacji całego świata kolonialnego oraz do rozszerzenia tej nierówności również na te narody i rasy, które nie posiadają jeszcze statusu eksploatowanej kolonii. Tej doktrynie nierówności służyć mają również dyspozycje prawa karnego, czyniące różnice w ochronie człowieka, zależnie od jego przynależności rasowej, religijnej i narodowej. Faszizm odsonił tylko w całej jaskrawej nagości ten proceder”.

Można by na te twierdzenia tylko odpowiedzieć: „Medice cura te ipsum”, skoro w ten sposób odwraca się uwagę od gwałcenia zasadniczych praw człowieka, zresztą bez jakichkolwiek dyskryminacji, w samej Europie. Ale nie możemy też zamykać oczu na to, jak ta zasada zbrodni przeciw ludzkości interpretowana jako wyznawanie poglądów faszystowskich, została wyzyskana

w systemach totalnych, aby podporządkować jednostkę całkowicie wszechwładzy państwa i jego światopoglądowi polityczno-socjalnemu.

Autorzy słusznie podkreślają, że „ten nowy typ zbrodni przez swój podwójny charakter: zbrodni przeciw prawu międzynarodowemu i prawu wewnątrzno-krajowemu, otwiera dla systematyki prawa nowe horyzonty”, str. 339. W dziedzinie prawa karnego wewnątrzno-krajowego doprowadza on mianowicie w drodze perfidnej interpretacji do przyjęcia systematyki prawa karnego sowieckiego, które obok „subiektywnego elementu winy” przyjmuje element społecznego niebezpieczeństwa”, (a więc zagrożenia społecznego) oraz karanie przestępcy przez „stosowanie analogii”. Jaki to ma wpływ na ustawodawstwo komunistycznej Polski, to świadczy o tym najlepiej nowy Mały Kodeks Karny, wprowadzony dekretem z dnia 13 czerwca 1946 r. „o przestępstwach szczególnie niebezpiecznych w okresie odbudowy państwa” (Dz. U.R.P.N. 30, poz. 192 z dnia 13.6.1946).

Wystarczy przytoczyć artykuł 29 tego Dekretu:

„Kto publicznie lży, wyszydza, lub poniża ustrój Państwa Polskiego lub pochwała faszyzm, lub jakąkolwiek jego odmianę, albo zbrodnie faszystowskie, lub też publicznie nawołuje do ich popełniania, bądź do wprowadzenia w Polsce instytucji w celach faszystowskich, podlega karze więzienia do lat 10”.

Jeśli uświadomimy sobie, jak szeroko interpretuje się pojęcie „faszyzm” w obecnej Polsce i gdzie „faszystą” może być każdy człowiek, nienależący do P.P.R., to łatwo przyjdzie do przekonania, że państwo zapewniło sobie w ten sposób ochronę karną dla światopoglądu politycznego i społecznego, przyjętego przez rządzącą w powojennej Polsce monopartię.

Zrozumiemy w tych warunkach krytykę teorii zbrodni przeciw ludzkości, podjętą przez prawników Zachodu. Wystarczy przytoczyć tutaj opinię francuskiego członka Trybunału Norymberskiego, profesora Donnedieu de Vabres, który w artykule: „Le Jugement de Nuremberg et le principe de la légalité des délits et des peines” w *Revue de droit pénal et de criminologie*, Bruxelles, N. 10, 1947, — pisze, co następuje:

„La théorie des crimes contre l'humanité est dangereuse: dangereuse pour les personnes par l'absence d'incrimination précise; dangereuse pour les Etats, parce qu'elle offre un prétexte à l'immixtion d'un Etat dans les circonstances intérieures d'Etats moins forts”.

Z tą krytyką można się zgodzić jedynie częściowo, jest ona słuszna do momentu, kiedy nie zostaną określone jasno prawa człowieka i ustalone gwarancje międzynarodowe z możliwością odwołania się jednostek do instancji międzynarodowej. „Bill of Human Rights” i dostęp jednostki do Trybunałów międzynaro-



dowych, propagowane są przez szereg instytucji prawa międzynarodowego w Anglii zwłaszcza przez „Grotius Society”, (vide Proceedings of the International Law Conference, London, 1944, Transaction of the Grotius Society, Vol. 30, z nadwyzczaj ciekawym referatem V. R. Idelson'a, pt. „The Law of Nations and the Individual” i dyskusją). Bez zagwarantowania w tej drodze praw jednostki, państwo, ten Hobbesowski Leviatan, pochłonie jednostkę i łącznie z tym najcenniejsze wartości naszej cywilizacji.



Wydaje mi się, że ta dość obszerna analiza, która nie objęła jednak całego szeregu innych ciekawych zagadnień, doprowadzić nas musi do wniosków odmiennych od autorów, którzy, tkwiąc w rzeczywistości krajowej, kształtującej się według wskazań obcej ideologii, oddalili się i od zasad prawnych, na których oparł się świat zachodni i od starych tradycji polskich, które mogą poszczycić się takimi aktami, jak **neminem captivabimus nisi iure victum**. Założenia, z których wyszli autorowie, objęcia sankcjami karnymi możliwie największej ilości stanów faktycznych, doprowadzają do uznania zasady swobodnej oceny sędziego, do wszechwładzy państwa, do usankcjonowania zasady monopartii, do całkowitego pochłonięcia jednostki przez państwo. Wydaje się nam, że droga do ugruntowania zasad prawnych w stosunkach międzynarodowych i wewnętrznych, musi prowadzić przez uznanie praw jednostki, przez poszanowanie indywidualności ludzkiej, co stanowi podstawę cywilizacji zachodniej oraz chrystianizmu. Jedynie tą drogą dojdzie się do całkowitej realizacji zasady równości, która tak jednostronnie jest propagowana w ideologii komunistycznej. Ta zasada nie jest wynalazkiem Rewolucji Francuskiej, ani tym mniej komunizmu — na niej oparła się cała nauka Chrystusa. **Ubi non est justitia non esse rempublicam**, powiedział św. Augustyn, a św. Tomasz z Akwinu, definiuje w ten sposób naczelną cel działalności politycznej, która winna być skierowana przede wszystkim ku dobru jednostki:

**Persona significat it quod est perfectissimum in tota natura, scilicet subsistens in rationali natura.**

Wszelkie oddalanie się od tej zasady grozi zawaleniem się całej naszej cywilizacji i rozplynięciem się w morzu posuwającego się czerwonego totalizmu.

**Tytus KOMARNICKI.**

## Obraz poetycki

### 2

#### DZIEDZINA OBRAZU

Śmiałość nie jest niezbędna dla tworzenia obrazów. «Umysł ludzki» — jak powiedział Wordsworth — jest zdolny do podniecania się bez użytku wulgarnych i gwałtownych środków». Co więcej, obraz może być dla współczesnych poetów świeży i pozostać świeży na zawsze, nie będąc szczególnie śmiałym. Wiersz Fletchera<sup>7)</sup>: *Like hollow murmuring wind or silver rain* (Jak pusty szepczący wiatr lub srebrny deszcz) jest tu przykładem. Ani też intensywność nie jest rzeczą zasadniczą. Gdyby była, to musielibyśmy przyznać, że zdanie Emily Dickinson<sup>8)</sup>:

*Creation seemed a mighty crack  
To make me visible,*

(*Stworzenie wydawało się potężnym pęknięciem po to, bym się stał widoczny.*)

ponieważ w dwóch linijkach mówi to, co Księga Rodzaju czy *Raj Utracony* powiedziały o wiele obszerniej o zdaniu sobie sprawy z poczucia winy wobec gniewu boskiego, jest dlatego w jakiś sposób «lepsze» od nich. Jeśli istnieje coś zasadniczego w dziedzinie obrazów, to jest nim nie śmiałość albo intensywność, ale zgodność, kongruencja — to żeby obraz był zgodny z namiętym przekonywaniem, a także z formą wiersza. Przedłużone porównanie, na przykład, zgodne jest z formą epiczną lub opisową, ale nie z krótką liryką, jest to oczywiście kwestia równowagi.

Rozwój poezji lirycznej z muzyką był, być może, największą rewolucją, jaka zdarzyła się w poezji angielskiej. Rozpoczął się on w okresie, kiedy literatura nasza znajdowała się pod działaniem dwóch potężnych wpływów: rozczarowania, kaceniageru duchowego, który przenikał Anglię elżbietańską po zwycięstwie nad Armadą; oraz proskrypcji teatru przez Purytanów... Jestem przekonany, że te dwa czynniki głównie spowodowały taki a nie inny rozwój «metafizycznej» szkoły poezji, która od

7) John Fletcher (1579-1625), jeden z mniejszych poetów ery elżbietańskiej.

8) Emily Dickinson (1830-1888), poetka, pochodzenia amerykańskiego, dość ceniona dzisiaj.



Donne'a<sup>9)</sup> do Cowley'a<sup>10)</sup> rzuciła się w najbardziej domowe, najbardziej niedostępne, najbardziej czarujące i najbardziej odpychające dziedziny doświadczenia ludzkiego w poszukiwaniu nowych źródeł obrazu.

«Kto poza Donne'm» — zapytał w swój bezpośredni sposób dr Johnson — «wpadłby na pomysł, że człowiek poczciwy jest teleskopem?» Odpowiedź brzmi, że niemal każdy poeta siedemnastego wieku mógłby to uczynić... Przypisać to należy głównie rozczarowanym nastrojom tego okresu, co nieraz zwraca wyobraźnię poetów do wewnątrz w poszukiwaniu pewności, której nie mogą znaleźć na zewnątrz, co sprawia, że wiersz staje się trudniejszy, ale za to pod względem techniki bardziej śmiały.

Jak zwykle rewolucje, ta rewolucja przyniosła wiele chwilowego zamieszania. «Metafizycy» musieli znaleźć coś, co by zastąpiło to panowanie, tę siłę formatywną, którą cel dramatyczny, opisowy lub muzyczny wywiera na «obrazy poetyckie». To co zrobili, to było zorganizowanie wiersza przez logikę fantazji. Zamiast wywodu dramatycznego lub opisowego, powstał rodzaj wywodu, opartego na współdziałaniu rozsądku i fantazji. «Metafizycy» kontynuowali ten wywód bez litości, pędząc wiersz od jednego obrazu do drugiego wzdłuż łańcucha fantazji, czasem aż do absurdu. «Koncept» (the conceit), tak jak oni go rozumieli, był traktowaniem przez fantazję, materiału w przeważającym stopniu intelektualnego. Ponieważ przerzucali się oni z taką szybkością od jednego obrazu do drugiego, a również dlatego, że podniecenie intelektualne w ich obrazach ma tendencję do przyśmiewania elementów zmysłowych, ich «koncepty» nie są wysocze ewokatywne — można by je porównać do efektu, jaki osiągniemy stukając paznokciem w kieliszek, a następnie przykładając palec do kieliszka, by przytłumić dźwięk.

Ścisłe biorąc, wiele z ich «konceptów» nie należy w ogóle do dziedziny obrazów, jak stwierdził Johnson, ilustrując swą tezę wierszem Cowley'a o Kainie i Ablu:

*I saw him fling a stone, as if he meant  
At once his murther and his monument,*

(Widziałem jak rzucił kamień, jak gdyby miał na myśli zarazić zamordować go i wznieść mu pomnik)

«daje on sugestie zamiast obrazów i ukazuje nie to co można przypuszczać, że się widziało, lecz myśli, które widok ten mógł nasunąć». Lecz czy prawdą jest, że nie ma tu wcale obrazu? Czy nie dostrzegamy, przez intelektualną grę słów, jak kamienie lecą i jak powstaje kopiec?

Nakreślając więc granice tej wielobocznej dziedziny obrazów nie powinniśmy stawiać na jednym krańcu «konceptu» a czegoś

9) John Donne (1573-1631), współczesny niemal Szekspirowi twórca «metafizycznej» szkoły w poezji angielskiej.

10) Abraham Cowley (1618-1667), jeden z późniejszych metafizyków, poeta głównie religijny.

innego na drugim. Raczej powinniśmy rozróżniać obrazy o wysokim ładunku myśli od obrazów o niskim napięciu intelektualnym, pamiętając że jak wiersz o zbytnej zmysłowości będzie zbyt nerwowy, tak z drugiej strony nadmierne stężenie myśli go sparaliżuje..

Co jest ważne dla naszego tematu, to że «metafizyczni» poszukiwacze obrazów... mieli tendencje nie tylko do przeładowania obrazów myślą, ale do zatrzymywania samego toku myśli. Johnson krytykował ich za rozmienianie myśli na zbyt drobne i za kontynuowanie ich zbyt daleko... A W. P. Ker, omawiając reakcje epoki augustowskiej<sup>11)</sup> przeciw «metafizykom» powiedział mądrze: «Żadna myśl nie jest w stanie myśleć, jeżeli jest ciągle łamana na drobne kawałeczki, na małe błyszczące pomysłowe obrazy».

Otóż poeci augustowscy chcieli przede wszystkim, by ich myśl myślała... Interesowały ich pojęcia i wersyfikacja pojęć; dla nich funkcją przenośni i porównania było ilustrowanie pojęć, a nie ich tworzenie. Gdy Goethe powiedział, że «istnieje wielka różnica między poetą, który szuka szczegółu ze względu na ogół i tym, który szuka ogółu w szczególe» dodając, że «to ostatnie jest prawdziwą metodą poezji», to w gruncie rzeczy potępił on metodę augustowską. Taka jest też ogólna tendencja nowoczesnej krytyki.

Mówią nam, że większość obrazów poezji augustowskiej ma znaczenie czysto dekoracyjne.. Abstrakcyjne różnice między obrazem dekoracyjnym a funkcjonalnym są całkiem bezwartościowe. Musimy się najpierw zapytać co poeta chce osiągnąć w wierszu, a potem dopiero, czy jego obrazy nadają się do tego celu czy nie. Jeśli się nadają, to są one «funkcjonalne», żeby się wydawały nie wiem jak «dekoracyjne» w sensie płytkich, nie mówiących, czy nawet powierzchownych. Jeszcze raz, jest to kwestia zgodności, kongruencji. Poeci augustowscy używali obrazów kongruentnych z celem i wzorcem swych wierszy, zależnie od tego czy były one satyryczne, heroikomiczne czy kontemplacyjne; i dlatego też obrazy ich, choć nieraz płaskie, są przynajmniej kongruentne między sobą.

Wielkością romantyków było odkrycie — czy tylko ponowne odkrycie — i zbadanie natury myśli poetyckiej. Dziś jednak, gdy poeci sprzedają nam ten termin «myśl poetycka» jako wytłumaczenie niemyślenia w ogóle, dobrze zrobimy przypominając sobie, jak bardzo oddalone było romantyczne pojęcie poezji od pojęcia wzorca obrazów połączonego jedynie przez naturę obrazów lub przez siłę uczucia poza nimi. Pod koniec życia Keats powiedział w liście:

Mam nadzieję, że jestem trochę więcej filozofem niż byłem. W rezultacie nieco mniej wierszującym jagniątkiem Arystoteles, który oświadczył, że poezja jest nie tylko naj-

11) Epoka augustowska (Augustan era)—angielski pseudoklasycyzm XVIII wieku.



bardziej poważną (spudajotaton) ale i najbardziej filozoficzną ze wszystkich sztuk, przyznałby mu rację.

### WZORZEC OBRAZÓW

Jak dotychczas zajmowaliśmy się — rzecz nie do uniknięcia — obrazami samymi w sobie, w oderwaniu od kontekstu. Ale obrazy to nie są rzeczy oderwane ani też kompletne, chyba w tym sensie, że cały wiersz może być złożonym obrazem. Czy są one nawleczone razem, jak w poezji augustowskiej na nitkę logicznego wywodu wysnutego z centrum tematu, czy też, jak w poezji romantycznej, związane są bardziej elastycznymi więzami, — obowiązkiem namiętnego badania i objawiania doświadczeń, które jest od tej poezji nieodłączne, czy też — jak w dużej ilości poezji współczesnej — tworzą te obrazy ze swej własnej materii środek, który je wzajemnie cementuje; — zawsze, w pewnym sensie, jeśli utwór ma być całością, a nie seria piorunujących błysków, to musi powstać wzorzec obrazów («a pattern of imagery»), odpowiadający pokrewieństwu znajdującemu się u podstaw całej żyjącej i nieożywionej rzeczywistości. Pragnę obecnie zająć się naturą tego wzorca. Musimy podchodzić do niego z dwóch różnych stron: od strony aktu twórczości poetyckiej i od strony skończonego utworu.

Tworzeniem i przekazywaniem obrazów poetyckich zajmuje się wyobraźnia i zdaje mi się, że żadna z władz umysłowych nie jest trudniejsza do zdefiniowania, żadna inna nie zgromadziła wokół siebie definicji tak różnorodnych, tak wspaniałych, tak na pierwszy rzut oka sprzecznych. Dla Shelleya wyobraźnia była bogiem a on sam jej prorokiem.

Wyobraźnia to nieśmiertelny Bóg, który przyjął ciało

dla odkupienia śmiertelnej namiętności.

Shelley nie może nie mówić o niej językiem przenośni, językiem proroka, gdyż tylko przez tak obszerne uogólnienia jest w stanie dotrzeć do jej zasadniczo poetyckiej wartości. Ale jego pojęcie wyobraźni zawiera również i normalną definicję tego terminu, i zależy od niej — że jest to zdolność, postawienia się w czymś innym miejscu. Z tej zdolności płynie to ludzkie współczucie<sup>12)</sup>, które pozwala Shelley'owi na nazwanie wyobraźni «wielkim narzędziem dobra moralnego»: ponieważ jego zdaniem zajmuje się ona percepcją wartości.

Rozum jest to wyliczanie znanych już ilości; wyobraźnia to percepcja ich wartości, wszystkich razem i każdej z osobna.

Pouczające jest porównać z definicją Shelley'a definicję współczesnego krytyka, Cyril Connolly, który nazwał wyobraźnię «nostalgia za tym co minęło, co jest nieobecne». Jakież tu

<sup>12)</sup> Tak tłumacząc angielskie znaczenie słowa „sympathy”, wywodzące się zresztą wprost z greckiego.

spadek, od «wielkiego narzędzia dobra moralnego» do nostalgii, która wśród uczuć gra rolę przykutej do łóżka chorej, o interesującej bladeści! Ten spadek charakterystyczny jest dla ogólnego zwięzienia domeny poetyckiej w ostatnich czasach; lecz zanim odrzucimy nostalgię, powinniśmy przypomnieć sobie jak to homerycki epitet dla pięknej estetycznego «himerceis», zawiera to samo znaczenie tęsknoty, wydzierania się do tego co nieobecne, które dziś nam przekazuje «nostalgia».

Gdy mówimy o wyobraźni poetyckiej, to mówimy więc z jednej strony o współczuciu wspólnym wszystkim ludziom, a z drugiej o nieustannym dążeniu tego współczucia ku celom nieosiągalnym w inny sposób — ku temu co przeszłe, co przyszłe, co nieobecne, ku wszystkiemu co leży poza zasięgiem obecnego doświadczenia, bez czego sens doświadczenia tego byłby o wiele mniej wyraźny i pełny. Natura współczucia poetyckiego wyraża się w obrazach i nie znam lepszego sposobu określenia go niż przez wybór obrazów, w które poeci wcielili to współczucie lub dali o nim świadectwo. Pamiętamy linie Szekspira

*Love's feeling is more soft and sensible  
Than are the tender horns of cockled snails.*

(Uczucia miłości są bardziej łagodne i czułe niż delikatne róźki [ślimaków]).

A Tomasza Hardy

*If I pass during some nocturnal blackness, mothy and warm,  
When the hedgehog travels furtively over the lawn,  
One may say „He strove that such innocent creatures should*

*„Come to no harm,  
But he could do little for them: and now he is gone”.*

(Jeśli odejdę w jakiejś nocnej czerności, ćmistej i ciepłej. Gdy jeż ukradkiem wędruje poprzez trawnik, Może powiedzą: „On walczył o to, by takim niewinnym stworzeniem nie działa się krzywda. Ale niewiele mógł zrobić dla nich; a teraz już go nie ma”.)

Następnie Gerard Manley Hopkins który pisze w swoim dzienniku:

Jesien rosnący w kącie ogrodu został ścięty. Wpierw obciosano go z gąszi: usłyszałem ten dźwięk i gdy wyjrzałem i zobaczyłem jak jest okaleczony, to naszedł na mnie w tej chwili wielki ból i pragnąłem umrzeć i nie widzieć już nigdy jak niszczone jest wewnętrzny krajobraz świata.

Utożsamienie poety z przedmiotami, które przemawiają do jego zmysłów jest krokiem wstępnym w tworzeniu obrazów.

Poeta więc zaczyna od wrażenia, kropli w rzece doświadczenia, skryształizowanej być może w obraz. Lub powiedzmy może raczej, że w ten sposób skłonni są zaczynać poeci dzisiejsi, bo były czasy, jak zauważyliśmy, kiedy zaczynał on — tak przynajmniej się wydaje — od abstrakcyjnego pojęcia, a następnie zabierał się do ubrania go w szaty poezji. Metoda obecna,



o tyle o ile różni się ona od klasycznej, wskazana jest w słowach Goethego:

Nie było ogólnie biorąc moją metodą jako poety by dążyć do wcielenia czegoś abstrakcyjnego. Otrzymywałem wewnątrz siebie samego wrażenia — setki rodzajów wrażeń, zmysłowe, żywe, piękne, wielobarwne — tak jak je przedstawiała czujna energia wyobraźni.

To jest pierwsze stadium. W. B. Yeats daje świadectwo drugiemu, gdy cytuje Goethego «Trzeba pozwolić na utworzenie się obrazów wraz ze wszystkimi ich skojarzeniami, zanim się przejdzie do krytyki» i mówi następnie o stanie podobnym transowi, w którym «obrazy przechodzą przed nami szybko» i dodaje, że niezbędne jest «zawieszenie woli i intelektu, dla wydobycia z podświadomości wszystkiego czegośkolwiek jakiś ułamek już posiadamy». Ta skupiona uwaga, która czuwa nad narodzinami wiersza od chwili, gdy dadzą się uczuć pierwsze bóle porodowe — skupienie zaiste bezwolne, a jednak intensywne i przez samą swą bierność dopomagające w tym procesie naturalnym, który wydobywa cały wiersz na światło dzienne — ta uwaga może być nazwana bez przesady zawieszeniem intelektu. Ale zachodzi ona na trzecie stadium, kiedy to uwaga poety staje się bardziej czynna (Malebranche nazwał tę uwagę «modlitwą intelektu») i gdy zaczyna się zadanie krytyki, wybór lub odrzucenie skojarzonych obrazów zgodnie z wynurzającym się obecnie wzorcem utworu. Ten proces twórczy aż do chwili wynurzenia się ukształtowanych już obrazów z nieświadomości opisany jest przez Drydena<sup>13)</sup> we wstępie do *The Rival Ladies*, gdzie mówi on o czasie, gdy sztuka stała była tylko «zmieszana masą myśli, przewracających się jedna przez drugą w mroku; gdy Wyobraźnia rozpoczynała dopiero swą pracę kierując śpiące obrazy rzeczy ku światłu, by tam zostały rozróżnione i przyjęte lub odrzucone przez Rozum».

To lukrecjańskie zdanie «kierując śpiące obrazy rzeczy ku światłu» porównać można do następującego urywka z E. S. Dallas'a<sup>14)</sup>:

Ciągi myśli przechodzą nieustannie tam i nazad ze światła w ciemność i z ciemności z powrotem w światło. Gdy prąd myśli przepływa przez naszą świadomość poza naszą świadomość, to ginie, zapominamy o nim... Po pewnym czasie powraca do nas zmieniony i powiększony, jak gdyby był nową myślą.

Nie wydaje mi się, by nasza współczesna psychologia, którą w tym punkcie on i Dryden uprzedzili, potrafiła to lepiej wyrazić. Dallas był zdania, że wyobraźni nie należy uważać za

władzę odrębną od myśli, lecz za myśl działającą «automatycznie» czyli nieświadomie.

Wyobraźmy sobie rybaka siedzącego na wyspie i dumającego jak to rybacy nad swymi wędkami i nad morzem, w którym znikają; jako przynętę wędki te mają coś co się przedtem wynurzyło z morza, «donnée» wiersza, wstępny nastrój lub myśl lub obraz; od czasu poeta odczuwa szarpnięcie wędki — coś się złapało; obchodzi się on z tym bardzo delikatnie, wyciąga wędkę ostrożnie, bo w tym morzu ryby straszliwie się wyslizgują; a jeśli ją wreszcie wyłowi, to może się okazać, że to wcale nie ta której chciał, więc — o ile nie jest to rybak który zadawała się wszystkim, co ma pletwy — wrzuca ją z powrotem. Otóż należy zwrócić uwagę na pewne punkty na tym obrazie. Jasne jest, że ryby nie będą brały, jeśli w okolicy ryb nie ma; i nie może on nic zrobić, żeby zmusić je by brały. Może tylko czekać cierpliwie mając nadzieję, że na haczyku znajduje się odpowiednia przynęta. Nie może interweniować, zanim szarpnięcie wędki nie da mu znać, że coś tam jest gotowe, by je wyciągnąć z nieświadomości. A szarpnięcie może tylko znaczyć, oczywiście, że zahaczył on jakiś wodorost, puszkę od konserw lub stary but, ledwie pokryty przypliwem na płytkim przedbrzeżu świadomości.

To, co wynurza się z nieświadomości, gdy wędka pójdzie głęboko, to jest obraz; bo własnością tego morza jest, że obraca ono każde przeżycie w obrazy — że wydobywa jego znaczenie emocjonalne zanurzwszy je w wyobraźni. Obraz jest to fakt, który przeszedł tę morską przemianę.

Gdy «donnée» wiersza pojawia się w formie obrazu, co ma miejsce najczęściej, to poeta będzie badał ten obraz, starając się odkryć co on znaczy i dokąd mógłby go zaprowadzić. Może on być dla niego pierwszą poszlaką co do tematu i formy nienapisanego jeszcze utworu. Podczas tego procesu badania inne obrazy zaczynają się kojarzyć z obrazem kluczowym. W tym właśnie stadium powstaje najbardziej drażliwy dla poety problem: z jednej strony musi on dalej, nie wydając sądu, oczekiwać na nadplywające obrazy, bo gdyby dopływ ustał, wierszowi zabrakłoby materiału; z drugiej strony w miarę jak wiersz przybiera kształt, musi on stopniowo przesuwac się ze stanowiska odbiorczego na krytyczne, aby wzorzec obrazów dostał się coraz bardziej i bardziej pod kontrolę jego techniki. Kontrolę tę utrudnia, od początku do końca, niezdiscyplinowane zachowanie tego czynnika — wszystko jedno jak go nazwiemy — który wydobywa obrazy do świadomości. Mógłbym porównać ten czynnik z entuzjastycznym ale głupawym psem; rzuca się on w poszycie leśne raz po razie i powraca, by położyć u naszych stóp tak rzadko zwierzynek, której szukamy, a jakże często ptaka zabitego dawno temu przez kogoś innego albo jakiś inny przedmiot, który nie ma w ogóle nic wspólnego z polowaniem.

13) Jeden z dwu największych poetów epoki pseudoklasycznej.

14) Drugorzędny krytyk epoki wiktoriańskiej.



Lecz jak rozpoznaje się zwierzyne której się szuka? Jak wiedzieć, którą rybę zatrzymać, a którą wrzucić z powrotem? Czasami dreszcz rozpoznania jest tak niemylny dla poety jak będzie później dla czytelnika. Częściej obraz wybrany jest bez podniecenia, po długim świadomym rozważaniu, bo wiadać, że on właśnie pasuje do pewnego miejsca we wzorcu i że prowadzi on jak najenergiczniej w kierunku dalszego rozwoju. Ale nigdy nie jest za często powtarzać, że poeta nie wie w całej pełni jaki wiersz pisze, zanim go nie napisał. Odnosi się to zarówno do nielicznych wypadków wierszy napisanych bezpośrednio pod wpływem natchnienia jak i, na drugim krańcu, do wierszy stworzonych przez najbardziej świadomą i pracowitą technikę. Bo wymagania natury technicznej stawiane przez formę wiersza stwarzają trudności, które mogą częściowo pokierować rozwojem wiersza. Paul Valéry powiedział, jeśli się nie mylę, że potrzeba pewnego rymu zmieniła cały bieg jednego z jego wierszy. Coventry Patmore, mówi bardzo rozsądnie o

*curiosa felicitas*, ...co oznacza «staranne szczęście» tego, kto próbuje wielu słów i posiada tyle bystrości, by wiedzieć kiedy pamiętać, konieczność rymu lub rytmu, dostarczyła mu niespodziewanie takich słów, które są może jeszcze lepsze niż mógł świadomie pragnąć.

Podstawowym punktem mojej teorii jest, że wzorce obrazów muszą naprawdę być wzorcami, a nie przypadkowymi zbiorami malowideł słownych. Co na przykład tak bardzo nas wzrusza w obrazie Coleridge'a:

*It ceased; yet still the sails made on  
A pleasant noise till noon,  
A noise like of a hidden brook  
In the leafy month of June,  
That to the sleeping woods all night  
Singeth a quiet tune.*

(*Ustał, lecz wciąż żagle kontynuowały miły hałas, podobny dźwiękowi strumyka w liściastym miesiącu czerwcu, który całą noc śpiewa spokojną nutę śpiącym lasom*).

To nie tylko piękno dźwięku i zmysłowego opisu; to także to, że każdy szczegół tego obrazu odpowiada i szczęśliwie się przeciwstawia jakiejś części tortury fizycznej, przez którą Stary Żeglarz właśnie przeszedł — śmiertelna cisza morska, pragnienie, upał i brak cienia, bezsenność. Za tym znajduje się ta sama zasada, która działa we wszystkich technicznych stronach wiersza — w rytmie, rymie, aliteracji, refrenie — zasada powtarzania, przy pomocy której umysł doznaje przyjemności rozpoznania czegoś znanego, co powraca w nowej szacie.

Gdy mówimy więc o kongruencji (pasowaniu do siebie) obrazów, to musimy mieć na myśli coś więcej niż zewnętrzne podo-

bieństwo. To podobieństwo może istnieć, oczywiście, ale najczęściej, i w coraz większej mierze w poezji nowoczesnej, szukać należy sieci łączności między obrazami we wierszu pod jego powierzchnią. To ku czemu poeta, ku czemu każdy artysta zmierza to zgodność wrażenia; bo bez tego nie da się udzielić drugiemu prawdy poetyckiej. I. A. Richards przypomniał nam tę bardzo użyteczną prawdę, że

...ta zdumiewająca zdolność (poety) do porządkowania mowy jest tylko częścią jeszcze bardziej zdumiewającej zdolności do porządkowania doświadczenia.

Zgodność wrażenia we wierszu jest wynikiem udanego porządkowania doświadczenia, z którego wywodzi się wiersz. I musimy pamiętać, że choć temat każdego danego wiersza może oczywiście pochodzić z jednego przeżycia, to jego obrazy będą przeważnie wzięte z o wiele szerszego pola — z całego doświadczenia życiowego poety — tak że dopomagając w tworzeniu wiersza pełnego, wskazują one jednocześnie na istnienie zgodnego wewnętrznie ładu, który znajduje się u podstawy wszystkiego, a który to ład udziela każdemu poszczególnemu tematowi swego ogólnego autorytetu. Aby zdefiniować «zgodność wrażenia» musimy najpierw zapytać co rozumiemy przez «wiersz pełny». Jednej rzeczy nie będziemy mieć koniecznie na myśli, a to wiersza zakończonego; urywek Safo albo «Hyperion» wydaje się nam pełny w sensie, którego nie przyznamy jednej z epei Southey'a ani wielu lirykom współczesnym.

Poza świadomym darem, który stwarza zgodne wewnętrznie wzorce obrazów leży głęboka moc organizowania doświadczenia. Rilke napisał w niezapomniany sposób w swych *Zeszytach* Malte Laurids Brigge:

Wiersze to nie są, jak to sobie ludzie wyobrażają, po prostu uczucia (te mamy dosyć prędko); to są przeżycia. A żeby napisać jeden wiersz trzeba zobaczyć wiele miast i ludzi i rzeczy; trzeba znać zwierzęta i lot ptaków i gesty, które wykonują małe kwiatki, gdy otwierają się rano poranku. Trzeba być w stanie wrócić myślą do dróg w nieznanach okolicach, do niespodziewanych spotkań i do rozstań dawno przewidzianych; do dni dzieciństwa, które są jeszcze niewyraźne i do rodziców, których musiało się ranić, gdy pragnęli nam dać jakąś przyjemność, której się nie rozumiało... Trzeba mieć wspomnienia wielu nocy miłości, każda z nich niepodobna do innych, krzyków kobiet rodzących, kobiet które porodziły, lekkich, zbiegających i pogrążonych we śnie, zamykających się w sobie. Lecz musiało się także być przy konających, siedzieć przy zmarłych w pokoju o otwartych oknach i kapryśnych hałasach. I ciągle nie jest dosyć mieć wspomnienia. Trzeba być w stanie je zapamiętać, gdy jest



ich wiele i trzeba mieć niezmierną cierpliwość czekania, aż powrócą. Bo właśnie same wspomnienia są ważne. Dopiero gdy się obróciły w krew naszą, w spojrzenie, w gest, bezimienne i już nie do odróżnienia od nas samych — tylko wtedy może się zdarzyć, że w najrzadszą godzinę pierwsze słowo wiersza powstanie pośród nich i wyjdzie z nich w świat.

Nie wiem gdzie natura przeżycia poetyckiego i dyscypliny poetyckiej opisane zostały choć w połowie tak wymownie, choć w połowie tak prawdziwie. Rada, którą daje Rilke, to doskonałość, oczywiście; a poezja jak każda inna działalność ludzka musi być kompromisem między tym co doskonałe a tym co wykonalne. Lecz stawiając tak wyraźnie cel, w który poeta ma mierzyć, mimo że jest on daleko poza zasięgiem strzału, Rilke daje przynajmniej poecie szansę, by mierzył prosto.

#### OBRAZ ŻYJĄCY

Jak dalece udać się może poecie używanie takich przedmiotów jak samoloty i maszyny w metaforze?

Standardowa odpowiedź brzmiałaby dziś mniej więcej tak: żaden przedmiot nie jest z istoty swej niepoetyczny; czy poeta zdoła stworzyć obraz z jakiegoś danego przedmiotu zależy w pierwszym rzędzie od tego jak silnie będzie nań reagował jego wyobraźnia, a po drugie jak dalece przedmiot ten przyswojony został przez świadomość ogólną. Otóż odpowiedź ta wymaga uważnego rozpatrzenia. Zbadajmy ją więc, po kolei. Jest wielu poważnych i zdziwionych ludzi, którzy przyznając, że w teorii żaden przedmiot nie musi być niepoetyczny, myślą, że w praktyce nowocześniejszej aż za dużo jest takich przedmiotów. Wobec niekongruencji (niezgodności między sobą) obrazów w części współczesnej poezji są zdumieni, a może chce im się śmiać. Niekongruencja jest niewątpliwie źródłem wszelkiego humoru, a więc jest fatalna dla prawie wszystkich rodzajów poezji; lecz nie wszystko co niekongruentne jest śmieszne. Możemy sobie wyobrazić, że znajdziemy się w obliczu pana, ubranego jedynie w cylinder, sweter futbolowy i podwiązki. Czy mamy ochotę do śmiechu? Nie, bo zauważyliśmy jednocześnie nóż rzeźnicki w jego dłoni i morderczy błysk w oku. Błysk ten, że tak powiem, równoważy jego strój; a nawet sprawia, że staje się on na miejscu. Nie pragnę kontynuować tej analogii. Shelley ujrzałszy wizję kobiety z oczyma w piersiach zemdłał; nasi surrealiści są z twardszego metalu. Ale chodzi o to, niezależnie od tego czy widzimy wiersz surrealistyczny czy też osobę w cylindrze i podwiązkach, chodzi o to czy odczuwamy tę namiętność wyobraźni, namiętność bez reszty, która jedynie nadaje znaczenie temu co sprzeczne, nieoczekiwane lub pozornie nieważne.

Ale może powstać jeszcze inna trudność, zanim samolot i maszyna znajdą wiersze, na które czekają. Jak to jest z tym «przyswojeniem przez świadomość ogólną»? Zdanie to znaczy,

zdaje mi się, że nie można używać przedmiotów w przenośni, dopóki nie są one na tyle bliskie w codziennym doświadczeniu, by zapuścić korzenie w nieświadomości. Ale bliskie dostatecznie komu? Poecie? Czytelnikowi? Jak wielu czytelnikom?... Jeśli poeta nie będzie bardziej czujny i uczulony niż jego współczesni, to nie będzie niczym a jeśli jest bardziej czuły, to będzie widział związki niewidoczne współczesnemu oku. Ta świeżość i zuchwałość obrazów, którą wszyscy podziwiamy, byłaby o wiele trudniejsza do osiągnięcia, gdyby poeta musiał się powstrzymać od używania intuicji, które otrzymuje z nowych danych zmysłowych.

Używając tych danych poeta naraża się jednak na podwójne ryzyko. Może źle ocenić głębię własnej intuicji a skutek będzie taki, że zamiast obrazu otrzymamy płytki i przypadkowy «koncept». Tu jest niebezpieczeństwo, które zagraża szczególnie nowoczesnemu poecie, gdyż obrazy grają w jego wierszu dominującą rolę i to, że dąży on do intensywności i ewokatywności pokazuje w jak najniepoehlebniejszym świetle każdą powierzchowną przenośnię lub porównanie. Po drugie poeta ryzykuje, że materiał jego stanie się przestarzały. Bardzo niedługo lokomotywy ekspresów mogą się znajdować już tylko w muzeach; może pewnego dnia samolot stanie się równie przestarzały jak dziś balon. Jak będą wtedy wyglądać takie wiersze jak «Ekspres» lub «Krajobraz niedaleko lotniska» Spendera? Wiersze, które nie są tylko opisem lokomotywy lub samolotu, a więc nie zdołają przetrwać jako świadectwo epoki, ale które starają się za pomocą tych przedmiotów ześrodkować pewne stany umysłu — które używają tych przedmiotów metaforycznie.

Nie możemy z korzyścią omawiać materiału obrazów poetyckich w jakimś danym okresie, jeżeli nie będziemy zdawać sobie sprawy najpierw co poeci tego okresu starają się zrobić i jakie są ich ogólne ograniczenia. Moim zdaniem poeci angielscy dziś podpisują się pod zdaniem, że każde pojęcie i każdy zmysłowy przedmiot jest potencjalnym materiałem dla poezji gdy jednocześnie różnorodność środków poetyckich dostępnych ich poprzednikom stała się — dla nich — znacznie mniejsza. Jasne jest pod jak wielkim ciężarem znajduje się technika, gdy takie bogactwo możliwych obrazów zmieścić się musi w ramach jednej formy pół lirycznej, pół kontemplatywnej, w której pisana jest ogromna większość współczesnej poezji. Ten ciężar powiększony jest jeszcze przez nieufność współczesnego poety do retoryki, przez jego niechęć do sztucznie lub jednolicie poetyckiej dykeji, i przez odczuwaną przezeń konieczność skupienia coraz to bardziej znaczenia wiersza w jego obrazach, a coraz to mniej w poetycznym wątku czy wywodzie łączącym je.

Ta konieczność działa w dwu kierunkach: zwiększenie intensywności i nagromadzenie obrazów. Przykład współczesnego intensywnego obrazu dają te dwie linijki George Barkera:



*The falling cliff that like a melting face  
Collapsing through its features, leaves a stare.*

(*Padająca skała co podobnie jak topniejąca twarz, załamując się poprzez swe rysy pozostawia spojrzenie*).

lub Spendera:

*Goodbye now, goodbye: to the early and sad hills  
Dazed with their houses like a faint migraine.*

(*Zegnajcie teraz, żegnajcie; wczesne i smutne wzgórza oszobotomione swymi domami niby słabą migreną*).

Porównanie Barkera, tennisońskiego w dokładności opisowej, jest niechybnie nowoczesne jeśli chodzi o stężenie szczegółów i sposób w jaki czerpie siłę z współczesnej sytuacji; obraz osunięcia się ziemi przywodzi nam na myśl niemal automatycznie myśl o załamującej się cywilizacji, myśl, która choć nigdzie nie jest nie dwuznacznie wypowiedziana, to jednak jest u podłoża całego niezbyt trzymającego się kupy wzorca obrazów w tej sekcji książki «Calamiterror». Linijki Spendera mają intensywność raczej uczuciową niż wzrokową. Coś widzimy, niewątpliwie, lecz widzimy to przez mgiełkę wspomnień drżąca od tęsknoty, a nie bezpośrednio: *pojęcie* «słaba migrena» i *obraz* «oszobotomione swymi domami» zbliżone są do siebie, by przekazać to przejmujące lecz nieco nie ostre, nie skupione w soczewce wrażenie, które łączy się z nostalgią.

Na drugim krańcu mamy skupienie obrazów, które znajdujemy na przykład w liniach Audena:

*They carry terror with them like a purse  
And flinch from the horizon like a gun;  
And all the rivers and the railways run  
Away from Neighbourhood as from a curse.*

(*Noszą ze sobą przerażenie jak portmonetkę i wzdrygając się unikają horyzontu jak rewolweru; a wszystkie rzeki i koleje uciekają z sąsiedztwa jak od przekleństwa*).

Nic nie może być dalszego, technicznie, od stężenia obrazów Spendera i Barkera jak te luźne doczepione porównania z portmonetką, rewolwerem i przekleństwem. Te ostatnie można w ogóle nazwać obrazami tylko przez uprzejmość; jak tyle porównań Audena są to przede wszystkim akty oceny, a nie wrażenia zmysłów czy nawet wyobraźni; pojęcie portmonetki nie wnosi prawie żadnego wkładu wyobraźni, do pojęcia «Noszą ze sobą przerażenie». Tego rodzaju tautologiczne porównania rozsypałe są po całej poezji współczesnej. Możemy uważać, że przynajmniej w wypadku Audena pochodzą one z nadmiaru energii nerwowej i że są rodzajem przyzwyczajania jak obgryzanie paz-

nokci. Albo możemy chętniej widzieć w nich użycie funkcjonalne obrazu, wytknięcie lub podkreślenie myśli. W tym charakterze Auden ma prawo ich użyć, gdyż jego poezja myśli. Lecz zbyt często gdzie indziej spotykamy je masami w wierszach, gdzie nie ma żadnej myśli, którą można by podkreślić, i tam są one zbędne, są oznaką zwykłej niekompetencji lub impotencji poetyckiej.

Otóż jeśli wiersz ma «wyrażać coś żyjącego w umyśle, z którego wychodzi i w umysłach do których idzie», to musi tak czynić dzięki swej prawdzie jako żyjącego obrazu. A jeśli wzorce rzeczywistości, które zaopatrują poetę i czytelnika w to «coś żyjącego» są skomplikowane, wciąż nowe i zmieniają się szybko, to możemy się spodziewać, że obrazy z których składać się będą wiersz będą nowe co do jakości i złożone jeśli chodzi o wzorzec. Nie jest też przypadkiem, że w naszych czasach, kiedy sam tylko inwentarz przedmiotów, w które wyposażone jest życie staje się tak obszerny, to i poezja jest coraz bardziej pełna obrazów... Ale nie chodzi tu tylko o ilość ani nawet o nowość i złożoność. Wydaje mi się, że to zajmowanie się w pierwszym rzędzie obrazami jest u nowoczesnego poety oznaką jego wysiłku w kierunku wyjaśnienia i opanowania współczesnej sceny działań, współczesnej sytuacji. Przenosi ona jest naturalnym językiem napięcia, podniecenia, ponieważ umożliwia ona przez stężoną gwałtowność wyrażenia wzniesienie się na poziom gwałtownej sytuacji, przez którą jest spowodowana. Obrazy są jak gdyby przetworzeniem tego wysokiego napięcia życia tak, by mogło być użyte bezpiecznie dla oświetlenia i ogrzania pojedynczego serca.

Obraz jest odsunięciem się w tył od rzeczywistości po to, by lepiej móc złapać się z nią za bary; w ten sposób każdy udany obraz jest oznaką zwycięskiego zetknięcia z rzeczywistością. Gdy obraz zawodzi, to możemy doszukać się wady w przyczynach natury technicznej, a więc jest on niekonsekwentny, zbyt słaby lub zbyt silny dla kontekstu; ale źródło choroby — przynajmniej dla współczesnego poety — wskazane jest w zdaniu Matthew Arnolda «to niecierpliwa irytacja umysłu, którą odczuwamy w obecności olbrzymiego, wzruszającego, zagmatwanego widowiska»; Rilke stawiał cierpliwość na pierwszym miejscu w rzędzie cnót poetyckich. I nigdy nie była ona tak potrzebna jak teraz, gdy istnieje taki nadmiar «wulgarnych i gwałtownych środków podniecających», tyle rzeczy które podniecają naszą ciekawość, tak wiele rzeczy co mogą zirytować «irritable genus». Poeta pragnie widzieć sens we wszystkim; pokusą jego zawodu jest zrywać owoce zanim są dojrzałe, używać wszystkich błyskotek, które zwróciły jego uwagę, zanim jeszcze dojrzeją całkiem w obrazy.

Jedno jest pewne, poeta nie stanie się naprawdę nowoczesnym przez żaden akt woli... Co się ostaje to żywotność. Poeta o wielkiej żywotności, i tylko on, jest dość silny by żyć w teraźniejszości, by się zmagać z jej proteuszowską naturą i by



ją przygwoździć wreszcie do ziemi w jej właściwym pierwotnym kształcie. On jeden tylko jest więc prawdziwie współczesny; a ponieważ dzieło jego daje obraz wzorcem, które w jego czasie dopiero się tworzą, dopiero powstają, więc dzieło to ma wartość i dla przyszłości, a nawet może być lepiej rozumiane przez późniejsze czasy niż przez jego własne.

Historia nie tylko daje poecie nowe przedmioty zmysłowe jako materiał dla jego obrazów, lecz także zmieniając wzorce zachowania ludzkiego w stosunku do miłości, śmierci lub natury zmusza poetę do znalezienia nowych obrazów nawet dla tych tradycyjnych, najbardziej niewyczerpanych, tematów. Nowe przedmioty, nowe pojęcia, nowe sposoby zachowania się rodzą nowe obrazy, które z kolei powodują powstanie nowych stylów. Oczywiście jest w nowoczesnej poezji masa lipy. Ale niemniej jest prawdziwe że — jak Webster<sup>15)</sup> — jesteśmy «wielce opętani przez śmierć»; i również jest prawdziwe, i ważne, że nasi poeci nie widzą śmierci na jego osobisty religijny sposób, jako «ohydłą burzę grozy», lecz w uogólnionych terminach psychologicznych, jako «pragnienie śmierci», owego robaka, który zakradł się w różę nowoczesnej cywilizacji; a ta obsesja pragnieniem śmierci sprawia, że pewien typ obrazu jest górą w ich poezji tak jak wszystko przenikający strach przed wojną w ostatnim dziesięcioleciu napełniał tę poezję szpiegami, granicami, rozlewem krwi. Jak powiedział Empson<sup>16)</sup> «uczynimy się stylu od rozpaczy».

Poeta nowoczesny odnosi się do świata bez przesądów, z jednej strony zobowiązany do wiary w to, że nie ma w tym świecie nic co by było z istoty swej niepoetyckie, a z drugiej nie mając żadnego zewnętrznego autorytetu, który by mógł nim pokierować w wyborze tematu lub grać rolę probierza przy ocenianiu wartości obrazów. Pozwolę sobie jeszcze raz zacytować Bradley'a:

Poeta, który wie wszystko i może pisać o wszystkim ma, w gruncie rzeczy, bardzo ciężkie zadanie.

Tymczasem jeśli chodzi o poetę klasycznego, mówi Bradley,

...jego materiał, jako istniejący już w ogólnej wyobraźni, już był wysoce poetycki... świat nie bezcielesnych myśli i uczuć, lecz scen, figur, akcji i zdarzeń. Przeważnie żył on z nim w jedności; materiał ten przemawiał do jego uczuć i przekonań tak religijnych jak moralnych.

Musimy się zgodzić, że wielkie mity klasyczne lub chrześcijańskie, — Eryp lub Upadek Człowieka — jako że istniały w wyobraźni ogółu, były już na połowie drogi do poezji. Ale te

15) Barokowy poeta angielski. Pierwsza cytata jest z wiersza T. S. Eliota, gdzie wzmiankowany jest Webster, druga z samego Webstera, trzecia — to oczywiście modny termin współczesny.

16) Poeta współczesny.

cywilizujące mity, jak twierdziłem w rozdziale pierwszym, są już martwe. Może powinienem być raczej powiedzieć, że są pogrzebane. W jednym z następnych rozdziałów postaram się wskazać, że — być może — pogrzebane żywcem. Ale w tej chwili chodzi o to — że prawdy, których one były uosobieniem nie są już przyjmowane świadomie za pośrednictwem mitu. Poeta nowoczesny może szukać za nowym znaczeniem, w tych mitach i może z powodzeniem je znaleźć, lecz te nowe znaczenia nie nabędą żadnego dodatkowego autorytetu od mitycznego stroju, bo dla ogromnej większości jego współczesnych te mity są czymś z muzeum — to po prostu zwykłe kostiumy z balu maskowego. Albo może się on zwrócić do obrazu («mit jednostki» — jak to nazwałem); ale jedynie w świetle tej definicji obrazu jego nie istnieją jeszcze w wyobraźni ogólnej; a ponieważ w pewnym sensie każdy obraz jest animistyczny, jest posługiwaniem ładu duchowego pod ładem materialnym, to w świecie gdzie tego rodzaju duchowa istota i ład nie cieszą się ogólną zgodą istnieje będzie silny bierny opór przeciw obrazom poetyckim. Moglibyśmy zreasumować ten ciąg myśli mówiąc że dla nowoczesnego poety nie jest w istocie swej niepoetyckie, po prostu dlatego, że dla nowoczesnego człowieka nic nie jest z natury swej poetyckie.

Musimy tu koniecznie zrobić rozróżnienie między wyobraźnią ogólną, tak jak Bradley używa tego terminu i tą ogólną świadomością, o której była mowa na początku tego rozdziału. Nowe przedmioty zmysłowe mogą być przyswojone przez świadomość ogólną, a mimo to mogą wciąż jeszcze znajdować się poza zasięgiem wyobraźni ogólnej, która jest obecnie obszarem bardziej ograniczonym... Tak więc w dniu dzisiejszym mamy poetów, którzy używają obrazów z rozrzutnością, lecz przy niezmiernie nikłym wsparciu ze strony wyobraźni ogólnej. Tu jest może główny powód niezrozumiałości, nietrafnego dotyku i tendencji odśrodkowych, które znajdujemy tak często w nowoczesnej poezji.

Teraz pozostaje kwestia treści. Poeta nowoczesny, jak widzieliśmy, nie posiada żadnego zewnętrznego autorytetu, który by mógł nim pokierować w wyborze treści. «Treść» może wydawać się pojęciem staromodnym dla krytyki poetyckiej w dzisiejszych czasach, ale mimo wszystko wiersz musi być o czymś, jak również *być* czymś sam w sobie. Poeta nie otrzyma pełnej prawdy obrazów, podobieństwa nie przyjdą mu na myśl, dopóki nie ukształtują się one we wiersz. Otóż właśnie treść wiersza jest jak gdyby podpórka, po której wspina się jego temat, wypuszczając w miarę rozwoju liście obrazów; gdy wiersz wyrósł już całkiem, to widzimy, że podpórka jest zbędna i może by można ją odsunąć na bok; lecz z drugiej strony wiersz, który od początku musi rósć bez tej podpórki lub z nieodpowiednią podpórka ma mniejsze szanse. Poezja klasyczna miała wielką ilość takich podpórek — mity i legendy, na których poeci mogli rozciągnąć swe własne tematy.



...Tak więc poeci dzisiejsi nieraz wolą szukać tematów w rzeczach na pierwszy rzut oka trywialnych. Tak robił naprzykład Thomas Hardy. Robert Frost<sup>17)</sup> to drugi taki poeta, który zdołał powiększać główki od szpilek w jasne, szerokie tematy osobiste. To da się zrobić. Ale nie jest zdrowe dla poezji, gdy nie robi ona nic innego. A obecna alternatywa, szukanie w ciemnościach bez żadnej innej wskazówki jak prawdopodobnie niedokładna mapa, naznaczona w jednym miejscu «Pragnienie Śmierci», a w drugim «Ciągłość Czas — Przestrzeń», chyba nie może być dużo zdrowsza; bo tego rodzaju pomysły, choć mogą mieć echo i być ważne, ale że nie były nigdy żywione ni odziewane przez wyobraźnię ogólną, więc brak im autorytetu poetyckiego. Z drugiej strony popularne mity naszych czasów, jak mit Szarego Człowieka, na przykład, nie przemawiają do «uczucia i przekonań tak religijnych jak moralnych» poety.

MacNeice w swym *Autumn Journal* zreasumował wiele z tego, co starałem się powiedzieć na tym miejscu:

*Things were different when men felt their programme  
In the bones and pulse, not only in the brain,  
Born to a trade, a belief, a set of affections;  
That instinct for belief may sprout again,*

(Rzeczy miały się inaczej, gdy ludzie czuli swój program w kościach i w pulsie, nie tylko w mózgu, urodzeni w rzemiosło, w wierze, w komplecie uczuć; ten instynkt wiary może znów puścić pędy).

Pojęcie wojny dawało oczywiście barwę poezji i kształtowało obrazy przed rokiem 1939; lecz teraz (gdy wojna wybuchła) wojna stała się tematem, który przemawiał do niego (poety) z całym autorytetem ogólnego cierpienia, z całą lekkością oporu i elastyczności człowieka. Ogólnie biorąc wiersze pisane podczas wojny były mniej naprężone, mniej niespokojne, mniej ekscentryczne.

Mimo to byłoby nierozsądnie mieć nadzieję, że tego rodzaju odnowienie ogólnej wyobraźni przetrwa przeżycie, które je spowodowało... Gdy człowiek ze zbombardowanej ulicy stanie się znów tylko człowiekiem z ulicy, gdy nie będziemy sobie mogli przypomnieć i przestaniemy dbać o co to było, co dostrzegliśmy przez sekundę poza tymi drzwiami, na których zawiasach gromadzi się znów szybko mech, gdzie wtedy zwrócił się poeta o uczucie braterstwa i poparcie? Czy będzie mógł przeżyć we współczesnym świecie jako coś innego niż wioskowy idiota, tolerowany lecz ignorowany, mówiący sam do siebie, włączający się wokół barów i stacji benzynowych, w głowie jego zawrót od potrząskanych obrazów, naśladować gestami ruchy życia, w którym nie będzie miał udziału.

(Dok. nast.)

Z upoważnienia autora tłumaczył A. V.

17) Poeta amerykański starszej generacji.

## Arkusze poetyckie

### Ballada październikowa

*Gdy w okno wespnie się cisza umierających drzew  
i koń zacząpie na drodze —  
brzozy, kałuże i chandra*

*Pomyśl, że w taki dzień  
ktoś, kiedyś myślał o wiosnie  
i „głos miał towarzysz Mauzer”.*

*Jesienią rozczarowań  
gdy deszcze opluły twarz  
i wytarzały w błocie trudnych dróg  
i każde dalsze słowo  
coraz bardziej boli.  
Jesienią rozczarowań  
nie podniosę dłoni  
i nie uwierzę już  
więcej  
w niczyje — stygmaty historii.*

*Wyjdę w noc — muzeum minionych nastroi  
Wzmę liść — pompejańską figurkę  
resztę dopowie wiatr  
smutny reporter  
o petersburskich zautkach.*

*Stanął październik  
Wirami objechał wiatr.  
Ścieżkę wilgotnych przedmieść.  
Czarne szyby powtórzyły znak  
Naprzód!  
Październik!*



Z botnickiej zatoki szedł mróz  
dni walły granatem w bramy Europy  
wykręciły porodowe bóle  
świat

Embrion rósł  
Coraz więcej mów  
słowa słów  
nienazwanych nicością  
nadymany  
balonik  
Wolności

różowy abstrakt  
A ludzie z kości  
i krwi  
bradiagi  
żuliki  
urki  
z tium  
astrachańskie swołocze  
Dzisiaj — My  
zrobimy to prościej.

Cesarskie cięcie  
Hej nocy narodzenia  
kulomioty  
na Newskim Prospekcie  
jak wilki wyły  
czerwononarodzonemu dziecięciu.

Infant umarł, w parę lat potem — proszę proletariusza.  
Gruźlicze Jany Chrzyciele znad szklanek zimnej herbaty  
oddali również swe dusze.

I nawet nie Salome a tylko proces gnilny  
zaglądnął w martwe oczy, obrzmiałe cuchnącą prawdą  
i oczy były ślepe, i czasy były inne  
relikwie zabraty wiatry, proroctwa październik przygarnął.

Marian TUCZYŃSKI.

## Obudzenie wody

Rozwilgła zima. Roztajała.  
Stuk — puk! Pierwsza kropla tryska i pada  
W ziarniste, mleczne szkło werandy,  
Gdzie trzy okrągłe świecą lampy i kaskada.

Zimny deszcz z kryształowego wiadra —  
I odmarzanie tej kaskady,  
Zabrzmiąły głośno, równocześnie.

Młodziutki bez wywiktał się z korzeni,  
Spod szkła werandy, wywiódł z mchu,  
Gdzie śpią charabąszcze, wilgoć, liście.  
Tam właśnie mruży deszcz srebrzyście  
I szkło werandy mlecznie pieni.

A kukulka — kukuteczka zakukata:  
A ku-ku! A ku-ku!  
Echo z lasu odpowiada — a ku-kuu!..  
Oniemiata!

Na werandzie w blasku lamp,  
Drząc, młoda panna w czerwonej aksamitce  
Na słodkiej szyi, zaśpiewała:  
Srebrna kukuteczko, a ku-ku!

Kto ci piórka zliczy  
W tej cichej stodyczy?  
Kto ci listki wysłe  
W tej zielonej witce?

A ku-ku!  
A ku-ku!  
Szumi żywioł wodny —  
A ku-ku!

Druga kropla błyska:  
A ku-ku!  
Trzecia kropla błyska, jak kryształ ozdobny.  
A ku-ku! — ku-ku...



## Zapalniczka

Z krzemiennej góry odrąbano bryłę  
Ziarnistą i szorstką, sypiącą promienie,  
Z rudy żelaznej wydobyto cienki  
Rdzeń. Górnicy złożyli kilofy.  
Tylko gwiazdy, jak rzadkie płomienie,  
Rozmarzły i zalały błękit.

Wnet robotnicy odpoczęli. Wstali, jak byli.  
Wzięli krzemień pod pily.  
Żelazo pchnęli do huty. Potem minę srebra  
Otworzyli twardymi młotami. Gdy wierzchnie warstwy rozpruto,  
Obnażono młodą, wąską żyłę  
Ciekącą, jak zgęszczone mleko, z powtórki nieżywej.

Nabierając rozmachu i sily, dzierżąc dłuto;  
Złotnicy, ciągnąc go wolno z gęstej blachy,  
Na stalowych słupkach, jak na żebrach,  
Srebrny pokrowiec rozpięli cierpliwie.  
Wkręceno już kamień iskrowy,  
Włochaty knoć, wpięto zatrask sprężysty;  
Małutki bak z benzyną w brylantowej ramie.

Tak powstała zapalniczka; pożyteczna ozdoba —  
Srebrzysty wulkan kieszonkowy.  
Czy słońce świeci, czy pali wygodna pogoda,  
Czy sypie śnieg, lub wiatr dmie porywisty,  
Czy szkli się noc, gdy mróz wciska się na dachy;  
Na dnie kieszonki, w zrzęcną skrzynkę zakuty,  
Leży jak we śnie, bezpieczny, maleńki promyczek z huty.

## Mało

Napitybym się wody, gdyby była źródłana.  
Napitybym się wina, gdyby przyszło francuskie.  
Całowałbym dziewczynę, gdyby chciała sama.  
A pieśni jakich słuchać chciałbym? Gdyby były ruskie.

Ale to wszystko oddałbym za młodzieńkie ciało  
Z ciepłej masy pertowej, i blasku  
Takiego, jakim pała rano  
Mleko w dzbanie miękko rozlane,  
Które pijąc, dzieci krzyczą: Mało!

— Chcemy więcej. Mleka słodkiego chcemy tyle,  
Ile słońca naraz w wiotkim lasku  
Ściekło w świeże, łączne siano  
W rozkosznych kopach właśnie przewietrzane,  
Gdzie trzeszczą żdźbła, gałązki brzozy i śnieżne motyle.

## Na nocnym stoliku

Obok soczystych jabłek, rumianych i gładkich,  
Gdzie błyska na nocnym stoliku wsparty łokieć dziewczyny  
[rózowy,

Lężącej wysoko w pościeli śnieżystej,  
Obok srebrnej, otwartej okładki  
Zamczystej papierośnicy, obok czystej,  
Kryształowej karafki, której nowy,  
Gruboziarnisty korek o cieniu niebieskim  
Skrzy się srebrzystymi żyłkami, leży książka wierszy  
W grubej, czerwonej, jedwabnej oprawie. Nawet kleksy  
Półcienia są czerwone. Dalej leży ślepy nożyk  
Do rozcinania kartek, także srebrny; nieco w tyle szerszy,  
Złoty krąg bananów i biała, męska chustka  
Do nosa. Tam, gdzie niedbale cienkie, złote nanożnice  
Drażnią ametystowy naszyjnik, a dwa pulchne szdle  
Jak skrócone, ryżowe powrósta  
Zwisają luźnie ku szorstkiej rogoży,  
Stoi lampa. Malinowy abażur, lekki i rzeźki  
Błyska, jak czapka promienna, a dalej  
Za czapką promienną przy szklance zielonej, w której są  
[storczyki,  
Gdzie półmrok pełza drżący jak liście osiny —  
Lśni powabny, łagodny dziewczyny policzek.  
Lampa oświeca stoliczek, brodę i uszy dziewczyny,  
A w uszach mrożne, jak lodowaty cukier, diamentowe kolczyki.

## O pierścionku

Pierścionek zgubiony w trawie,  
Gwiazdka zaśnięta w stawie,  
Serce zgubione w rozkoszy,  
Głowa stracona w rozpacz,  
Jak to wszystko spokój płoszy!  
Jak to wszystko dużo znaczy!

Próżno w trawie szukać pierścionka.



*Trawa wiotka, jak skromna koronka.  
Wiatr wodę ze stawu wysuszył.  
Gwiazdkę z dna spiącą wykruszył.  
Tylko czasem nocą nisko wśród błota  
Księżyc świeci mglisto: grudka złota.*

## Z okna

*Daszek altany, podmuch dymu.  
W ogrodzie palą stare liście.  
Mgła z łaki wstaje. Myślę sobie:  
Chciałbym pojechać. Gdzie pojechać?  
Jeśli pojechać, oczywiście  
Do Neapolu lub do Rzymu!  
Czy jednak mógłbym mgły zaniechać,  
Altany, dymu starych liści,  
Ogrodu, co się w ogniu czyści,  
Skwierząc w płomieniach, jak w ozdobie?*

Marian CZUCHNOWSKI.

## Śpiew o róży

*Człowiek pochyla głowę, bo go wojna przygniotła jak różę.  
Człowiek pochyla głowę, bo go wojna zdeptała jak kwiat.  
Człowiek pochyla głowę, a tży wydarte z korzeni marzeń  
toczą się bezszelestnie. I człowiek zmęczony wojną  
pochyla głowę jak różę.*

*Podeptały nam pociski zagony.  
Podeptały nam pociski ogrody na strzepy.  
Łzy posiekały nam twarze, a deszcz stonych pocisków,  
zdarł z twarzy radość złocistą.  
I tży toczą się bezszelestnie, gdy człowiek zmęczony wojną,  
pochyla głowę jak różę.*

*Ale przyjdzie cisza krzycząca i odda nam zabite miasta.  
Ale przyjdą ręce surowe i podniosą wdeptane progi.  
Ale otworzą się oczy miłości i śpiew nam wargi otworzy:  
Pieśni powrócą i ptaki przylecą do gniazd,  
a człowiek zbudzi się jak róża na wiosnę!  
Róża o której śpiewam...*

## Do autora «Ballady z tamtej strony»

*Takiej książki już nikt nie napisze.  
Tamta książka została zamknięta:  
Jak skrzynia ze srebrnym kluczem,  
jak dwanaście rozbitych tablic.  
Dziś na pamięć ciebie się uczę,  
twoich lat, sukienek, pościeli,  
którą nam zabrali anieli...*

*Takiej książki — wydartej szafom,  
ciemnym skrzyniom, trumnom zapomnienia,  
gdzie się żarzył czerwony diament...  
Gdy padałeś na wieczny szafot,  
biały gotąb uniósł westchnienia  
na wojenny, ostatni firmament.*

*Wielki Boże, jaka to chwila,  
kiedy człowiek w nicosć się stacza?  
Jak spalone w ogniu motyle  
serce pękło — a wiersze płaczą...*

15.7.1948.

.....

*Cierpię nad tym znikomym, które we mnie trwa,  
mimo, że trwać powinno tylko w pustkach szklanych.  
Cierpię nad tym co słodkie i cierpkie, jak tza,  
cierpię nad każdym życiem, nad drzewem złamanym.  
Liść, który wiatr przewiewa, Szum od ciepłej skąty,  
i piana się odbija w obłoki — a ja  
cierpię nad tym znikomym i nad tym nietrwającym,  
co we mnie, zamiast zginąć, nieprzerwanie trwa.*

19.1.1948.

## Koncert

*Jedną mową trudną, niepotrzebną,  
wywoływać świecące ognie.  
Tworzyć słowa, kotatać w struny  
i budować z niczego tła.  
Wąskie łodzie rzucać na rzeki...  
Jedną mową, świecącą mową,  
która we mnie w życie się obleka.*



Zanim łodzie przywiozą gości  
ziemia zgaśnie, noc ciemną ręką  
wielkie ryby wyrzuci na fale,  
ciepły bursztyn podniesie z dna.  
Ptaki z nieba spadną ukośnie,  
woda pęknie pośrodku jak melon,  
tylko twarze, jak wosk na liściach,  
nim odpłyną w ryby się wciela,

Można z czasu wyjść jak z kościoła,  
zostawiając zmartwione obrazy,  
by czerniały na gotyckich ścianach.  
Można czas rozłamać na słowa,  
jedną nutą śpiewać jak perła...  
Między rybą, a łodzią sosnową  
rzeka dźwiga kwitnące berta.

Kiedy życie krzyżuje włócznie  
dzwony serca biją na alarm.  
Nad głowami pękają lutnie  
i muzyka rzeźbiona dłutem  
w letni wieczór ucieka łódką.

Tylko mowa ręką wiązana  
w białe góry koncertów rośnie.  
Dzień powoli zgina kolana,  
ukłękł w łodzi i usnął na wiośle.

## W zieleni

Oto drzewa zielone.  
Oto ręce zielone.  
Zielony świeci księżyc!  
Nie ma wieczornych blasków,  
a tylko na złotym piasku,  
księżyc zielony leży.

Dymy zielone do góry  
odchodzą w zielone chmury,  
zwyczajnym, płasim kluczem.  
I tylko księżyc stanął,  
nad zielenią splątana,  
i gwiazdy w wodzie płucze.

Jaki prosty jest świat,  
złożony z krótkich lat.  
Zielonych, Boże, zielonych.  
A te nikłe przycienie  
wspomnień, to chwilowe cierpienie,  
to życie od drugiej strony.

Wacław IWANIUK.

## Czerwona linia

1

Wichura, uspokoiwszy się niedawno, wygarbiła zwałami śniegu jezdnie i chodniki. Wczesny, chmurny ranek wydawał się więc jasny od świeżej bieli. Przez okna wolno posuwającej się limuzyny widać było partery kamienic, żaluzje zamkniętych sklepów, strzępy ogłoszeń na murach i drewnianych parkanach.

Zawiany śniegiem, na pół odarty plakat z hasłem „silni, zwarci, gotowi” uchylał się jednak tak samo uwadze Marii, jak afisz, na którym żołnierz sowiecki mierzył bagnetem karabinu w spłoszonego białego orła. Nie skłonna do rozważań, tym bardziej była wyczulona na to, co dotyczyło jej bezpośrednio.

Siedzący obok oficer gniótł ją twardym ramieniem i przypierał się udem. Skórzany futerał rewolweru uwierał ją w biodro. Wciśnięta w kąt samochodu, pozbawiona swobody ruchów, tyle tylko mogła zrobić dla zmanifestowania sprzeciwu, że zgrabnie ułożyła ręce na małej walizce trzymanej na kolanach. Był to dar pani Stanisławy, która, nie wchodząc do pokoju, gdzie odbywała się rewizja, powiedziała głośno za drzwiami:

— Stawiam na progu walizeczkę dla pani.

W złej chwili Stanisława okazała się znowu serdeczna i Maria, oceniając to dopiero teraz, w duchu przyznała jej nawet odwagę. Tak samo dopiero teraz wzruszyła się pożegnaniem Władka, który stał tak długo w oknie, dopóki samochód nie ruszył sprzed domu. Twarz chłopca była blada, płasko przylepiona do szyby; była prawie bez rysów.

W domu, w którym Maria przez jakiś czas czuła się niemal bezpieczna, został więc po jej aresztowaniu niepokój i lęk. Stanisława, otwierając i zatrzaskując drzwi, pewnie pokrzykuje histerycznym głosem, że nie pozwoli, nie dopuści, że kamieniem musi Władek siedzieć w domu! A Władek odgryza się burkliwie: — Jeżeli mama tak bardzo boi się, niech jedzie do ciotki na wieś!

\* ) Fragment powieści: **Sprawa Józefa Mosta**. Patr.: Nr 1 Kultury: **W inne czasy**.



— I ja się boję — wyznała Maria przed sobą uczciwie. — Boję się, ale jestem spokojna.

Był to jednak spokój podobny do zatrzymywania oddechu w płucach. Groził uduszeniem, i Maria musiała go wreszcie wytchnąć z siebie. Przez jakiś czas źrenice nie mogły poddać kształtom i barwom, przesłoniętym złotawo-srebrzystą mgłą. Mruganiem powiek oczyściła Maria powietrze i odzyskawszy bystrość wzroku, odniosła wrażenie, że przestała się bać.

Profil siedzącego obok oficera rysował się foremnie pod daszkiem czapki. Stwierdziwszy nieszkodliwość niebieskich, wycięzonych oczu oficera, Maria o wszystko, co ją spotkało, pomaśniała tego drugiego, który siedział koło szofera. Szafirowy szalik nie zupełnie osłaniał kołnierza munduru. Granatowa cyklistówka i bure palto cywilne nie oszukały więc Marii. Głęboko zarosnięty czarnymi włosami kark był tak chudy i niemocny, że każdy gwałtowniejszy ruch auta gwałtownie wstrząsał do wolnie. „Cywil” od czasu do czasu pocierał dłońmi czerwone, odstające uszy, już chyba odmrożone. Za to szofer miał małe, popielate uszka pod tak samo popielatą, w szpic zebraną, czapką. Ręce, narosłe zeskorpupałymi smarami, mocowały się z kierownicą. Śnieg był bowiem kopny, a pod śniegiem zatajone wyboje na jezdni.

— Szybel ma wytarty, rozdarcie na plecach zsyte grubą, białą bawełną. — Spostrzeżenia Marii zmierzały do wniosków, które dawały niejako satysfakcję. Podobnie drwiła Franiowa z „nagumowanych” butów i barchanowych „czubaryckich” czapek. Józef powiedziałby, że to „poziom magla” i że z małostkowych obserwacji nie należy wysnuwać zbyt pochopnych wniosków. Józef powiedziałby jeszcze: — Lekceważenie przeciwnika prowadzi do klęski. — Sentencje Józefa zawsze niecierpliwiły Marię. Teraz, nie hamując już irytacji, sypnęła zarzutami:

— Nieostrożny, łatwowierny, małostkowy pedant!. Z jego winy „wpadła” i wiozą ją — dokąd ją wiozą? Spojrzała przez szybę, nie rozpoznając jednak ulic. Mogły to bowiem być jakiegokolwiek ulice Lwowa, mogło to nawet być jakiegokolwiek miasto. Koła samochodu, sycząc, pruły puszystą nawierzchnię. Nagle poznała Maria bramę. Tu, tu przecież mieszkała u Franiowej! Jadą zatem ulicą Sapiehy! Bez tchu zapytała:

— Czy wiecie mnie na dworzec?

Oficer mruknął nieuprzejmie:

— Nie wolno rozmawiać.

Ale Maria już postanowiła. Położyła rękę na klamce, gotowa do wyskoczenia z wozu.

— Trzymajcie ręce na kolanach i siedźcie spokojnie.

W głosie oficera nie było groźby. Nie poruszył się, nie przycisnął mocniej ramieniem. Dyszenie, które Maria słyszała, było jej własne. Natomiast „cywil” odwrócił nieco głowę i jego szczyrny profil trwał przez chwilę w polu widzenia Marii. Patrzył niby to w okno, ale jego spojrzenie miało wyraz takiej czujności, że Maria cofnęła rękę. Obie ręce leżały znowu grzecznie na

walizce. Paznokcie skrobały jednak nerwowo twardą i gładką powierzchnię fibry.

Ulicą, pustą o tej wczesnej porze, przejechała wojskowa ciężarówka i śnieg spod jej kół bryzgnął w szyby limuzyny. Maria raz jeszcze drgnęła rzutem naprzód, lecz był to tylko refleks poprzedniej gotowości. Niepowodzenie usposobiło Marię niezyczliwie do siebie samej. Chęć ucieczki w tych warunkach była przecież głupotą i wariactwem! Była, doprawdy, wyświechtanym pomysłem kinowym: wyskoczyć, ukryć się za węgiem, wpaść do byle jakiej bramy (wszystkie są jeszcze pozamykane!), potem po schodach na strych, na dach (zawiany śniegiem i śliski!), potem po rynnie...

Wydrwiwając siebie, zastanawiała się jednocześnie nad tym, jak zamaskować chęć ucieczki, aż nadto oczywistą. Pomysł był znowu kinowy, lecz należało już zachować „styl”. Omdlewającym głosem powiedziała:

— Duszno mi, słabo... Pozwólcie otworzyć okno...

Dotknęła klamki, udając, że uważa ją za korbę do zsuwania szyby. Oficer syknął tym razem niecierpliwie:

— Nie wolno!

Cofnąwszy posłusznie rękę, Maria nie zaniechała swojej gry. Rozpięta więc kołnierza, rozluźniła pod brodą węzeł chusteczki i pochyliła głowę. Oficer chyba uwierzył, bo nieco się odsunął.

— O centymetr — jego współczucie dla mnie mierzy cały centymetr — ironizowała w duchu.

Podpierając głowę rękami, a łokcie wsparwszy na walizce, Maria zachowała gest beznamiętny. W walizce dźwięczało za każdym podrzutem auta. Co też tam nakładła ta niemądra Stanisława? Chyba „wyprawkę więzienną”? Serwis do czarnej kawy, srebrne łyżeczki? Nie rozczulając się już nad dobrocią Stanisławy, wylizwała jadownicę: podarowany płaszcz, łaskawość, banalne rozmowy, zdumienie okrągłych oczu, wścibstwo... Jak mogła tak długo wytrzymać z tą kobietą? Jak mogła ją niekiedy lubić? I dlaczego zawsze w swoim życiu zносиła wszystko spokojnie, zamiast wykrzyknąć z siebie gniew, sprzeciw, oburzenie, wstręt? Jej kłótnie z rodzicami i z Adamem były zawsze ściszone i „taktowne”. Nawet tutaj zachowuje się układnie, choć powinna wytłuc szybę i wołać ratunku. Czuli ten krzyk w gardle, ale dławili ją tylko suchym kaszlem. Zasłoniła usta ręką, tak właśnie, jak ją uczyła matka: — Nie kaszlać na wszystkich, nie kaszlać na stół do talerza! — Jakże była posłuszna i pojętna! Ale tutaj już nie musi być „dobrze wychowana”. Odsłoniwszy usta, zaniosła się udawanym kaszlem. Dudnił w płucach, drapał w gardle, przeschtekiwał hałas motoru.

Tym razem „szczurzy profil” zwrócił się w stronę szofera i auto przyspieszyło bieg. Zahuściło na wybojach, podskoczyło, zniżyło się. Serce Marii osłabło teraz naprawdę.



## 2

Kiedy samochód, wjechawszy do bramy, przemknął się przez sieni i stanął na podwórzu, Maria była już znowu spokojna i rozważna. Rozejrzawszy się, stwierdziła, że nie jest w Brygidkach. Znała przecież dobrze długi front tamtego więzienia jeszcze z czasu, gdy jako mała dziewczynka jeździła tramwajem z Gródeckiej do szkoły św. Anny. Konduktor zawsze ogłaszał przystanek: — Brygidki! — Niekiedy dodawał dowcipnie: — Proszę wysiadać, fajny hotel, za darmo si tam mieszka i jeść dają za bezdurno.

Maria długo wierzyła, że to w istocie hotel, albo przytułek dla ubogich. Ale raz — było właśnie duże pranie w kuchni i praczka rozczerwieniona, szastając bielizną w balii, nakazywała kucharce: — Jakby tu przyszedł, nie wpuścić go! Znać go nie chcę za tę hańbę, co na mnie i na dzieci spadła przez niego! — W skrócie wspomnienia stał już na progu nie stary, zmierzrowany mężczyzna i mówił przekonywująco: — Przecie swoje odsiedziałem w Brygidkach i na wiek wieków się zarzekam. Przeciem twój ślubny mąż i do rodziny wróciłem, jak Pan Bóg przykazał. — Potem matka „omawiała zagadnienie”, zadając ojcu pytania: czy takiemu człowiekowi można zaufać? czy więzienie poprawia, czy demoralizuje? — Była to jedna z tych niezliczonych dyskusji na tematy społeczno-wychowawcze, które tak lubiła matka.

Stojąc na podwórzu w tającym pod nogami śniegu, Maria uzupełniała tamtą rozmowę swoją obecną sytuacją. Żadna teoria nie miała tutaj zastosowania, choć ojciec dowodziłby może, że jakiś tam paragraf, w jakimś tam kodeksie uzasadnia, czy też określa prawo... Maria jakby spierała się z ojcem: Nie poczuwam się do żadnej winy! — Ale ojciec marszcząc czoło, już otwierał usta, aby wypowiedzieć cyfrę paragrafu, gdy przedarł się kłótniwy głos Adama: — Co z tego, że się nie poczuwasz do winy? Że się mądrzysz? Wmawiasz sobie, że jesteś inteligentna, ale to ci się tylko zdaje!

Maria i tu, na podwórzu więziennym uchyliła się od sporu z Adamem. Zresztą Adam miał słusność. Bo, o czym tu myśli teraz? Co rozpamiętuje nie w porę? Praczka, złodziej, paragrafy ojca, wykrzywiona złością twarz Adama. A może tak jeszcze do kompanii Józef, aby i to usłyszeć: — O tych sprawach nie będę z tobą mówił. Nie mogę ciebie we wszystko wtajemniczać.

Stojący obok niej żołnierz wyrzekł jakieś słowo. Nie zrozumiała, więc pchnął ją z powrotem w kierunku sieni, potem tak samo pchnięciem skierował do mrocznego korytarza. Otworzywszy drzwi, krzyczał coś, jak do głuchej. W dużym pokoju powietrze było szare i mętne. Rysowały się w nim okrągłe, niebieskie denka czapek. Przed takimi czapkami ostrzegał syn Franiovej, nie wierząc w czyste sumienie Marii. Niebieskie krążki toczyły się wyżej, niżej, jak w rękach żonglera i Maria pocieszyła się niemądrze:

— Przecież ja tylko patrzę na to, przecież niczym mi to nie grozi.

Oparta o piec kobieta w białym pielęgniarskim fartuchu, wlepiała w Marię ogromne, czarne i smutne oczy. Maria znowu pomyślała bez sensu:

— To już raczej ona mnie obchodzi, bo smuci się i mnie żałuje.

Robiąc potem w sąsiednim pokoju bardzo dokładną rewizję osobistą, kobieta miała ciągle w oczach ten sam bezmierny smutek. I głos miała żałobny, nabrzmiały łzami. Domagała się nim od Marii rozebrania się do naga, wykonywania przysiadów, otwarcia ust, podniesienia języka. Ogołocona z wszystkiego, co wiązało, zapinało, przytrzymało ubranie, Maria zdobyła się wreszcie na protest:

— Jakże tak można! Do czego to podobne!

Czarnooka wzniosła ramionami i ten prostacki, niezyczliwy gest, tak niezgodny ze smutkiem i żalobą oczu, napełnił Marię goryczą, podobną do wstydu. Smągła, może nawet piękna kobieta, była przecież — gadziną. Maria strząsnęła z siebie jej ręce.

Dobrawszy się wreszcie do walizeczki, kobieta odłożyła na bok lusterko, słoik z kremem, przekroiła mydło, ręcznik przedarła w pół. Czynności te spełniała powoli i automatycznie. Była gadziną, ale nie była złościcą — i Maria, patrząc na jej spokojne ruchy, nie chciała być niesprawiedliwa. Pojęta przy tym, że nieznośne dźwięczenie w walizce pochodziło od uderzeń szczoteczki do zębów o lusterko. Więc i ze Stanisławą pogodziła się i jej nie szczędziła uznania za praktyczność. Skądże mogła, biedula, przewidzieć, że tutaj zagrabią te potrzebne przedmioty? Z początku grzecznie, a potem coraz gwałtowniej Maria spierała się o każdą rzecz — o lusterko, igły, nici, nożyczki, pilnik do paznokci. I gdyby nie to, że musiała obema rękami przytrzymywać opadające majtki i spódnice, szarpałaby się chyba z tą „gadiną”, z tym „abisyńskim czupiradem”. Może nigdy w życiu nie zaznała Maria tak silnego poczucia własności.

— To moje! — powtarzała zażarcie — to moje!

Na ostatku został tylko mały tobołek owinięty połową ręcznika, na którym czerwieniły się literki „W. W.”. Gospodarna Stanisława wolała oczywiście „poświęcić” licheszy ręcznik Władka. Rozdrażniona tym nowym dowodem egoizmu Stanisława, kłóciła się:

— Jakim prawem zabieracie mi moje rzeczy?

Czarne oczy spojrzwały jeszcze smutniej, a głos niemal zaszczołał:

— Tutaj nic wam nie przepadnie, dostaniecie „kwitancę” na wszystko.

Słowo przypominało kwitnienie, choć oznaczało — pokwitowanie. Maria, przegrywając w sporze o rzeczy, musiała się pocieszyć bodaj tym przyjemnym brzmieniem i asocjacją. Wyobraziła so-



bie nie wiadomo dlaczego krzew kwitnącego jaśminu. Zdawało się jej, że z otwartej walizeczki także zapachniało jaśminem, więc napierała się żeby jej przynajmniej zostawić pustą walizkę. Kobieta wruszyła ramionami i tym razem spojrzenie jej było ni to ironiczne ni to grubiańskie. Maria pomyślała:

— Mogłabym ją uderzyć za to!

Wtedy właśnie wszedł do pokoju „szcurzy profil”, już bez palta, więc „zdemaskowany”. Przystąpiwszy do Marii, ruchem fryzjera zmierzwił jej włosy. Zaskoczona, cofnęła głowę, mówiąc ostro:

— Do czego to podobne!

Słowa te okazały się niestosowne, bo szło tylko o wyjęcie szpilek. „Szcurzy profil” rzucił je do walizki, gdzie niegłośno zagrały na szkle lusterka. Podczas splatania warkocza, opadła Marii spódnica i obsunęły się majtki. Oficer i kobieta czekali w nastroszonym milczeniu, aż Maria splecie swoje długie włosy. Nic ich nie obchodziła nagość Marii, nie zwracali też uwagi na jej zażenowanie, choć pogadywała do nich:

— Widzicie — rady sobie nie dam — potrzebowałabym teraz dwóch par rąk.

Czuła, że i to, co mówi, jest niestosowne, że każdy jej ruch jest nie na miejscu. Nie umiała jednak opanować swojej nerwowej żartobliwości, ani powściągnąć uśmiechów, błysków oczu i tej jakby zaczepności, szukającej porozumienia, czy też werbującej o łaskawsze traktowanie.

Także potem, gdy odpowiadała na pytania zadawane urzędowym, twardym głosem, niemal przekomarzała się: Czyż nie mają jej paszportu zabranego podczas rewizji? Wszystko tam wypisane — wiek, stan cywilny, znaki szczególne. Owszem, jeżeli ich to interesuje, może wymienić swoich przodków po mieczu i kądzieli. Rudańska — takie jest jej panięńskie nazwisko. Cóż z tego, że szlacheckie? Może nawet hrabiowskie, ale w Polsce zniesiono tytuły rodowe. Owszem — choć życie jej nie było specjalnie barwne, może opowiedzieć, co robiła, gdzie była, jak żyła od roku 1920. I, dlaczego ta data właśnie jest punktem wyjścia? Mąż? — zdziwiła się — od dwóch lat jest z nim rozwiedziona i nic o nim nie wie.

— To się pokaże! — odezwał się „szcurzy profil”, asystujący przesłuchaniu. Była to może tylko pusta przechwałka, ale Maria od razu straciła humor i aż nazbyt gorąco powtórzyła:

— Nic o nim nie wiem, nic a nic!

### 3

W małej celi o wysoko umieszczonym oknie, opatrzonym kratą i drucianą siatką, stały dwa wąskie żelazne łóżka zsunięte przy ścianie. Blachą obity, okrągły piec wypełniał swoim ogromem kąt celi ode drzwi. Maria, usiadłszy na brzegu przedniego łóżka, powtórzyła w tonacji „szcurzego profilu”:

— To się pokaże!

Aż tu zatem dopadła ją ta cierpka sprawa rozejścia się z Adamem! Adam za swoją elegancką Ewą na pewno dojechał już bezpiecznie do Rumunii czy Węgier. A z nimi Zdzisław.

— Szczęśliwie, że i Zdzisław, że nie był z mną! — Maria wymknęła się uczuciom, które domagały się zbyt wiele miejsca w jej niepokojach. — Zdzisław — upewniała się — nie ma dla nich znaczenia. Nie zapytali nawet, gdzie jest. Nie trzeba się martwić o Zdzisława, nie trzeba o nim myśleć. Ale — Adam!

Wytrwawszy chwilę przy tej trosce, odepchnęła także Adama. Aresztowano ją przecież w związku ze sprawą Józefa. Tak to właśnie nazwała: „Sprawa Józefa”, nie tylko dla skrótu, ale żeby na Mosta zrzucić wszystko, co wchodziło w zakres jego roboty. Zatem także i sobą obarczała Józefa. Będzie to musiał sam udźwignąć, to znaczy — wyprzeć się Marii. Powie: „Nie znam tej kobiety”. A ona tak samo: „Nie znam go. Dawałam lekeje francuskiego i buchalterii”. W pogotowiu były już jakieś zmyślane nazwiska uczennic i ich fikcyjne adresy. Nie — za Boga! — żadnych adresów! Mogą sprawdzić i od razu wykryje się kłamstwo. Jeżeli jednak te dziewczęta już tu są? Jeżeli przyznały się?...

Maria, jak osaczony zwierz, stawała frontem do napastników. Zaprzeczy! Józefowi powie w żywe oczy, że kłamie! Wyrze się go! Już w tej chwili wyparła się go wobec siebie samej. Nigdy, nigdy nie było w jej życiu Józefa Mosta!

Wyparła się jednak nie tylko Józefa Mosta i jego sprawy. Nic nie powinno jej tutaj przeszkadzać. Wyzbywała się więc bez trudu i żalu całej swojej przeszłości, jak balastu z tonącej łodzi. Związki z ludźmi, przedmioty, na które patrzyła przez długie lata i które były jej własnością, doznawane wrażenia i uczucia — dobre, złe, obojętne — wszystko, co przeżyła, musi być jak bilans po zamknięciu: podkreślone i przekreślone.

Dokonała tego, zdawałoby się, bez wysiłku. Mimo to, nie czuła się ani lekka ani swobodna. Zabrakło jej myśli i tchu, jak w sekundzie nagłej śmierci. Powiedziała na głos:

— Jeżeli już jestem sama i niczyja, nie warto bronić się!

Tak formułując, pojęła, że istnieje się tylko w rzeczywistym czy nawet urojonym kompleksie wydarzeń, uczuć, myśli. To one właśnie pulsowały teraz w skroniach, bolały w mięśniach, utrudniały oddech. Przepędzone, trwały w niej — fizycznie. Zaczaiły się pod inną postacią i inaczej będą się przejawiać.

— Będą bolały — pomyślała Maria dziecinnie. Lecz choć rozżaliła się nad sobą, była przekonana, że łatwiej potrafi znieść fizyczny ból niż tę jakąś odpowiedzialność za ludzi, za siebie.

Nakazując sobie całkowite opustoszenie duchowe, Maria w istocie ograniczyła swoje odczuwanie tylko do fizycznego zmęczenia. Położyła się więc na łóżku, troskliwie podsuwawszy pod głowę tobołek z rzeczami. Zbita na sieczkę słoma rozsunała się pod ciężarem ciała i pręty łóżka uwierały. Maria nie broniła się przed niewygoda, aby tak było, jak postanowiła: udreka dla ciała. Godziła się więc na wilgoć ścian, na kratę w oknie,



na cuchnący, zardzewiały kubeł z odchodami. Miała wrażenie, że już to skądś zna, że już kiedyś żyła w takich warunkach. Kiedy to mogło być? — doszukiwała się w pamięci. I nagle, jakby wszystko przywołała z powrotem. Wspomnienia napływały beładnie. Były własne i niewłasne, zasłyszane, przeczytane, widziane. Nie ciążyły jednak Marii i nie budziły niepokoju. Zdały się krażyć we krwi i regulować oddech. Maria ze zdumieniem pojęła:

— Przecież nie mogłam tego uniknąć, przecież musiałam i ja...

W zrozumieniu tym był spokój spełnienia. Kiedy jednak ode drzwi zabrzmiały grube słowa: Dawaj w ubornu! — zerwała się w popłochu.

Szybko nauczyła się skąpego ładu tutejszych dni. Po kolei była więc uborna, czarny płyn na śniadanie, cukier zsypany do pudełka od zapalek, ciwiartka chleba, szara zupa na obiad i taka sama lub ta sama na kolację. Klucz w drzwiach za każdym razem obracał się wrzaskliwie, ale głosy dozorczy i rozdającego porcje żywności były ściszone i jakby sekretne. Dzień zamykało wezwanie: Dawaj w ubornu! i Maria myła się w ustępie pod kranem, splukiwała blaszaną miseczkę, kubek i drewnianą łyżkę. Woda była lodowata, biała i rozpryskliwa. Ściany ubikacji iskrzyły się od szronu, pod którym narosła warstwa lodu. Można było z tego wnioskować, że „na świecie” trzyma mocny mróz.

Dzień mijał apatycznie, oszczędny w ruchach i nie zatłoczony myślami. Odgłos kroków dozorczy nie wymierzał długości korytarza, zawsze przerywany otwieraniem jakichś drzwi, szepcany gniewem, wzmocnionym tupotem czyichś nóg. Maria, słysząc te stłumione głosy, nie wysilała się, żeby coś z tego, co się dzieje na korytarzu, zrozumieć. Zimno w celi powodowało ciągłą senność i powieki nabrzmiewały, sklejały się. Krótkie drzemki przerywał dozorca stukaniem w szybę wziernika. Nie dozwolony sen kołysał się potem długo w sercu. Kołysała się cęła, okno huśtało się tęczowymi barwami. Kiedy wreszcie ustalał się rysunek kraty, Maria postanawiała zgodnie i pokornie:

— Wyśpię się w nocy. Noce są teraz długie.

Ale w nocy światło żarówki, umieszczonej nad drzwiami, godziło w Marię tak dotkliwie, jak gdyby ostre nożyki wcinęły się w skórę. Poprzez nacięcia światła wciskało się do mózgu, do wnętrzości. Za zamkniętymi powiekami trwała czerwona luna. Nic przydatnego, nic rozumnego nie udawało się przemyśleć w tych nieprzespanych godzinach. Niekiedy jednak zanurzała się Maria w półsen, jak w wodę, w której jawiły się stwory o galaretowatych ciałach meduz. Zbliżały się, kładły się na twarzy Marii wilgotnym i zimnym dotykiem. Budząc się z tego, przekonywała się, że na policzkach leżą jej własne, zimne palce.

Nie zamykając już oczu, patrzyła na okno, za którym była albo czarna noc, albo nierozpoznany kolor świtu. Wysoki, przeźrażliwy gwizd parowozu zdawał się rozdzierać liliowo-szary lub zielono-siny blask szyb. Maria, niepomna narzuconej sobie dy-

scypliny, wyrwała się do tego podniecającego głosu w przestrzeni. Wspominając niedawną wędrówkę, powierzała się — drogom, lasom i swojemu instynktowi. Już wiedziała, już to dobrze poznała: ucieczkę przed niebezpieczeństwem!

Pośpiech wyobraźni podrywał Marię. Usiadłszy na łóżku, zrzuciła z siebie płaszcz, którym się przykrywała. Śpiąc w ubraniu, była jakby ciągle w pogotowiu. Tak samo przygotowane już były zeznania. Nie wiadomo w jakiej chwili je ustaliła, odliczając sposobem buchalteryjnym jakiś procent na — manco. Stratą mogły być nieprzewidziane pytania. To, co z góry ułożona, było niewymyślne, lecz tym bardziej wiarygodne: — Józefa znała z Warszawy. Przyjaźniła się z jego żoną, koleżanką z kursów buchalteryjnych. Dziewczęta przychodziły do niej na lekcje. I już nic więcej. Nic ponadto. Czerwona, buchalteryjna linia, podkreślająca to zestawienie, dawała poczuciu pewności i jakby niezłomności.

Kiedy więc jednej nocy klucz długo domierzał się do zamku, Maria od razu zaczęła wkładać buciki. „Szczurzy profil”, posługując się nakazaną formułką, zapytał cicho od proga o nazwisko, imię, otczestwo. Maria zapięła palto, chusteczkę zawiązała pod brodą. Była to czarna, jedwabna chusteczka, malowana w listki koloru cyklamenu, przywieziona z Paryża przez właścicielkę magazynu, w którym Maria pracowała jako buchalterka. Szczegół ten, zniemacka przypomniany, umocnił Marię na duchu. Raźnie przekroczyła próg celi.

## 4

Maria straciła pewność siebie dopiero w pokoju, w którym odbywało się przesłuchanie. Światło lampy, stojącej na biurku, mroczyło się pod zielonym kloszem. Twarz sędziego była więc niewyraźna i szara. Jego ręce i tors, pokryte stożkiem światła, miały nieruchomość i różową barwę figur woskowych w muzeum osobliwości. To, co się tutaj odbywało, było zatem jak gdyby naśladownictwem czegoś dawno dokonanego. Było imitacją ponurych faktów przeszłości i Maria, czyniąc w duchu tę uwagę, uległa wrażeniu niezdrowej sensacji. Przejął ją dreszcz i chociaż lęk pomieszał się z niedowierzaniem własnym zmysłom, nie potrafiła już wykluczyć siebie z tego widowiska. Miała w nim brać udział, odtwarzając również jakąś postać, zastąpiła w ruchu, wyrażającym kulminacyjny moment dramatu.

W istocie — „szcurzy profil” kierował Marię ku biurku chyba tajemnym mechanizmem. Nie wyrzekł bowiem ani słowa i nie wykonał żadnego gestu. Maria, usiadłszy na krześle jak petentka w biurze, weszła jednak w rolę raczej podrzędną. Nagły rozbłysk lampy przychwycił jej onieśmielenie. We wnętrzu skierowanego na nią leja gorzała żarówka światłem tak okrutnym, że Maria zamknawszy oczy, skurczyła się, jak pod ciosem. Doznawszy porażki na samym wstępie, wpatrywała się w purpurowy ekran za powiekami. Był na razie pusty, choć ruchomy.

Z czerwonego letargu wyrwało Marię zaflegmione basowe



chrząknięcie. Wnet też chropawy głos zabrzmiał po ludzku, choć w obcej mowie. Maria odważyła się otworzyć oczy, które znowu uderzone blaskiem, odbiegły pośpiesznie w bok i zatrzymały się na styku dwóch ścian. Pas, idący tu cieniem od podłogi ku sufitowi, użyczał Marii niejakiego wsparcia. Mimo to, tłumaczyła się cicho i lekliwie, że nie rozumie pytania, ponieważ nie zna rosyjskiego języka. „Szczurzy profil”, stojący dotąd na uboczu, wystąpił naprzód.

Był „tylko” tłumaczem. Szybko jednak dostrzegła, że leniwe pytania sędziego nabierają w przekładzie zaczepnych akcentów. „Szczurzy profil” atakował: — Dlaczego wyjechała z Warszawy? Kiedy nawiązała kontakt z Józefem Mostem? Jakie zlecenia dawał jej Most? Jakie osoby wciągnęła do pracy?

Maria, stosując się do beznamiętnych pytań sędziego, wyjaśniała nieco sennie. Omijała tłumacza, nie darząc go uwagą. Tchórzyła przed nim, ale jej przestrach przeobrażał się w naiwne niepojęcie. Jak początkujący aktor wygłaszała przygotowany tekst tak gładko i bezmyślnie, że zatracił wymowę szczerości. Wiedząc o tym, patrzyła jednak ufnie na grubą i nadąsaną twarz sędziego. Cień zielonego klosza zamazywał nieforemne rysy jakby śniedzią. Na wierzch wypchnięte mętne gałki oczne nie wyrażały nic innego prócz nudy i lekceważenia.

Maria wierzyła jednak w możliwość porozumienia się z tym nieprzychylnym człowiekiem. Nie wydawał się złowrogi. Przypominał jej bowiem jednego z kolegów ojca. Pan ten przyjeżdżał prawie w każdą niedzielę do Boernerowa i choć naburmuszony i apodyktyczny w polemikach, nieoczekiwanie szedł na ustępstwa, albo zupełnie kapitulował. Ojciec, nie tając zadowolonia, zacierał ręce i drażnił się: — A przecież ja miałem rację! A jednak moje na wierzchu!

Fizyczne podobieństwo mogło więc być także podobieństwem duchowym, ale tłumacz stał na zawadzie, tłumacz zaostrzał sytuację. Maria była pewna, że „szczurzy profil” dowolnie przeinacza i uzupełnia pytania. Nagle rzucił:

— Należeliście do PPS?

Sędziemu byłaby może odpowiedziała twierdząco, „szczurzy profil” pytał jednak prowokacyjnie, więc zaprzeczyła. Odtąd już z rozmysłu posługiwała się przekorą. Nie rozumiała niczego, nie orientowała się w niczym. Była pospolitą kobietą o ciasnych pojęciach. Sądząc, że w ten sposób wymyka się podejrzeniom, nawet tłumacza traktowała łaskawie, prosząc go o wyjaśnienia i pouczenia w sprawach zbyt dla niej trudnych. „Szczurzy profil” wreszcie zaniemówił. Sędzia już przed tym wycofał się w najgłębszy mrok. Zapanowało milczenie i Maria jego przeciąganiem się mierzyła swój sukces.

Jakiś znak ręką, w mig pojęty przez tłumacza, zakończył przesłuchanie. „Szczurzy profil” wyprowadził Marię na korytarz i poecił konwojentowi:

— Do karceru!

## 5

Nie ważąc się usiąść na cemencie zalanym brudną wodą, Maria ziębła w podnieceniu. Dawne kategorie myślenia ciągle jeszcze usiłowały dostosować się do wydarzeń. Toteż i karcer wydawał się karą na szkolną miarę.

— Za co? Za co? — martwiła się. — Za co ten karcer?

Na nic więc nie zdążyło się udawanie naiwnej, na nic te wszystkie postanowione odpowiedzi. Nie uwierzyli — choć w sprawie Józefa Mosta naprawdę była pionkiem tylko. Nie ogarniała jej, nie znała szczegółów, ograniczona w swoim zakresie do jakiejś małej komórki, nie wiadomo nawet jak zrosniętej z inną komórką, a już zupełnie nieodcyfrowanej w całości organizacyjnej.

Zatajając i to przed sędzią, Maria właściwie wyolbrzymiała swój udział w robocie. Był to paradoks, który na razie dawał Mari trochę zadowolenia. Szybko jednak spostrzegła się, że tak rozumując, okłamuje także i siebie. Powoduje się przecież jakimś ambicjami, w tych warunkach absurdalnymi. Ach, i nie tylko w tych warunkach. Ileż to klęsk poniosła w życiu, przypisując sobie więcej dodatnich cech, niż ich miała naprawdę! Potem aż nazbyt jaskrawo ukazywały się wady, napiętnowane przez rodziców, przez Adama, a nawet przez Zofię Mostową.

Robiąc ten surowy bilans, Maria nie chciała jednak tak zupełnie zwątpić o sobie. Bywało przecież, że ją chwalono i uznawano. Ojciec za dobre świadectwa w szkole („Marysia jest zdolna”), Adam („najpiękniejsze oczy”), Józef („nie mógłbym się obejść bez ciebie”). Tak, tak — każdy mógł ją pozyskać „komplementami”! Dawały one jakby istotny sens jej życiu, narzucały przekonania, podniecały zapał, kształtowały ją na coraz inną modłę. Teraz jednak zdana tylko na swój własny sąd o sobie, zmuszona do jakichś decyzji, czy nawet improwizowania, nie powinna sobie już w tym niczym pobłażać.

Postanowienia te nie wzmacniały jednak Marii na duchu. Ważyła i mierzyła swoją wolę i odporność, nic właściwie nie wiedząc o swoich zasobach. Zawsze myślała o sobie, że ma łatwy charakter, że jest ustepliwa i łagodna. Posługiwała się dewizą: „ustąpić dla świętego spokoju”. Jakże nie święty był ten spokój, który uzyskiwała za każdą cenę! Wzdrygnęła się, wspomniawszy słowa, sceny, uczynki. Pożałowała swojego przemilczania, wiedząc, że już nigdy nie powie tych właściwych kiedyś słów.

Oparta plecami o ścianę, Maria, myśląc o dawnych, straconych okazjach, o dawnych porażkach — pojękiwała. Nogą zanurzoną po kostki w wodzie, ścierpły. Dozorca, wprowadzając ją do karceru, zabrał jej płaszcz, i zimno, które z początku wstrząsało nią, było teraz stęzającym bólem. Maria poczuła nagle tkliwość dla siebie. Jakakolwiek była czy jest, nie zasłużyła na takie cierpienia!

— Za co? za co? — pytała żałośnie.



Ból w podbrzuszu i w krzyżach wydawał się już nie do zniesienia, gdy małe okienko pod sufitem, dotąd niedostrzeżone, ujawniło się żółtawą barwą gruzłowatych szybek. Maria domyśliła się, że minęła noc. W istocie lampka nad drzwiami zgasła, ale mimo to w celi panował zmrok. Okienko, biorąc zapewne światło nie wprost z nadworu, zachowało swoją pergaminową nieprzejrzyistość. Woda na cemencie zamarzała, marszcząc się w rozetki i zygzaki, jak to bywa na kałużach podczas przymrozku. W lodowanej powłoce, jaką było już ciało Marii, serce plusnęło ciepło, ale lekliwie. Ruszyła z miejsca, stawiając sztywno nogi. Woda za każdym krokiem bryzgała w górę, ochlapując łydki, kolana, uda. Były to nowe wstrząsy, podobne do febrы, ale Maria nie czuła już tkliwości dla siebie. Zatrzeszczyła się jedynie o to, żeby nie zamarznąć. Zapach, ziejący z niedomkniętej parazy wywoływał mdłości, lecz i temu zapobiegła perswazją: — Nie zwracać uwagi! Nie zastanawiać się! — Brzydziła się jednak swojego kwaśnego oddechu i zimnej, lepkiej skóry.

Otrząsając się, nakazała sobie zobojętnienie, po czym już bez skrpułów usiadła na cemencie. Ubranie szybko nasiąkało wodą i wilgoć dobierała się do skóry. Uczucie zimna z początku aż kąśliwe, łagodniało w miarę nagrzewania się wody od ciała. Maria ucieszyła się, że jeszcze jest to własne ciepło. Przesadzała nawet: — Coraz mi cieplej, cieplej... Własne słowa ukołysały ją. Zасыpiając, zdążyła jeszcze skojarzyć swoje obecne odczuwanie z jakimś pradawnym, z dzieciństwa, w zmoczonej kołysce, czy już w kółeczku. Wstydzono ją wtedy: „Taka duża panna”. Maria stwierdziła z ulgą — że teraz nie wstydzi się, nie musi, nie chce się wstydzić...

Wywołana przez strażnika, wstała bez pośpiechu i wyżymała spódnicę. Okienko było ciągle tak samo brudno-żółte. Spała zatem może tylko kilka minut, mimo, że wyśnił się jej długi sen, którego treść zagubiła się z powodu nagłego przebudzenia. Idąc przez korytarze, mozoliła się nad odtworzeniem snu, po którym został tylko nekający, mglisty żal.

W pewnej chwili prowadzący ją żołnierz kazał jej stanąć twarzą do ściany. Poczęła się trząść w przeczuciu czegoś najgorszego. Dygot zębów rozwierał wargi. Dysząc i charcząc, kuliła się i garbiła w oczekiwaniu. To, co powinno być teraz nastąpić, napełniało ją bezmyślnym strachem. Usłyszała za sobą kroki i niemal do ucha wetchnięty szept:

— Odwagi, odwagi! Bóg jest z nami w cierpieniu i nieszczęściu.

Słowa te jakby przygwoździły Marię do ściany. Żołnierz musiał ją kilka razy trącić, zanim pojęła, że ma iść dalej. W gwałtownej reakcji po doznanej przerażeniu uniosła się gniewem na pocieszyciela. Przecież to, co usłyszała, skazywało ją już całkowicie na cierpienie i nieszczęście!

## 6

Tym razem w pokoju sędziego był jasny dzień. Maria, usadzona na taborecie bez oparcia i daleko od biurka, miała przed sobą przestrzeń parkietu ułożonego w jodełkę. Plamy na posadzce wydawały się podejrzanе i Maria, przeżywszy już raz paroksyzm strachu, bez oporu poddawała się domysłom pełnym grozy. Z takim samym lękiem lustrowała także wysokie okna, nie dowierzając ubogim widokom za szybami. Czyżby to naprawdę była tylko spiczasta wieża kościoła? I czy to tylko zwyczajne, bezlistne gałęzie drzew?

Wyteżając wzrok, mocowała się jednocześnie z drżeniem ciała. Zwłaszcza kolana oklejone mokrą spódnicą, dygotały, chociaż przytrzymywała je rękami. Dopiero po jakimś czasie uczuła, że za plecami dzieje się coś kojącego, coś, co uśmierza lęk i dreszcze. Obejrawszy się, potwierdziła domysł: był to w istocie piec, rozgrzany piec! Z niedomkniętych drzwiczek wypadły na mosiężną tacę węgielki. Maria zapragnęła te żarzące się kawałki zgarnąć gołą ręką. Mogłaby nawet łykać ogień, jak fakir. Nie byłyby to ani cud, ani kuglarstwo.

Sędzia, nie przeszkadzając Marii w tym „igraniu z ogniem”, pił herbatę i jadł bułeczkę z szynką. Masło spływało mu po palcach, więc zbierał je wargami. Maria zazdrościła mu gorącej herbaty. Łykałaby wrzątek, jak żarzące się węgle. Sędzia natomiast dmuchał w szklanke, marnując war. Wreszcie skończył, zapalił papierosa, stuknąwszy nim o brzeg biurka, jak to zwykli robić aktorzy filmowi. Zaciągnął się głęboko, również na sposób filmowy. Wpatrzony w siebie — zezował. Nadawało mu to wyraz srogości i Maria znalazła wreszcie ujście dla swoich uczuć: — Zwierz, zły, nażarty zwierz!

Ciepło, zrazu tak dobroczynne, rozparzało teraz i morzyło snem. Twarz sędziego, podpywając blisko, zwiększała się i jeszcze bardziej potworniała. Budząc się ze zgrozy, Maria odgarniała palcami powieki, aby okrutna twarz cofnęła się na swoje miejsce, za biurko.

Ocknąwszy się, zobaczyła, że w pokoju jest także „szcurzy profil” i jakiś wysoki, chudy oficer. Przyspieszone ruchy trzech mężczyzn — którzy coś wyjmowali z szuflad biurka, coś w nie z powrotem wkładali, potem zasłonięci drzwiami głębokiej i wielkiej szafy, czymś w jej wnętrzu szeleścili i znowu coś kładli na biurko — robiły wrażenie tajemniczego ceremoniału. Z początku i to mieściło się w zmorze sennej, ale gdy „szcurzy profil” usłużnie przytknął zapalną do papierosów, gdy dym wężykami popłynął ku oknom, Maria uwierzyła, że wszystko dzieje się teraz na jawie. Byli tutaj naprawdę. Było ich trzech. I to także widziała: pałkę gumową, rewolwer, papiery ułożone na biurku. Patrzyła na te przedmioty ostrożnie, broniąc się przed całkowitym ogarnięciem ich wzrokiem. Za nic, za nic nie chciała „pojąć” ich przeznaczenia. Uchylając się przed zrozumieniem tego, co się tu odbywało, czy też miało się odbyć, płonęła, jak



w gorączce. Żar buchał z pieca, warkocz na plecach niemal przyskał iskrami, a mokre, rozgrzane ubranie parzyło skórę. Przed tymi doznaniem nie było już ratunku.

Wtedy huknął rozkaz grubasa:

— Wstać!

Maria wykonała to aż nazbyt pochopnie, ale nogi odmówiły posłuszeństwa. Były jakby rozmiękle. Zatoczyła się i znowu przysiadła na taborecie.

— Wstać! — powtórzył sędzia. „Szczerzy profil” podbiegł, podjął Marię za łokcie i ustawił. Po czym przezornie nogą odepchnął taboret.

Chwiejąc się, Maria miała wrażenie, że stoi nad głęboką przepaścią, w którą za moment się stoczy. Napinała więc mięśnie nóg, które drewniały z wysiłku. Otaczająca przestrzeń, odbiegała, zwiększała się i jakby rzędząc, wciągała w siebie. Daremnie usiłując utrzymać się na powierzchni pływackimi ruchami ramion, Maria obsunęła się na podłogę. Pozwolono jej jakiś czas leżeć i zaznać uczucia bezpieczeństwa. Kiedy jednak sędzia pogardliwym gestem wskazał jej taboret: — Sadiś! — Maria, gramoląc się z podłogi, czuła się tak upokorzona, że w duchu lżyła siebie najbardziej prostackimi wyrazami. W dodatku „szczerzy profil” brutalnym szarpnięciem pomógł jej unieść się i jak kukłę posadził na taborecie.

Z ponizenia tego nie mogła już wrócić do normalnego stanu. Ani ruchy, ani głos nie były te same, co dawniej. Rekompensując swój upadek zachwalstwem i krzykliwością, Maria uwierzyła jednak w swoją odwagę. Zaciekle postanowiła: — Teraz zobacz, jaka jestem!

Pytania, które jej zadawano, były powtórzeniem wczorajszych, tyle, że stawał je ten niezmiernie wysoki i chudy oficer. Miał przyjemny, gardłowy głos, dobierał starannie słów, jak gdyby zastanawiając się, czy są odpowiednie, czy nie urażą Marii. Jego dobrze skrojony mundur, nowy skórzany pas z poprzeczką na piersiach, rzędy orderowych wstążeczek, czerwone, lśniące celofanowe romby na kołnierzu, powinny były budzić zaufanie. Rozczarowana do grubasa, Maria nie dała się już zwieść elegantowi. Powierając mu swoje zeznania, mówiła butnie te same, postanowione słowa. Siwe oczy oficera zdawały się jednak wyrażać aprobatę. Wąska łysina raz po raz pochylała się, jak w przejściu przez zbyt niskie oddzwia. Tłumacz, porywając zdania, żeby je jak najwierniej przełożyć, nie ważył się na żadną samowolę.

Szło zatem wszystko gładko i Maria puszyła się, jak heroina operowa po wielkiej arii. W pewnej chwili zaczęła się jednak wahać i plątać. Zachwalstwo pozbawiło ją czujności i dlatego za późno zorientowała się, że pytania nie były właściwie dosłownym powtórzeniem poprzednich. Oficer rozszerzył je, podbudował cyframi, nazwiskami. Okazało się, że wiedział o robocie Mosta więcej niż Maria i niby to ustępując, niby przyjmując do wiadomości zeznania Marii, opowiadał swoje. Dowiedziała się

więc, ilu osobom dostarczono fałszywych paszportów, ilu udało się przejść przez granicę, ilu wpadło w ręce strażników sowieckich. Nieostrożność kurierów, przybyszających tutaj ze zleceniami, odczytane szyfry, nakryte kwatery — wyjawiał oficer w sposób spokojny, nie chwając się sukcesami. Nie unosił się też gniewem, wyliczając przestępstwa Mosta i jego ludzi. Zresztą — przyznał łaskawie — nie jeden tylko Most działał na szkodę własnej sowieckiej. Była, a może jeszcze istnieje cała sieć tej wywrotowej akcji. Wprawdzie udaremnilo zachwałę plany, ale tu i ówdzie powiodło się złoczyńcom. Nie ujdzie im to bezkarnie. Tak — Polacy są dziecinnyim narodem, a może raczej narodem nie spełna rozumu.

— I wy tak samo z uma zszedłszy, wypierając się tego, co my już punkt po punkcie wiemy.

Głos jego był uciążliwy, wyraz twarzy szczery nawet wtedy, gdy to, co mówił, odnosiło się wprost do Marii, do jej wykroczeń, win i złej taktyki. Przestrzegał ją przed przykrymi, doprawdy — bardzo nieprzyjemnymi skutkami upor. Zresztą z sumy pozbieranych i dosłownie tutaj przytoczonych faktów, nie trudno dojść do wniosku, że nie wszyscy z grupy Mosta byli tak powściągliwi w zeznaniach, jak Maria. Choćby sam Józef Most, sam główny winowajca, należałoby powiedzieć: herszt grupy. Wystarczyło trochę go przycisnąć, trochę nastraszyć, aby wyśpiewał o swojej robocie, o swoich ludziach, a zatem i o Marii, której współpracę tak wysoko cenil.

Zatracając się, Maria wykrzyknęła:

— Mówił nieprawdę! Wymusiliście na nim zeznania!

Sędzia skłonił głowę tak nisko, że prawie dotknął czołem biurka. Wyglądało to, jak gdyby się wstydził i nie śmiał Marii spojrzeć w oczy. Zbita z tropu, zrozumiała dopiero z drwiącej miny „szczerzego profilu”, że po prostu kpiono z niej, że bawiono się jej niezręcznością. Przesztano zresztą zajmować się nią. Sędziowie rozpoczęli między sobą swobodny, towarzyski dyskurs — o mieszkaniach, meblach, żonach, kolegach. Mówiąc do siebie po otczestwu, do „szczerzego profila” zwracali się po nazwisku. Brzmiało, jak Zabłudow, albo podobnie.

Dygnitarze, wtuleni w dym papierosów, jak w miękkie pierrzyny, nie dopuszczali Zabłudowa do komitywy. Siedział po wąskiej stronie biurka, na brzeżku krzesła. Nie poczęstowany papierosem, ćmił swojego, starając się, żeby nawet dym szedł oddzielnie w bok, albo ku sufitowi. Spostrzeżenia te jakby nieco pocieszyły Marię. Czuła się mniej poniziona, skoro tak tu traktowano „swoich ludzi”. Łagodząc rozmiary swojej porażki, wysnuła również i takie uspakajające rozważania: — Przytoczone fakty są po prostu wymysłem. Jeżeli zresztą naprawdę wiedzą c działalności Mosta, jej nie potrafili dotąd zarzucić nic konkretnego. To znaczy, że Józef nic o niej nie powiedział! — Pełna wdzięczności przesała mu w duchu uznanie: — Dobry, szlachetny Józef...

Z czulego zapamiętania się, które było także skruczą



wobec Józefa, wyrwało ją kłaśniecie Zabłudowa:

— Wstać!

Drgnęła, ale natychmiast opanowała się, i godząc zuchwałym spojrzaniem w Zabłudowa, nie usłuchała wezwania. Zabłudow pokręcił głową ze zgorzeniem. Poparł go jednak grubas, gruchnąwszy jak piorun:

— Wstać!

Nowy sędzia zrobił ręką zapraszający gest i Maria uniosła się nieskoro. Jej krnąbrna mina zdawała się rozśmieszać chudego oficera, ale grubas srożył się, wykrzykując jakieś słowa, które wywołały grymas niechęci na twarzy chudego. W uchyłonym kąciku jego ust zasyczało jak od doznanego bólu. Zamachał przy tym ręką, że nie trzeba w ten sposób, że nie uchodzi. Nie poskromił jednak kolegi i nie zapobiegł niczemu.

Wielekroć razy powtarzała się ta scena w przepłotach: stanie, przesłuchiwanie. Na przemian też prowadzili śledztwo — raz grubas, następnym razem, nie uchybiając dobrym formom — chudy. Uczadzona udreka, Maria odpowiadała bezmyślnie ale nieomylnie, jak automat. Chudy sędzia, coraz bardziej rozweselony, robił ręką ruchy, jak przy kręceniu korby katarynki. Grubas natomiast wychodził z siebie, obrzucał Marię wyzwiskami, pluł na podłogę, tupał nogami, pięścią walił w blat biurka. Uspokajał się dopiero, gdy dawał Marii rozkaz stania. Zaraz też powracał do anegdot, które bawiły go bardziej niż słuchacza. Rubaszny śmiech toczył się jak koła wozu po bruku.

Spostrzeżenia te narzucały się Marii tylko przelotnie jako dodatkowa dokuczliwość psychiczna. Zaznawała bowiem innych męczarni — jednocześnie duchowych i fizjologicznych. Dolegało jej parcie w odbytynicy i klucie w przepełnionym pęcherzu. Wstydzając się, nie wiedziała, co począć. Kilka razy szepnęła, jak z szkolnej ławki: — Proszę mi pozwolić wyjść na stronę. — Nie dosłyszeli jednak, albo udawali, że nie słyszą. Chudy sędzia chyba ostentacyjnie odwrócił się plecami. Kiedy Maria skierowała się ku drzwiom, Zabłudow doskoczył do niej w dwóch susach i chwycił ją za ramię:

— Zwariowała, czy co?

chudy. Uczadzona udreka, Maria odpowiadała bezmyślnie ale na sędziów, którzy rozmawiali sekretnie, niemal „usta w usta”. Zawahał się, coś pomruczał, wreszcie sam powziął decyzję.

Zaprowadziwszy Marię do ustępu, czekał pod drzwiami. W drodze powrotnej, szedł obok Marii, wysuwając naprzód ryjowate wargi. Sądziła, że należy go przeprosić i coś takiego wybąkała. Machnąwszy ręką napomniał, żeby szła prędzej, bo tam czekają.

Ustawił ją bodaj na tym samym miejscu, na którym stała, zanim ją wyprowadził. Sam również przybrał swoją służbiwą pozę przy wąskiej stronie biurka. Obaj sędziowie nie raczyli niczego zauważyć, przyjaźni dla siebie, zajęci rozmową i żartami.

Po wypróżnieniu Maria czuła się jeszcze bardziej osłabiona.

Nabrzmiące stopy zdawały się ślizgać, jak po lodzie. Łamanie w krzyżu i coraz silniejszy ból w podbrzuszu wywoływały napływ śliny do ust. Maria chorowała kiedyś na zapalenie jajników i lekarka kazała jej unikać długiego stania. Dodała także inne zakazy, ale Adam nie był skłonny do wyrzeczeń. Maria, zatajając cierpienia, uśmiechała się do ludzi. Uśmiechała się i do Adama, chociaż nienawidziła go w tym czasie.

Myślała o tych minionych sprawach jakby tylko słowami, nie odtwarzając tamtych odczuwań psychicznych i fizycznych. Teraz, wyzbyta hamulców, krzywiła twarz, a z łamiących się warg sączyła się niteczka śliny. Powstrzymywała się jedynie od jęków, ale tylko dlatego, że bała się rozdrażnić swoich oprawców. Określiwszy tak sędziów, jakby dopiero pojeła ich przemoc. Nie podobał im, nie ma już dla niej ratunku! Jakże to powiedział ten nabożny człowiek — że Bóg jest z nami w cierpieniu? Teraz powinna więc przyjść ta pomoc. Teraz jest już najgorzej!

Domagała się pomocy, ratunku, wyzwolenia tak rozpaczliwie, że aż gniewnie. Niezwłocznie powinno się tu stać coś nadzwyczajnego! Zrazu zbyt wymagająca, przedłużała terminy, ustępowała jak w targu. Wreszcie zaniechała tych „sztuczek”, w które przecież nie wierzyła ani przez moment. Sama musi się ratować przed zagładą. Zwyczajnie — wyznać, przyznać się. Nie było w niej jednak jeszcze postanowienia. Zdobyła się tylko na żebraczy bełkot:

— Już nie mogę dłużej... kończcie... zabijcie...

Podobne do omdlenia osłabienie woli ogarniało ją ciemnością i głuszą. Nie słyszała, że Zabłudow ją wzywa, nie widziała, że przysunął taboret do biurka. Poczuła tylko nacisk jego palców na plecach i, jak ślepiec torujący sobie drogę wyciągniętymi ramionami, przeszła przez pokój. Siedząc już, przełamała się wpół. Żołądek wypełnił się szlamem, którego zatęchły, gorzki smak pchał się w usta. Słowa zabulgotały:

— Nie mogę... nie wytrzymam.

Chudy sędzia wygłosił sentencjonalnie:

— My już wypróbowaliśmy, ile jest wytrzymałości w człowieku. Znamy jej miarę zależną od odporności organizmu i — od uporu. Z naszych doświadczeń wiemy jednak, że człowiek uparty umiera powoli i ciężko.

Maria pojeła tylko jedno słowo: „powoli”, i dołączyła do niego: „konać”. Powolnie konać... Uskoczyła myślami: — Dwie doby konał foksterier Dżips. Matka nudziła konającego pieska: — Co cię boli? Dlaczego się na mnie boczysz? O co masz do mnie pretensje? — Pies, oddychając szybko, odwracał oczy. Nie mógł znieść ludzi. Znienawidził ich w godzinach konania.

Tak samo odwracała Maria oczy od sędziów, więc tylko bokiem zderzyły się jej źrenice z nagłym rozbłyskiem żarówki. Była już znowu noc i Maria sobie teraz wyznaczyła termin:

— Nie przetrzymam tej nocy.



Powiedziała jadowicie:

— Wyniesiecie stąd trupa.

Chudy sędzia po raz pierwszy rozgniewał się:

— Nie straszne nam trupy!

Głos Zabłudowa nudził z daleka:

— Jakie sumy dawał wam Most?

Za głosem Zabłudowa zuczyl gruby sędzia. Może działo się to w innym porządku zanim doszło do świadomości Marii, ale nie miało to wpływu na odpowiedź Szepnęła:

— Nie pamiętam.

W istocie nie pamiętała, ile było tych drobnych, skąpo wydzielanych banknotów. Pozostały w pamięci tylko niezręczne, wahające się gesty i dokuczliwe zapytania: — Czy ci to wystarczy na jakiś czas? — Mówiła zatem tak, jak było:

— Dawał mi od czasu do czasu małe sumy! Nie miałam przecież środków do życia.

Zabłudow parsknął:

— A zarobki z tych tam lekcji?

Walcząc z nudnościami, Maria mówiła kapryśnie:

— Nie wiem. Nie mówił mi. Może zabrał z sobą z Warszawy. Nie wiem. Nie pytałam go o to.

Chudy sędzia znowu okazał się pojętny:

— Rozumiem. Miał swoje oszczędności. Polacy naród oszczędny i zapobiegliwy, a Most dostawał dobrą pensję. Dobrze płatono w Polsce nauczycielom, prawda?

Maria nie zauważyła ironii i tak już nieuważnie, aby się zbyć, potakiwała, że i pensja była dobra i ludzie oszczędni. Odczuwała w sobie pustkę i jakby lekkość. Mogła teraz unieść się w powietrze, odrzucić — wybawiona. Usłyszała jeszcze rumor, łomot i warczące odgłosy podobne do dalekich gromów.

Obudził ją ostry zapach, wwiercający się aż pod sklepienie czoła. Czarnooka, smutna kobieta klęczała na podłodze i przytrzymywała przy nozdrzach Marii tampon waty, nasiąknięty tym szczypiącym zapachem. Jej litościwy głos upewniał, że to tylko omdlenie. Że tętno już normalne. Że nerwy. Że może pusty żołądek...

Herbata, którą Zabłudow podał Marii, była ciepława i zbyt osłodzona. Wypiła ją łapczywie. Zapach trzeźwiącego lekarstwa spłynął wraz z herbatą do przełyku i Maria dostała torsji. Krztusząc się i dławiąc, usłyszała spokojny głos chudego:

— Nie estetyczno, jak mówią u was. My to nazywamy: nieprzyjemność. Na ostatku — dla was wstyd, a dla nas — nieprzyjemność.

Maria sprzeciwiła się:

— Nie wstydź się! — sprzeciwiła się Maria, i dodała z przekonaniem: — To tylko dzieci się wstydzą.

Układny dotąd sędzia rozkrzyczał się:

— Zabierzcie ją stąd! Natychmiast zabierzcie ten śmierdzący łachman!

(Dok. nast.)

Herminia NAGLEROWA.

## *Sprawy i troski*

### Kompleksy D. P.

Wiadomo, że grupy emigrantów w obcych społeczeństwach muszą się zachowywać odmiennie od grup, związanych z krajem, w którym mieszkają; że muszą też swoim odmiennym zachowaniem wywołać odpowiednie reakcje społeczności tubylczej, oddziaływujące z kolei na emigrantów.

Nie wiem, czy zagadnienie to było przedmiotem specjalnych studiów socjologów. Przypominam sobie tylko, że omawiali je autorzy żydowskiej w Polsce, mianowicie — rewizjoniści.

Manes Frommer napisał proroczą książkę *Nasza wina, nasza hańba, nasza walka*, w której ni mniej ni więcej tylko przepowiedział masowe wymordowanie milionów Żydów w Europie, o ile nie potrafią oni wywalczyć sobie możliwości osiedlenia się. Uzasadniał tę tezę niemożnością współzycia na jednej ziemi narodów, wyznaczających sobie inne cele i pielęgnujących różne kultury.

Przywykliśmy jednak traktować zagadnienie żydowskie, jako zupełnie odrębne i nie przychodziło nam na myśl, że niektóre zjawiska, występujące na tle współzycia Żydów ze społeczeństwami autochtonicznymi mogą się powtarzać także w razie znalezienia się emigracji innych narodowości w łonie społeczeństw obcych.

Obecnie mamy pole obserwacji na sobie. Może właśnie dobrze jest zanotować te obserwacje na świeżo, bez znajomości „literatury przedmiotu”, mogącej wypaczać te obserwacje i nadawać im z góry jakiś kierunek.

Zacznijmy od sprawy... łapówek, gdyż ten przykład wyjaśni wiele. Urzędnik niemiecki jest przekupny (dziś), ale o wiele łatwiej przyjmie łapówkę od cudzoziemca, niż od Niemca. Bardzo łatwo wyjaśnić dlaczego tak jest: gdyby wziął łapówkę od Niemca byłby narażony po pierwsze na to, że Niemiec się wygada w swoim środowisku i że sprawa się wyda. Jednakże obok tego świadomego wyrachowania jest nieświadoma niechęć do



ujawniania swej słabości wobec ludzi, z którymi się można spotkać w życiu, którzy należą do tego samego środowiska.

To samo obserwuje się na przykład w dziedzinie „czarnego” handlu. Jest faktem, że (również w Niemczech) wiele poważnych firm handlowych, należących do starych, powszechnie szanowanych rodzin kupieckich, uprawiało rozległe interesy na płaszczyźnie „zakazanej”, ale głównie z cudzoziemcami. Motywy oczywiście takie same.

Od strony cudzoziemskiego kontrahenta sprawa wygląda podobnie. Zagranicą robi się rzeczy, których by się nie robiło w swoim środowisku. Norma prawna własna, polska, czy tym bardziej norma obyczajowa własna, ma większe znaczenie od normy cudzej.

Całe zagadnienie wygląda jeszcze inaczej, jeżeli wobec całego środowiska, w którym się przebywa, istnieje uczucie żalu, obojętnie z jakiego powodu. W stosunku do Niemców istniało ono w ogromnym stopniu. W kraju każdy przepis niemiecki był gwałtem, a jego obchodzenie cnotą, co przeniosło się i na emigrację.

W łagodniejszym stopniu to samo zjawisko będzie występować w stosunku do przyjaciół, na których zawiedliśmy się. Zresztą kompleks niechęci do obcego porządku występować może i na innym tle. Brak równouprawnienia skłaniał Żydów w społeczeństwach europejskich do szukania sobie dróg i sposobów wyrównujących to, co było w ich pojęciu krzywdą. Kto wie, czy właściwie każda emigracja, widząc wyraźne rozróżnienia na jej niekorzyść w codziennym życiu nie nabiera pewnej niechęci do społeczeństw autochtonicznych? Zdaje się, że tak. Jedyne wyjątek stanowi emigracja czysto zarobkowa warstw, które były w swoim społeczeństwie upośledzone.

Wyrwanie się z pozycji pariasów jest możliwe albo przez asymilowanie się, albo przez szukanie rekompensaty drogą używania metod niedostępnych dla ludzi miejscowych, a prowadzących do zdobycia zamożności, jako źródła władzy i znaczenia. Obie te metody widzimy we wszelkich grupach emigracyjnych.

Dziś, kiedy sami jesteśmy na emigracji, rozumiemy, jak wyrobiła się u Żydów ta bezwzględność w walce o bogactwo, która narzuciła swój styl życia gospodarczemu w epoce kapitalizmu.

Oczywiście zjawisko to występować może w różnych formach, zależnie od stopnia wykształcenia, poziomu kultury, wyniesionego z kraju ojczystego itp. Ludzie prymitywni wkraczają na drogę występku, bardziej wyrafinowani umieją swoje postępowanie utrzymać w ramach formalnej zgodności z przepisami prawa, ale używają wszelkich sposobów, stojących już na pograniczu karalności. Taka metoda ma kompensować ujemne następstwa niechęci środowiska i zarazem — niechęć tę potęguje.

Spółczeństwo miejscowe widzi niewątpliwie skutki takiej postawy imigrantów. Wytwarza się głęboki rozdział i obustronna nieufność. Dla przełamania tej nieufności imigranci stosują zasadę mimikry, upodobniania się do otoczenia, co wyraża się

np. w używaniu nazwisk przeinaczonych na modłę miejscową, nazw firm handlowych, pomijających obco brzmiące nazwisko itp. Rzecz znamienna, że taka skłonność do mimikry występuje najsilniej w grupach emigranckich, najbardziej „podejrzanych” o przywiązanie do swych krajów macierzystych.

Stopień przywiązania do własnej narodowości oraz odrębność kultury, wyniesionej ze środowiska rodzimego, decydują o stopniu i długo trwałości rozdziewięku między grupą imigrantów, a społeczeństwem miejscowym.

Najostrzejszy jest konflikt, wynikający na tle negacji norm etycznych społeczeństwa miejscowego. Negatywny stosunek do norm miejscowego środowiska może mieć różne źródła: po prostu brak zrozumienia ich motywów, czasem świadome dążenie do jego rozłożenia dla zdobyciu nad nim władzy, wywodzące się ostatecznie z kompleksu krzywdy. Studium utworów literackich autorów pochodzenia żydowskiego dać tu może sporo ilustracji.

W każdym razie współzycie grupy napływowej z grupą tu-byliczą wywołuje zawsze wielkie trudności, o ile ta grupa napływowa nie dąży w całości do pełnej asymilacji, o ile jej przywiązanie do kraju pochodzenia nie uzewnętrznia się inaczej, jak w nieszkodliwym wspominkarstwie, w utrzymywaniu pewnej odrębności lokalnych organizacji itp. Należy tu starannie odróżniać tego rodzaju objawy przywiązania do tradycji, skazane wcześniej czy później na zamarcie, od świadomego wyodrębnienia się kulturalnego, od wyznaczania sobie naczelnych celów politycznych, nie związanych z celami kraju, w którym przebywa grupa emigracyjna.

Istnieje pod tym względem głęboka różnica między np. „Polonią amerykańską” (którą właściwie byłoby już nazywać Ameryką polonijną) a np. Żydami w Ameryce czy polską emigracją w Anglii.

Być może jeszcze przez długi czas Polonia amerykańska będzie się troszczyć o swą dawną ojczyznę, będzie protestować przeciw działaniom na jej szkodę, będzie pomagać krajowi, ale trudno byłoby od niej wymagać, by w razie wyraźnej kolizji między interesem polskim a amerykańskim, stanęła po stronie polskiej. Typ Amerykanina polskiego pochodzenia więcej ma cech wspólnych z Amerykanami innego pochodzenia niż z Polakami. Wśród tłumu żołnierzy amerykańskich, domagających się w 1945 roku, w znanych demonstracjach na ulicach Frankfurtu, natychmiastowej demobilizacji, na pewno nie brakło żołnierzy polskiego pochodzenia, choć Polska była w niewoli. Przeżywali oni wówczas, wraz ze swymi towarzyszami broni, okres słodkich złudzeń, iż Ameryce nic nie zagraża, nie widzieli więc powodu do pozostawiania z dala od swego amerykańskiego homelandu.

Nie można się temu dziwić, ani mieć o to pretensji, jest to naturalny bieg rzeczy. Żałować tylko wypada, że go nie dość brano pod uwagę w czasie, gdy prowadzono akcję przeciw masowej



repatriacji, gdyż znaczna część obecnie emigrujących za morze będzie dla polskości bezpowrotnie stracona.

Żaden kraj immigracyjny nie może się patrzeć życzliwie na powstawanie na jego terytorium ośrodków życia kulturalnego i politycznego immigrantów, gdyż utrudnia to procesy zlewania się ich w jedno z ludnością miejscową i może być źródłem długotrwałych fermentów wewnątrz kraju i trudności na zewnątrz.

Zresztą zahamowanie asymilacji jest zadaniem niewykonalnym. Tylko zespolenie odrębności wszelkiego rodzaju, jak narodowej, religijnej i rasowej może się przyczynić do utrzymania przez długi czas odrębności grupy immigracyjnej. W rodzinie narodów chrześcijańskich pochodzenia europejskiego jest to możliwe tylko w granicach jednej, najwyżej dwu generacji. Wnuki Mickiewicza nie znają języka polskiego.

Jednakże obawa o hamowanie asymilacji tylko przez pierwszą generację stanowi już dostateczny powód do tego, by utrudniać przyjmowanie przez kraje immigracyjne emigrantów politycznych. Trzeba bowiem przeprowadzić rozróżnienie między emigrantami i immigrantami. Jest to na pozór paradoks, bo przecież każdy emigrant jest równocześnie immigrantem i na odwrót.

Chodzi jednak o to, co decyduje o wyjeździe z kraju ojczyzny i przybyciu do kraju nowego osiedlenia: niemożność powrotu do ojczyzny lub konieczność ucieczki, czy też chęć osiedlenia się w dowolnie wybranym kraju, bez żadnych szczególnych motywów natury innej, niż gospodarcza. Chodzi w tym ostatnim wypadku o trwałą emigrację zarobkową, która pociąga za sobą zerwanie węzłów z dawną ojczyzną.

Emigrant to w naszym pojęciu człowiek, który nie wie co z sobą zrobić, a znajduje się tam, gdzie go zagnały okoliczności przypadkowe, w małym stopniu zależne od jego woli; immigrant to człowiek, który sobie wybrał jakiś kraj osiedlenia i uzyskał prawo zamieszkania w tym kraju.

Można jeszcze dalej rozciągać ten włos na dwoje, czy na czworo. Kryterium rozróżniania emigranta od immigranta może być albo subiektywne, albo obiektywne.

Emigrantem „subiektywnie” jest osoba, która pobyt zagranicą traktuje jako konieczność tymczasową i liczy się z powrotem.

Emigrantem obiektywnie jest osoba, której kraj tymczasowego zamieszkania nie dał prawa osiedlenia się na stałe (czasem obywatelstwo), ale która została przyjęta z takiej czy innej konieczności. Do niedawna za taką konieczność uważano obowiązek udzielenia azylu, co jak wiadomo nie odpowiada już najnowszemu zdobyciom myśli demokratycznej, humanitarnej, postępowej i jak ją jeszcze nazwać...

Immigrantem subiektywnie jest osoba, która chce się w danym kraju osiedlić na stałe, na przykład ktoś, kto nielegalnie przedostał się do Stanów Zjednoczonych i pragnie tam pozostać, chociaż nie uzyskał prawa osiedlenia się na stałe.

Immigrantem obiektywnie jest osoba, która otrzymała prawo

osiedlenia się w danym kraju, chociaż, być może, wcale nie ma zamiaru tam na stałe pozostawać.

Immigrant obiektywny może być w gruncie rzeczy subiektywnie emigrantem. Obecne okoliczności zmuszają wielu ludzi do udawania „immigrantów” (czyli emigrantów zarobkowych), choć są oni emigrantami (politycznymi). Cała trudność pokierowania polską polityką osiedleńczą, podobnie jak polityką osiedleńczą wszystkich innych narodów Środkowej i Wschodniej Europy polega na pomieszananiu pojęć w tej dziedzinie. Kategoria „subiektywnych emigrantów” wystąpiła w ilościach dotychczas niespotykanych.

Dotychczas panuje u wielu osób w Europie, ale zwłaszcza za Oceanem, pogląd, że tak zwani D.P. nie są w swej masie emigrantami, lecz immigrantami. Europa jeszcze w czasach przed drugą wojną światową gotowa była przyjmować emigrantów politycznych w myśl zasad humanitarnych, uważanych za powszechnie obowiązujące. Nie da się porównać położenia emigracji politycznych z Rosji wzgl. z innych krajów między dwiema wojnami z położeniem „osób wysiedlonych” obecnie. Wówczas szybko i bez większego trudu emigranci znaleźli dostęp do szeregu państw europejskich, a nawet wydatną pomoc w kształceniu młodzieży itp.

Nie wchodziły jednak wówczas w grę takie masy ludzi, jakie znalazły się dziś w obozach „osób wysiedlonych”. Stąd kraje europejskie zamknęły przeważnie drzwi dla emigrantów politycznych.

Trzeba sobie zdawać sprawę z tego, że do niedawna emigrantami politycznymi byli ludzie, którzy opuszczali swoje ziemie ojczyste, uciekając przed prześladowaniami. Nieco inaczej wygląda emigracja polityczna dziś. Wielu znalazło się poza swoimi ziemiami ojczystymi wbrew własnej woli i po zakończeniu wojny stanęło przed wyborem: powrót lub pozostanie zagranicą.

Kto wie, czy u wielu z nich decyzja pozostania była wywołana tylko motywami politycznymi, czy może wchodziły w rachubę ubocznie także nadzieje na „dobre urządzenie się” zagranicą.

Istnieje przecież nie od dziś tendencja do emigrowania z Europy, a tak się składa, że w masie osób wysiedlonych przeważają te właśnie narodowości, z których rekrutowały się w ostatnich kilkudziesięciu latach fale immigrantów do szeregu krajów zamorskich ze Stanami Zjednoczonymi na czele.

Gdyby, powiedzmy, jakieś wydarzenia polityczne skłoniły do wyjazdu z Ameryki Północnej czy Południowej parę dziesiątków tysięcy ludzi, to nikt nie miałby wątpliwości, że chodzi tu o emigrację polityczną. Natomiast poszukiwanie miejsca na kuli ziemskiej przez kilkaset tysięcy ludzi z przeludnionej Europy wywołuje wrażenie, że chodzi o emigrację co najmniej mieszaną, zarobkowo-polityczną. Dlatego stosunek do emigrantów politycznych w krajach immigracyjnych jest wynikiem ich zasad, stosowanych dotychczas wobec emigracji zarobkowej.



W tej dziedzinie — ponieważ minął już okres szerokiego otwierania drzwi dla każdego przybysza z Europy, trudności muszą być szczególnie wielkie. Liczne państwa immigracyjne kierują się już troską o zachowanie dla swojej ludności tej wyjątkowej w dzisiejszym świecie pozycji, jaką daje stosunkowo rzadkie zaludnienie ziem urodzajnych, obfitujących w olbrzymie zasoby wszelkich skarbów naturalnych.

Co się tyczy krajów europejskich, to one, z jednym wyjątkiem Francji, są dziś w stosunku do innych części świata, ogromnie przeludnione. Dość na przykład przypomnieć, że 16 krajów „Marshallowskich” mimo strat wojennych powiększyło swą ludność od r. 1938 do r. 1948 o około 10%, tj. z 250 milionów do blisko 275 milionów, przy czym wytwórczość w tych krajach zmniejszyła się poważnie.

By skończyć tę charakterystykę warunków gospodarczo-politycznych emigracji, należy jeszcze podkreślić, że do niedawna emigracje polityczne były w znacznym stopniu finansowane przez swoje kraje pochodzenia. Tak było z polską emigracją polityczną w XIX wieku, tak było z emigracją polityczną rosyjskich rewolucjonistów w XIX i XX wieku. Przyjmowanie emigracji politycznych i udzielanie im prawa azylu nie zawsze było więc złym interesem gospodarczym.

Powszechnie przyjęty wśród nowych emigrantów politycznych pogląd, że ciężki los, jaki ich spotkał, jest wyłącznie wynikiem powszechnego zaniku pewnych zasad moralnych w świecie, nie wyjaśnia więc całkowicie problemu. Są ważne okoliczności gospodarcze, które przyczyniły się do powiększenia trudności rozwiązania sprawy D.P., aczkolwiek niewątpliwie można powiedzieć, że świat współczesny znajduje się dziś na dnie upadku moralnego. Widzimy wprawdzie już objawy odradzania się sił duchowych, które były podłożem cywilizacji europejskiej, ale w praktyce politycznej dziś dopiero uzewnętrzniają się praktyczne skutki XIX-wiecznego niżu.

Masy, zamknięte w obozach niemieckich, przeżywają swoją tragedię w okresie najmniej dla siebie pomyślnym zarówno jeśli idzie o obiektywne warunki gospodarcze osiedlenia w nowych krajach, jak i o reakcję „sumienia” świata na ich położenie.

Szczególnie właściwi emigranci polityczni dochodzą do wniosku, że ich zagadnienie w ogóle nie jest dostrzegane, że uważa się je za nieistniejące. O paszportach nansenowskich mowy nie ma. Tragifarsa konferencji w sprawie „osiedlenia intelektualistów” w Gwatt utwierdziła ich w tym przekonaniu.

Świadomość skutków tego stanu rzeczy wywołuje szczególne rozżalenie, które jest podłożem, skomplikowanego zjawiska, określanego pojęciem kompleksu D.P. Kompleks ten, któremu w mniejszym lub większym stopniu wszyscy ulegamy, jest nad wyraz niebezpieczny dla nas samych. Nic nam nie może pomóc, a wiele może zaszkodzić, potęgując niebezpieczeństwo „antydyplizmu”. Tak, jak kompleks krzywdy i żalu do społeczeństw chrześcijańskich u Żydów wywoływał antysemityzm, tak samo

kompleks krzywdy i żalu do społeczeństw zachodnich wywołuje drogą reakcji zjawisko antydyplizmu.

Przedsmak tego „antydyplizmu” obserwujemy już w Niemczech. Jest faktem, że przeciętny urzędnik IRO nie lubi „osób wysiedlonych” a przeciętny D.P. nie lubi urzędników IRO. Najłatwiej znajdują jeszcze wspólny język urzędnicy IRO z tymi narodowościami, które w jakiś sposób współpracowały z Niemcami, co bardzo łatwo wytłumaczyć: ludzie ci nie mogą mieć o nic żalu do mocarstw zachodnich, których eksponentem jest IRO, są więc w mniejszym stopniu dotknięci kompleksem D.P. i nie wywołują reakcji „antydyplizmu”.

Najtrudniejsza jest sytuacja tej grupy osób wysiedlonych, dla której jedynym powodem pozostania na obczyźnie były względy polityczne w najczystszej formie. Możliwości emigracyjne tej grupy są, jak wiadomo, najgorsze, a warunki do wytworzenia w niej kompleksu D.P. w skrajnej formie, najbardziej sprzyjające.

Kontrast między nadziejami — nie mówię już o nadziejach politycznych, lecz o nadziei znalezienia kawałka miejsca dla siebie pod słońcem tak zwanej cywilizacji zachodniej — a rzeczywistością, był wielki. Gdyby nie to, że emigranci ci wszyscy doskonale znają obecną Rosję i obecny stan rzeczy w krajach pod jej rządami pozostających, zrodziłaby się u nich głęboka niechęć do Zachodu.

Byłem świadkiem wielu rozmów przedstawicieli emigrantów politycznych z „ludźmi Zachodu” różnych narodowości. Były one dla mnie zawsze przeżyciem nad wyraz przykrym. Jeden z uczestników tych rozmów tak mi je scharakteryzował: Prosimy o wypuszczenie z więzienia i odmawiają nam, traktując nas przy tym jak żebraków, którzy proszą o jałmużnę. A w końcu każą nam wierzyć, że świat, w którym żyjemy, jest światem wolnym.

Rozumny realizm nakazuje nam przewyciężyć za wszelką cenę kompleks D.P., a podobno najlepszym sposobem jego przezwyciężenia jest własne uświadomienie go sobie, przeniesienie go ze sfery podświadomości do sfery pełnej, rozumnej i wyjdźmy już mocno poza granice Freuda — wolą kierowanej świadomości.

Istnieje konflikt między przywiązaniem do swego kraju ojczystego i zarazem do podstawowych ideałów, które uważa się za nierozdzielnie związane z pojęciem Ojczyzny przez duże O, a sytuacją, w której właśnie to przywiązanie do Ojczyzny jest największą przeszkodą do znalezienia dla siebie po prostu miejsca na świecie. Wiadomo bowiem aż nadto dobrze, że ludzie, dla których najsilniejszym motywem działania jest przywiązanie do kraju ojczystego, nie mogą dostać się do typowych krajów immigracyjnych z powodu obawy, że ich działalność w tych krajach może być szkodliwa dla tamtejszego nacjonalizmu. Faktyczne przełamania oporu krajów immigracyjnych podstępem nie rozwiązuje bynajmniej sytuacji. Rodzi się bowiem kompleks



obcości, o którym pisaliśmy na wstępie, kompleks, który doprowadza do wykoślawienia się w negatywnym rewolucjonizmie, który był chorobą Żydów w diasporze.

Może kiedyś w przyszłości cały tragizm tego kompleksu znajdzie autora, który potrafi go światu wytłumaczyć, ale na to trzeba chyba perspektywy, tak, że zrozumienie przyjdzie poniezwczasie.

Kolejne przeżycie walk podziemnych w Kraju, obozu koncentracyjnego w Niemczech i wreszcie „wyzwolenia” wraz z „przyznaniem statusu D.P.,” stwarza kolejne obciążenia psychiczne, które doprowadzić mogą albo do zupełnego wykolejenia, albo do przekształcenia w imigranta subiektywnego, szukającego na świecie już tylko sposobności do zarobku. Ale nawet to przekształcenie nie jest zagadnieniem psychicznie łatwym, gdyż wymaga poprzedniego zabicia w sobie tego wszystkiego, co było motorem wielkich wysiłków i powodem wielkich cierpień.

Gdybyśmy wyszli z założenia, że tylko mechanistycznie pojmowane prawa rozwoju społecznego i konkretne warunki polityczne i gospodarcze mają decydować o losie całej środkowo-europejskiej emigracji politycznej, musielibyśmy dojść do wniosku, że właściwie nie ma ona innego wyjścia, jak pełne przekształcenie się w ludzi, których nazywamy subiektywnymi imigrantami. Opierając się jednak na innych założeniach, dojdziemy do wniosku, że są wyjścia inne. Dokładnie dwa wyjścia:

Jednym z nich jest nowy rodzaj heroizmu, do którego nie przywykliśmy, heroizmu wytrwania w sytuacji właśnie politycznych imigrantów, a nie żadnej innej.

Drugim wyjściem jest zrozumienie o co tu naprawdę chodzi przez tych, od których rozwiązanie całej sprawy emigracji politycznej zależy.

Ludziom, którzy walczyli przez ostatnie lata o wolność swych krajów i o ideały, co do których byli przekonani, że są jeszcze czy raczej że są już znowu ideałami świata zachodniego, nie można nagle stawiać za warunek wpuszczenia do tego świata zachodniego zupełnego wyrzeczenia się ich celów. Nie można stawiać warunku również nieludzkiego. Trzeba im podać rękę, rękę pomocną, a nie mającą ich naginać do dyktatorskiej woli młodych i dlatego może tak bardzo zapalczywych nacjonalizmów.

Przetłumaczmy to na język prostszy, bardziej konkretny i zrozumiały. Istnieje w „wolnym świecie” konflikt między dwoma poglądami na sprawę emigracji politycznych.

Wedle poglądu pierwszego stanowi ona „coś, co może się przydać”. Tu znowu skala charakteru i stopnia tej przydatności różnie bywa określana, od „potencjalnych sojuszników” (rzadko) do „rezerwuaru potencjalnych agentów politycznych” (częściej).

Wedle drugiego poglądu typowych, czystych emigrantów politycznych, nie wolno wpuszczać do swojego kraju, dlatego że opóźniają oni asymilację imigrantów zarobkowych. Pogląd ten naturalnie jest powszechnie wyznawany w typowych krajach imigracji zarobkowej, choć nigdy jawnie nie głoszony.

Jest to kanon polityczny tak bezspornie i bezkompromisowo stosowany, że nie można się ludzi co do możliwości jego przełamania. Kraje imigracyjne wpuszczają tylko tych, co do których są przekonane, że staną się obywatelami ich kraju, że wyrzekną się swoich uczuć narodowych. To stanowisko jest zrozumiałe, chociaż pokonać musimy opór naszego punktu widzenia, by je w pełni zrozumieć.

Ale nie wyklucza ono bynajmniej pomocy dla emigracji politycznych, to znaczy ułatwienia im życia gdzie indziej, właśnie w krajach, które nie są typowymi krajami imigracyjnymi i dlatego nie obawiają się szkodliwego wpływu emigrantów politycznych na własną ludność.

Może nawet nie trzeba używać tu słowa „pomoc”. Chodzi przecież tylko o otwarcie drzwi dla ludzi, którzy nie mogą się wykażać zdrowiem, pozwalającym im na pracę w kopalniach oraz brakiem wykształcenia.

Można praktycznie znaleźć wiele wariantów rozwiązania tego zagadnienia, co już jest sprawą odrębną.

Chcę tylko na zakończenie uwydatnić rolę tych, którzy z pomocą lub bez pomocy, zdołają pozostać tym, czym są, to znaczy emigrantami politycznymi. Wytrwanie w tej roli jest równoznaczne z przyjęciem na siebie ciężkich obowiązków. Przeżyte cierpienia pozwolą emigrantom politycznym lepiej zrozumieć głębsze podłoże tych przemian w świecie, które doprowadziły do ich tragedii, a zatem także i znaleźć oraz wskazać ludzkości środki zaradcze.

Czy nie jest to bezzasadne uroszczenie? Dlaczego właściwie emigracje polityczne mają sobie przypisywać tak wielką rolę? Pogląd ten nie jest wynikiem megalomanii. Wprost przeciwnie, opiera się on na przeświadczeniu właśnie o niedoskonałości natury ludzkiej. Ci, którzy na sobie doznali skutków zniweczenia podstaw porządku europejskiego stają się sumieniem świata. Frazes, rzucony przez politycznego cynika, biorą na serio. Mamy dziś zbyt wiele samokrytycyzmu, by szukać innych uzasadnień naszej misji.

To jest drugi biegun przeżyć emigrantów. Są oni zawsze fermentem: albo fermentem negacji, na tle kompleksu żalu i krzywdy, albo fermentem, zmuszającym do szukania sposobów lepszego porządku rzeczy na tle kompleksu misji.

Oba kompleksy trzeba sobie uświadomić. Jeden, by go przeć, drugi, by przy jego pomocy przekształcić garstkę tych, którzy wytrwają, w awangardę dwutysiąclecia naszej ery i w apostołów porządku, od którego ta era swą nazwę wywodzi.

M. BRZEZIŃSKI.



## Uchodźcy wojenni

« Des hommes laissent périr d'autres hommes sans soupçonner, que cet abandon précipite leur propre fin... » 1)

Uchodźcy wojenni — niesłusznie nazywani w języku angielskim „displaced persons” a w francuskim „personnes déplacées” — liczyli najpierw miliony, a obecnie kilka setek tysięcy mężczyzn, kobiet i dzieci, którzy na skutek powojennych powikłań politycznych nie chcą lub nie mogą powrócić do krajów swego pochodzenia, pozostając pod wysoką opieką najwyższych czynników międzynarodowych.

Sprawa uchodźców wojennych była zagadnieniem specjalnym, zagadnieniem międzynarodowej moralności; została ona uznana za kwestię międzynarodową, za sprawę, która obciąża i obciążać będzie sumienie międzynarodowe do czasu całkowitego pozytywnego jej rozwiązania.

Te szlachetne akcenty czerpały swe źródło w przekonaniu twórców powojennego układu stosunków o konieczności naprawienia niezawinionych krzywd, wyrządzonych uchodźcom przez Niemców.

Świadomość konieczności naprawienia krzywd i wynagrodzenia poniesionych przez uchodźców strat fizycznych, materialnych i moralnych doprowadziła do powołania do życia międzynarodowej instytucji opieki nad uchodźcami, której zadaniem miało być przywrócenie uchodźcom sprawności i formy fizycznej, prawa do dachu i chleba oraz godności ludzkiej.

Obok oficjalnych wypowiedzi i deklaracji, padających z trybuny międzynarodowej, i niezależnie od nich, płynęło i płynie nadal życie skupień uchodźczych, rozsianych w Niemczech, Austrii i innych krajach Zachodniej Europy, życie pełne codziennych potrzeb, trudności, niedostatków, skrzepowania, niewygód, odmawiania sobie najbardziej prymitywnych zaspokojeń.

Rzeczywistość — to niedojadanie, a często głód, setek tysięcy mężczyzn, kobiet i dzieci z powodu niedostatecznych racji żywnościowych; to brak pracy i stałego dachu nad głową z powodu bezcelowego przetrzymywania uchodźców w Niemczech i Austrii;

1) Fragment konkluzji w kwestii międzynarodowej opieki nad uchodźcami wojennymi, zawartej w wydawnictwie zbiorowym Chemin du Monde, wydawnym pt.: **Personnes Déplacées** — Paris — Edition de Clermont.

to szarganie ich ludzkiej godności i otaczanie ich atmosferą niemoralności z powodu arbitralnego postępowania i stosowania do nich nieludzkich metod różnego rodzaju władz, bezpośrednio lub pośrednio zainteresowanych w tak zwanym rozładowaniu problemu uchodźczego.

Wygłaszane i pisane deklaracje nigdy nie stały w żadnym stosunku do rzeczywistości.

Ta przykra sprawa zajmowała umysły wybitnych myślicieli, mężów stanu, publicystów i dziennikarzy wszystkich krajów cywilizowanych. Na temat uchodźców wojennych ogłoszono niezmiernie wielką ilość druków. Odszukano winnych, zwalono na nich winę za ten, „największy skandal” jaki po wojnie obciąża „sumienie międzynarodowe”.

Na ogół druki oparte były o emocjonalne odczucia autorów, upokorzonych w swej dumie ludzkiej, gorszącym spektaklem, rozgrywającym się publicznie na arenie światowej, w którym dwie główne role przypadały: jedna — wyrazić woli potężnych mocarstw; druga — wycieńczonemu ośmioletnim, krwawym trudem, pozbawionemu jutra uchodźcy.

Druki na ogół zawierały stwierdzenia natury ogólnej, lub poruszały poszczególne kwestie, wyrwane z tego czy innego odcinka życia uchodźczego. Nie obejmowały całości zagadnienia, ujętego w jednym opracowaniu.

Dlatego wydaje mi się, że jest rzeczą celową przedstawienie całego problemu oraz oceny możliwości na przyszłość, właśnie obecnie, kiedy odżywają nadzieje uchodźców na umożliwienie im zdobycia dachu i pracy i kiedy zakończył się pierwszy roczny okres międzynarodowego mandatu opieki nad nimi.

### ORGANY MIĘDZYNARODOWE SPRAWUJĄCE OPIEKĘ NAD UCHODŹCAMI

Zadania UNRRA w stosunku do uchodźców nie były sprecyzowane. Działalność tej instytucji w skupieniach uchodźczych była uboczna i miała charakter dorywczej improwizacji. Działalność ta była przede wszystkim obliczona na wyżywienie i umożliwienie odpływu milionowych mas do krajów pochodzenia. Praca tej organizacji nie zawsze była zgodna z sumieniem jej kierowników i interesem uchodźcy. Braki te należy zapisać na karb politycznych i gospodarczych powikłań, jakie zaistniały w pierwszym okresie powojennym oraz braku koncepcji co do przyszłego losu tej części uchodźców, którzy nie będą chcieli czy nie będą mogli powrócić do swych krajów.

Właściwa międzynarodowa organizacja opieki nad uchodźcami została powołana do życia przez Organizację Narodów Zjednoczonych w dniu 15. XII. 1946 roku i działa pod popularną nazwą „IRO”. Utworzenie tej organizacji wiązało się z nadziejami uchodźców na ponowne odzyskanie przez nich moralnych i materialnych praw człowieka. Dopiero ta organizacja w świetle deklaracji sygnatariuszy jej Karty była powoływana



dla załatwienia i zaspokojenia spraw i potrzeb uchodźcy, który oczekiwał na umożliwienie mu urzędzenia sobie nowego życia.

Twórcy IRO rozumieli, że zagadnienia uchodźczego nie da się rozwiązać na drodze repatriacji i metodami stosowanymi przez UNRRA. Rozumieli że pojęcie „displaced persons” — „personnes déplacées” nie odtwarza rzeczywistości w odniesieniu do motywów i zamierzeń, jakimi się kierują uchodźcy. W statucie IRO zjawia się pojęcie „uchodźcy”. Statut precyzuje to pojęcie dość ściśle — odnosi się ono do osób, które nie mogą lub nie chcą pozostawać pod opieką rządu kraju pochodzenia. Osoby takie nie mogą być zmuszone do powrotu. Jednakże grzech pierworodny wyległy z działalności UNRRA ciąży nad stylizacją statutu IRO i powoduje, że odbiega on od idealistycznych założeń, towarzyszących powołaniu do życia tej nowej organizacji. Pojęcie „uchodźca” jest wprowadzone „ni przypiął, ni przyłatał”, ponieważ stosunek do uchodźcy jest taki sam jak poprzednio do DP, a mianowicie statut gwarantuje mu całkowitą i bez zastrzeżeń pomoc w repatriacji, natomiast pomoc w osiedlaniu się na obcym terenie jest obstawiona warunkami. Uchodźca, chcąc się osiedlić zagranicą musi udowodnić, że IRO ma obowiązek opieki nad nim oraz przedstawić „dostateczne powody”, dla których pozostaje zagranicą. Ponieważ dostateczność powodów nie została sprecyzowana bliżej, przeto kwestia ich oceny zależy nie od uchodźcy, który jest w tej sprawie najbardziej zainteresowany, lecz od swobodnego uznania czynników zupełnie obcych motywom zatrzymującym uchodźcę zagranicą.

Poza tym statut czyni z IRO instytucję, która nakłada na swych członków jeden tylko obowiązek, a mianowicie płacenie składek. Ten obowiązek jest nawet poparty sankcjami. W dziedzinie natomiast istotnej działalności organu opieki, a więc wyżywienia, osiedlenia, pracy itp., nie nakłada na członków żadnych obowiązków. W takim ujęciu IRO nie posiada możliwości ingerencji, a nawet możliwości wglądu do selekcji, rekrutacji i osiedlenia. Wytworzona została paradoksalna sytuacja, przy której organizacja opieki nie posiada wpływu na kształtowanie się przyszłego losu uchodźcy, pomimo że dla tego celu została powołana do życia.

Niedociągnięcia te ujawniły się w całej pełni w ciągu rocznej działalności IRO.

Po dokonanej zmianie na stanowisku sekretarza wykonawczego naczelne władze organu opieki na sesji w dniu 4. V. 1948 r. wykazały pełne zrozumienie problemów uchodźczych i jednocześnie stwierdziły publicznie, że zasady stosowane przez IRO okazały się niewystarczające, że nie udało się zrealizować opracowanego planu na skutek czego „problem uchodźczy nie znajduje się jeszcze na drodze rozwiązania”. Sekretarz wykonawczy w swym przemówieniu stwierdza, że niewykonanie zadań IRO należy między innymi przyczynami przypisać „brakowi chrześcijańskiego miłosierdzia wśród narodów”.

Cztery miesiące później, 16 września 1948 r., władze IRO

stwierdzają przez usta swego Dyrektora Generalnego, że IRO będzie mogło wykonać swe zadania jedynie pod warunkiem zapewnienia mu kollaboracji ze strony państw zainteresowanych. Konkluzja raportu, opracowanego przez IRO dla ONZ, brzmi: „Trzeba przede wszystkim, aby państwa otworzyły swe drzwi nie tylko dla młodych uchodźców, ale dla rodzin, starców, inwalidów i chorych. Realizacja ideałów zawartych w deklaracjach państw, składanych przez nie przy utworzeniu IRO będzie możliwa jedynie przez uczynienie tej małej ofiary ..... nie należy uciekać się do sztuk magicznych, aby rozwiązać zagadnienie ..... Państwa powinny szczerze podejść do sprawy zamiast pozostawać w bierności, z sumieniem obciążonym wstydem.....” Dalej raport stwierdza, iż w żadnej innej sprawie ideały ONZ nie mają tak bezpośredniego zastosowania do realnej rzeczywistości jak w sprawie uchodźców, która pomimo to od 3 lat obciąża sumienie międzynarodowe.

Sekretarz Generalny ONZ i Sekretarz Wykonawczy IRO zwrócili się do państw-członków o wykonanie uchwał powziętych na sesjach plenarnych ONZ w dniach 15. XII. 1946 r. i 17. XI. 1947 r., zalecających państwom przyjęcie na swe terytoria słusznych ilości uchodźców (part équitable). Sekretarz Wykonawczy IRO w raporcie swym z dnia 7. IX. 1948 r. podaje, iż w rokowaniach bilateralnych pomiędzy IRO a państwami-członkami nie udało się uzyskać ich zgody na zaakceptowanie uchwalonej przez nie zasady przyjęcia „słusznych ilości uchodźców”.

Sygnatariusze Karty Narodów Zjednoczonych, powołując do życia organ opieki, włożyli również na Radę Ekonomiczną i Społeczną ONZ obowiązek zagwarantowania w specjalnych postanowieniach poszanowania praw człowieka i podstawowych wolności dla każdej jednostki. Komisja Praw Człowieka zebrała się w dniu 27. I. 1947 r., 10. II. 1947 r. oraz 2 i 17. XII. 1947 r. Uchwały, traktujące o emigracji, zawierają następujące teksty:

„Człowiek ma prawo opuścić kraj, w którym mieszka, jak również opuścić swój kraj dla zainstalowania się gdzie indziej”.

„Prawo azylu posiada każdy człowiek”.  
„Cudzoziemiec zainstalowany w obcym kraju, nie może być wydany w drodze arbitralnej decyzji”.

„Osoba, która nie korzysta z opieki określonego rządu, ma prawo do opieki ze strony ONZ”.

#### BUDŻET IRO

§ 1-szy, aneks 2-gi statutu IRO ustala wysokość budżetu dla tej instytucji na pierwszy okres jej działalności, to jest od 1 lipca 1947 r. do 30 czerwca 1948 r. w dziedzinie:



wydatków administracyjnych ....	4.800.000 dolarów
wydatków rzeczowych .....	151.060.500 dolarów
Razem.....	155.860.500 dolarów

Ponadto zarezerwowano dodatkową sumę 5.000.000 dolarów na wydatki związane z tak zwanym osiedleniem masowym.

Komisja przygotowawcza IRO w przewidywaniu, iż na skutek opieszalności państw-członków przy wpłacie przez nie składek, przewidywany budżet nie będzie pokryty — ustaliła swój plan wydatków na pierwszy okres roczny na ogólną sumę 119.088.320 dolarów (razem wydatki administracyjne i rzeczowe) z zachowaniem sumy 5.000.000 dolarów zarezerwowanej ponadto na masowe osiedlenie.

Z tej sumy Komisja przeznaczyła:  
na akcję rzeczową (sekretariat, wy-

żywienie, opieka) .....	75.281.927 dol. (63%)
na repatriację i osiedlenie .....	24.600.760 dol. (21%)
Razem.....	99.882.687 dolarów

Raport wykonania budżetu w ubiegłym okresie rocznym nie podaje ściślejszych i precyzyjnych cyfr funduszy wydatkowanych w poszczególnych działach. Ze sprawozdań natomiast wynika, iż sposób wykonywania budżetu przez IRO jest elastyczny, ponieważ pozwala na przerzucanie wydatków z jednego działu do innego, z której to możliwości instytucja korzysta.

Budżet od 1. VII. 1948 r. do 30. VI. 1949 r. przewiduje wydatki na ogólną sumę 162.580.581 dolarów.

W związku z przewidywaniami wykonania w szerszej mierze planów masowego osiedlenia, budżet w tej pozycji został wydatnie zwiększony i wynosi 71.527.263 dolarów.

Ponadto przewidziano poważną rezerwę budżetową 16.958.932 dolary, która w wypadku potrzeby będzie mogła być przeznaczona do tych działów, które będą wymagały zwiększenia.

Jest to prawie czterokrotne zwiększenie budżetu osiedleńczego w stosunku do ubiegłego roku.

Organizacja opieki jest kosztowna. Z zestawienia globalnej wysokości budżetu na r. 1948/49 w stosunku do przeciętnej w ciągu roku ilości uchodźców wynika, iż na jednego uchodźcę przypada około 315 dolarów rocznego wydatku. Dolary te są dotychczas nieproduktywnie zjadane, ponieważ uchodźcy nie dają się możliwości zapracowania na siebie. IRO, będąc w trudnej sytuacji finansowej, szuka możliwości zmniejszenia wydatków przez ograniczenie kategorii osób, mających prawo do opieki międzynarodowej. Ograniczenia te powodują, że np. Polacy, przybywający ze Wschodu, nie mają prawa do opieki. Przyzna-

nie opieki w tych wypadkach zależy od dobrej woli i uznania właściwej dyrekcji IRO. Takie rygorystyczne stanowisko nie przeszkodziło jednak do oficjalnego przyznania praw opiekuńczych Czechom, którzy zjawili się na Zachodzie po zamachu stanu w Czechosłowacji.

#### PERSONEL IRO

IRO zatrudniało w dniu 30. VI. 1948 r.:

urzędników międzynarodowych .....	1.894
pracowników lokalnych .....	2.392
Razem.....	4.286

Podczas ostatnio dokonanej redukcji personelu zredukowano<sup>1)</sup>:

urzędników międzynarodowych .....	56
pracowników lokalnych .....	441

Miesięczny koszt utrzymania przez organ opieki jednego urzędnika w centrali (480 osób) wynosi ca 400 dol. W dyrekcjach krajowych koszt ten wynosi ca 250-300 dol. (pensje, rozjazdy, odprawy itp.

Ostatnią placówką, jaką IRO otwarło, jest placówka w Buenos Aires.

Budżet tej placówki w dziale opieki nad uchodźcami osiedlającymi się w Argentynie (zapomogi, pożyczki, ogólna opieka itd.) wynosi 300.000 dolarów.

#### GRUPA UCHODŹCZA

IRO przejęło w dniu 1. VII. 1947 r. od UNRRA — 704.000 uchodźców, którzy wymagali dalszej opieki.

Grupa ta składała się z następujących narodowości:

Polacy .....	192.000
Ukraińcy. ....	107.000
Estończycy .....	25.000
Łotysze. ....	83.000
Litwini. ....	50.000
Jugosłowianie .....	29.000
Nansenowcy. ....	22.000
Żydzi .....	156.000

(Ci ostatni stanowią 23% ogółu uchodźców a 80% wśród nich posiada obywatelstwo polskie.)

<sup>1)</sup> Oszczędność zatem odbyła się kosztem pracowników lokalnych, którzy są rekrutowani spośród uchodźców. W związku z redukcją pracowników lokalnych, uchodźcze biuletyny prasowe w Niemczech podnoszą brak personelu w obozach, co pociąga za sobą niesprawne funkcjonowanie urządzeń obozowych.



Na dzień 30. VI. 1948 IRO obejmowało opieką 598.000 osób. Zmniejszenie tylko o 100.000, mimo przeprowadzonej w ciągu roku repatriacji i osiedlenia tłumaczy się tym, iż IRO rozciągnęło w tym czasie opiekę nad nowymi kategoriami uchodźców (izolowani, żołnierze zwalniani z kompanii wartowniczych itp.).

Grupa uchodźcza pod względem demograficznym wykazuje największy dynamizm wśród narodów Europy Zachodniej.

Przyrost naturalny wynosi — 17.

Pod względem wartości zawodowych grupa uchodźcza jest wysoce cennym rezerwuarem różnego rodzaju kwilifikowanych pracowników. Ankieta przeprowadzona w tym względzie przez IRO dała następujące cyfry: Najliczniejsze zawody: rolnicy, krawcy, szewcy, rymarze, ślusarze, cieśle i różnego rodzaju mechanicy. Ósma część grupy uchodźczej posiada zawody rolne. Więcej niż połowa grupy przygotowana jest do podjęcia pracy zarobkowej od zaraz.

	Mężczyźni	Kobiety
Rolnicy .....	55.000	18.000
Robotnicy przemysłowi wykwalifikowani..	43.000	20.000
Inni robotnicy wykwalifikowani .....	32.000	1.000
Zawody wolne .....	30.000	15.000
Urzednicy biurowi .....	11.000	10.000
Służba domowa .....	6.000	20.000
Robotnicy półkwalifikowani .....	20.000	4.000
Inni .....	31.000	30.000
	<u>228.000</u>	<u>118.000</u>

Tytułem próby w amerykańskiej strefie okupacyjnej poddano 629 mechaników oficjalnemu egzaminowi zawodowemu celem sprawdzenia umiejętności. Spośród tej liczby na podstawie egzaminu zaliczono:

do poziomu majstra .....	101
„ „ robotnika 1-szej klasy .....	208
„ „ robotnika 2-giej klasy .....	233
„ „ terminatora .....	86

Tylko jedna osoba została odrzucona.

Ankieta, przeprowadzona wśród kobiet, wykazała podobny stan różniczkowania i uzdolnień zawodowych.

Repartycja pod względem wieku jest następująca:

Wiek	Mężczyźni	Kobiety
0- 9	55.000	51.000
10-19	30.000	30.000
20-49	217.000	166.000
powyżej 49	30.000	26.000
	<u>325.000</u>	<u>273.000</u>

65% uchodźców ma wiek od 18 do 45 lat. Tylko 13% przekracza 45 lat.

Stan rodzinny<sup>1)</sup> wykazuje — 147.000 rodzin, złożonych przeciętnie z 3 osób.

#### WSPÓŁPRACA CZYNNIKÓW BEZPOŚREDNIO ZAINTERESOWANYCH W SPRAWACH UCHODŹCZYCH

Na terenie uchodźczym działają, ale nie współpracują, trzy czynniki: państwa, występując w roli handlarzy żywym towarem, oceniających wartość i siłę bicepsów uchodźczych.

IRO, ożywione najlepszą wolą i chęciami załatwienia problemu, ale nie mające możliwości realizowania swych zamierzeń dla braku dostatecznych kapitałów i pozbawione prawa decyzji w sprawach istotnych dla uchodźcy.

Uchodźcy: pozostawieni sami sobie, gdyż organizacje uchodźcze nie są oficjalnie uznane przez IRO.

Kwestia współpracy IRO z narodowościowymi organizacjami uchodźczymi — współpracy czynnej, opartej na wspólnie opracowanym racjonalnym planie współdziałania i podziału czynności — a nie polegającej na wysłuchiwanie życzeń uchodźczych, lub udzielaniu informacji i rad porządkowych — posiada pierwszorzędne znaczenie. Można przyjąć za pewnik, że tak pojęta współpraca spowodowałaby znaczne obniżenie wydatków w zakresie zwłaszcza administracji. Ponadto, nie wchodząc w ocenę kwalifikacji fachowych międzynarodowego organu opieki, można również przyjąć za pewnik, że organizacje uchodźcze posiadają sztab pracowników, którzy obok wykształcenia ogólnego odznaczają się nieprzeciętnymi zdolnościami, popartymi kilkuletnim doświadczeniem w dziedzinie opieki społecznej, prac demograficznych, organizacji ruchów ludności, organizacji życia zespołowego itp. Poza tym uchodźcy pracownicy społeczni posiadają tajemnicę niedostępną dla oficjalnego aparatu administracyjnego — umiejętność pracy w warunkach bezbudżetowych i podejście społeczno-ludzkie do ludzi i ich spraw. Czynna współpraca IRO z organizacjami uchodźczymi pozwoliłaby na wykorzystanie tych nieprzeciętnych wartości.

Międzynarodowa Organizacja Opieki ma do wykonania 3 podstawowe zadania:

1. Wyżywienie uchodźców,
2. Ich repatriację,
3. Ich osiedlenie,

<sup>1)</sup> Zobaczymy dalej, że właśnie ten stan rodzinny, będący wyrazem moralności społecznej, jest największym kamieniem obrazy dla państw, mających swe interesy w skupieniach uchodźczych. Gdyby nie ta społeczno-moralna fasada grupy uchodźczej — zagadnienie mogłoby być już od dawna z łatwością rozwiązane.



## WYŻYWIENIE UCHODźCÓW

Raport Sekretarza Wykonawczego z działalności IRO za styczeń—kwiecień 1948 r. stwierdza, iż ustalony poziom wyżywienia uchodźców nie został osiągnięty. Produkty dostarczane przez gospodarke niemiecką i mające charakter podstawowego wyżywienia uchodźców, jak chleb, kartofle, i mięso są w bardzo złym gatunku. Niska jakość produktów obniża wartość kaloryczną pożywienia o 20%. Odnośny ustęp raportu brzmi: „Podwyższenie racji żywnościowych we wszystkich strefach jest bezwzględnie konieczne, gdyż ..... sygnalizowano liczne wypadki D.P., których waga była zbyt niska i którzy zostali odrzuceni podczas rekrutacji na osiedlenie.”

IRO ustaliło poziom wyżywienia na 1.900 kalorii dziennie. Powołany raport stwierdza, iż i ten niski poziom osiągnięty nie został.

„Dziennik Rozporządzeń Szkolnych”, wydany na rok 1948 przez Polską Komisję Szkolną w sprawie wyżywienia dzieci podaje:

„... 1500 kalorii — to stanowczo za mało”, aby dziecko mogło się normalnie rozwijać i uczyć. „Dziennik” wysuwa żądanie podwyższenia racji żywnościowych, w wypadku przeciwnym rezultatem będzie powszechna gruźlica wśród dzieci.

Ostatnio racje zostały nieco podwyższone.

Człowiek, aby mógł pracować, powinien spożywać minimalnie 2.400 kalorii dziennie.

Wytwarza się błędne koło: celem jest osiedlanie uchodźców, jednym z zasadniczych wymagań komisji rekrutacyjnych jest posiadanie odpowiedniej sprawności i formy fizycznej, uchodźca jest niedożywiany.

## REPATRIACJA

IRO opracowało plany repatriacji w pierwszym roku swej działalności, obejmujące — 109.000 osób. Jak wynika z wypowiedzi jego przedstawicieli — IRO nie miało złudzeń co do tego, iż cyfra ta osiągnięta nie będzie, ponieważ okres masowej repatriacji się skończył. Wysoka cyfra była ustalona i jednocześnie zarezerwowano pieniądze na ten cel w budżecie, aby uczynić zadość postanowieniem statutu oraz życzeniom państw-członków w przedmiocie repatriacji. Jednakże i IRO, pomimo realnego ustosunkowania się do sprawy repatriacji oceniało sytuację w tej dziedzinie zbyt optymistycznie. Sekretarz Wykonawczy na sesji w Genewie w maju 1948 r. deklarował, że z liczby zamierzonej będzie repatriowane 70.000 osób. Koniec okresu rocznej działalności IRO wykazuje, że w okresie od 1. VII. 1947 r. do 30. VI. 1948 r. repatriowano 51.400 osób, a więc zamierzenia zostały wykonane w 46%. W liczbie repatriowanych Polacy stanowili 60%.

Z 51.439 uchodźców — 29.745 powróciło do Polski, następną

co do wielkości grupą repatriantów stanowią Chińczycy — 6.265, Jugosłowianie — 4.526. Pozostałą cyfrę stanowią przedstawiciele 55 narodowości.

W drugim okresie działalności, IRO przewiduje repatriację 57.160 osób. Należy przypuszczać, iż realna liczba będzie znacznie niższa, zwłaszcza wobec otwierających się pewnych perspektyw dla emigracji zamorskiej. Główne nadzieje, a więc i główny nacisk w dziedzinie repatriacji jest wywierany na grupę polską. Wynika to z faktu, iż w pojęciu oficjalnych czynników repatriacyjnych, Polacy wracają do swego kraju, wówczas kiedy uchodźcy pozostałych narodowości pochodzą z terenów inkorporowanych do Związku Sowieckiego. Wykazy miesięczne dokonanej repatriacji wykazują, iż w bieżącym okresie repatriacja Polaków nie przekracza 1.000 osób miesięcznie.

Statut IRO wskazuje w sposób wyraźny, iż repatriacja uchodźców stanowi najbardziej podstawowy dział pracy tej instytucji. Takie postanowienie pozwala wnioskować, iż sygnatariusze Karty ONZ w jej części, powołującej do życia międzynarodowy organizm opiekuńczy, sprawę osiedlenia wysunęli jako rekwizyt międzynarodowego humanitaryzmu, tylko *pro foro externo*, natomiast *pro foro interno* rozładowywanie problemu uchodźczego winno nadal się odbywać w drodze repatriacji.

## OSIEDLENIE

Zamierzenia IRO w ubiegłym okresie w dziedzinie osiedlenia obejmowały 262.000 osób (z czego 234.000 osób w drodze osiedlenia masowego i 28.000 osób w drodze osiedlenia indywidualnego). Ze sprawozdania IRO z dnia 7. IX. 1948 r. wynika, iż osiedlono w wymienionym okresie 138.200 uchodźców, co stanowi 50% przewidywań. Bez udziału IRO, a przy bezpośredniej pomocy ze strony różnych krajów i organizacji społecznych, osiedliło się ponadto w tym czasie 66.377 osób.

Ogólna ilość 204.577 uchodźców—imigrantów została przyjęta przez 73 kraje na 5 kontynentach. Największe nasilenie emigracji, obejmujące 77% cyfry ogólnej, miało miejsce do 6 krajów, a mianowicie do Anglii, która przyjęła 69.788 osób, do Kanady — 25.244, do Belgii — 19.147, do USA — 16.836, do Francji — 16.216 i do Argentyny — 12.163. Z pozostałych 33% imigrantów 6.700 wyjechało do Palestyny, 5.666 do Wenezueli, 5.032 do Australii, 3.491 do Brazylii, 3.488 do Holandii, 2.892 do Paragwaju, 1.943 do Szwecji, 1.473 do Chile, 1.282 do Peru. 20 krajów — Maroko, Unia Południowo-Afrykańska, Turcja, Boliwia, Urugwaj, Syria, Tunis, Kuba, Szwajcaria, Meksyk, Kolumbia, Gwatemala, Egipt, Equador, Republika Dominikańska, Costa-rica, Włochy, Panama, Rodezja i Nowa Zelandia przyjęły mniej niż po 1.000 uchodźców. Pod względem narodowościowym, imigranci stanowili następujące grupy: Polacy — 74.644, Ukraińcy — 28.574, Jugosłowianie — 20.158, Łotysze — 12.359, Litwini — 9.594, Niemcy — 7.792, Rosjanie sowieccy — 7.984, Węgrzy —



7.837, Estończycy — 6.029, oraz znaczna część Żydów i obywateli niemieckich, prześladowanych podczas panowania reżimu hitlerowskiego oraz mniejsze ilości osób 15 innych narodowości, bezpaństwowców, narodowości nieokreślonych lub posiadających paszporty nansenowskie.

W bieżącym okresie budżetowym zamierzenia osiedleńcze obejmują — 381.000 osób. Stopień realizacji zamierzeń osiedleńczych zależy całkowicie od możliwości efektywnego wykorzystania perspektyw osiedleńczych, jakie w ciągu roku 1948 się zjawiały, a ta sprawa nasuwa pewne wątpliwości.

### DZIAŁALNOŚĆ KOMISJI REKRUTACYJNYCH

Istota tragedii uchodźczej leży w działalności komisji rekrutacyjnych. Wśród państw, członków ONZ i IRO, zasiadają państwa imigracyjne. Uchwały ONZ, apele IRO w dziedzinie umożliwienia osiedlenia bezwzględnie są zwrócone przede wszystkim do państw imigracyjnych, ponieważ mogą one z łatwością rozładować skupienia uchodźcze przez otwarcie swych drzwi już nie w imię miłosierdzia chrześcijańskiego, ale wykorzystania na swój rachunek pracy uchodźców.

Otóż kraje imigracyjne zajęły w sprawie uchodźców pozycję: na zewnątrz popierania wszelkich humanitarnych poczynań ONZ i IRO; na wewnątrz szczelnego zamknięcia przed uchodźcami swych granic i wydania drakońskich przepisów w dziedzinie kwalifikowania uchodźców do wyjazdu i wydawania zezwoleń wjazdowych.

Ogłoszone oficjalne dokumenty ujawniają niskie pobudki, jakimi kierują się zainteresowane kraje przy załatwianiu problemu uchodźczego.

W raporcie IRO z dnia 4 maja 1948 r. znajdujemy następującą kwalifikację działalności organów krajów imigracyjnych wśród uchodźców:

„..... możliwości osiedleńcze ograniczone są warunkami, obmyślanymi na zimno, z raczej niskich pobudek i we własnym samolubnym, choć źle zrozumiałym interesie państw imigracyjnych”.

„..... plany osiedleńcze nie przewidują ..... wcale osiedlenia grup rodzinnych ..... dochodzi do tego, że poszczególne jednostki ukrywają swe związki małżeńskie, aby móc brać udział w akcji osiedleńczej. Zdarzają się wypadki, że matki opuszczają swe dzieci i przedstawiają się misjom rekrutacyjnym, jako osoby samotne”.

„..... już prymitywne poczucie humanitarne powinno powodować zdanie sobie sprawy z konsekwencji duchowych, moralnych i fizycznych tego stanu rzeczy .....”.

„..... wiele osób werbowanych do pracy w kopalniach węgla Europy zachodniej okazało się niezdolnymi do tak ciężkiego wysiłku. Rzadko kiedy postarano się o to, aby zgodnie z zasadami humanitaryzmu, znaleźć im inne, odpowiednie zajęcie ..... mimo woli nasuwa się myśl, że państwa odnoszą się z wątpliwością do absorpcji na stałe uchodźców w ramach ich gospodarki i dlatego utrzymują ich w sytuacji prowizorycznej, aby móc w razie potrzeby odesłać ich z powrotem ..... Odesłać? .... ale dokąd? .... do Niemiec? .....”.

Placówki duszpasterskie w Niemczech w odezwie swej stwierdzają, że niehumanitarne i wprost nieludzkie metody, stosowane przez komisje rekrutacyjne doprowadzają uchodźców do czynów niemoralnych, do opuszczania własnych dzieci włącznie.

Do ponurej tragifarsy podobne jest zarządzenie jednej z alianckich kwater głównych w Niemczech następującej treści: „..... zostało stwierdzone, że istnieje tendencja wśród osób wysiedlonych do opuszczania własnych dzieci, dla uzyskania łatwiejszych możliwości osiedleńczych ..... Osoby, które zaniedbują swe obowiązki rodzicielskie .... godne są pogardy ..... opuszczanie dzieci jest kryminalnym przestępstwem .....”. Dalej następuje wyliczenie sankcji karnych.

Czy ten, kto wydał takie zarządzenie nie rozumie, że aby skutecznie zwalczyć zło — należy zwalczać nie jego skutki, lecz przyczynę?

Cytaty z raportów oficjalnych na ten temat można by przytaczać bez końca. Problem pod kątem widzenia oceny negatywnej jest całkowicie dojrzały.

Państwa imigracyjne w metodach swej działalności rekrutacyjnej prześcignęły najbardziej cynicznych handlarzy niewolnikami, uprawiającymi swój proceder, również w ramach legalizmu, aż do połowy XVIII stulecia.

Zasadą rekrutacji jest człowiek zdrowy, silny, samotny, do lat 35. Uchodźca ubiegający się o wizę, musi przejść szereg trwających miesiącami badań lekarskich, egzaminów zawodowych, badań stanu rodzinnego itp. Jeżeli komisja się pomyliła i uchodźca już znalazł się na terenie imigracyjnym, miejscowe władze naprawiają pomyłkę przez odesłanie imigranta z powrotem do Niemiec.

Sprawa techniki rekrutacyjnej oraz w ogóle sprawa pracy zarobkowej i poziomu życia uchodźców już osiadłych na stałe z punktu widzenia formalnego międzynarodowego ustawodawstwa pracy jest załatwiona *lege artis*. Nie pominięto żadnego kompetentnego czynnika międzynarodowego. Kwestia była dyskutowana w Międzynarodowym Biurze Pracy na posiedzeniach w dniach 23 lutego, 24 lutego i 3 marca 1948 r. Międzynarodowy organ pracy powziął uchwały w kwestii wykorzystania pracy uchodźców w gospodarce światowej, kontroli operacji rekrutacyjnych, równego traktowania z robotnikiem krajowym pod względem płacy i warunków pracy.



Emigranci uchodźcy z reguły jednak nie są dopuszczani do pracy w swych zawodach; są kontraktowani do najniższych kategorii prac niewykwalifikowanych; z reguły są gorzej płatni i gorzej traktowani, aniżeli robotnik miejscowy. Dopiero po rocznym odpracowaniu kontraktu, emigrant uchodźca, posiadający jaką taką znajomość rynku pracy i języka, ma pewne możliwości lepszego urządzenia się.

A kiedy uchodźca przeszedł już zwycięsko przez alembik przepisanych formalności i komisja imigracyjna już przed samym wydaniem wizy „połapała się”, że właśnie . . . . ten nie powinien jechać ze względów jej tylko wiadomych, to wówczas stosuje się do kandydata na wyjazd cyrkowe chwytły dla zdyskwalifikowania go. **Ukraińska Trybuna** w numerze 50 podaje szereg jaskrawych przykładów gwałcenia i szargania godności najbardziej dzisiaj biednych ludzi na globie ziemskim. Wystarczy zacytowanie jednego tylko przykładu. . . . „Urzędnik syty i zadowolony z życia, spoglądając na Iwana S., zwraca się do niego tonem rozkazującym: — pluńcie przez okno i siadajcie na podłodze. Iwan słucha nierozumnego rozkazu, sądząc, że jego wykonanie otworzy przed nim wrota do ziemi obiecanej. Po wykonaniu rozkazu jest zdziwiony, gdy słyszy wyrok: nie wart tego aby być drwałem w . . . . bo kraj ten przyjmuje ludzi dobrze wychowanych, którzy nie plują przez okno, którzy nie siadają na podłodze, którzy posiadają poczucie własnej godności.”

IRO ocenia ilość osób nie nadających się do emigracji z punktu widzenia przepisów rekrutacyjnych na 186.000.

Polityka międzynarodowego organu opieki zmierza do włączenia do układów osiedleńczych, zawieranych z krajami imigracyjnymi, 3 postawowych zasad:

a) przyjmowanie uchodźców na podstawie normalnych, ludzkich kryteriów, a nie jak dotychczas, wyłącznie pod kątem widzenia potrzebnych rąk roboczych.

b) przyjmowanie grup rodzinnych.

c) zrewidowania sprawy odmawiania prawa pobytu uchodźcom, którzy już po osiedleniu, według opinii miejscowych władz, okazali się niezdolnymi do pracy.

Na tle tego wszystkiego należy podnieść postawę jedyne państwa imigracyjnego, które odniosło się do sprawy osiedlenia uchodźców na jego terytorium w sposób ludzki. Dopatrzyło się w uchodźcy człowieka, który w swych planach osiedleńczych posiada swoje potrzeby w zakresie rodzinnym, materialnym, społecznym i zawodowym, domagające się uwzględnienia i załatwienia. Państwem tym jest Argentyna, na którą inne kraje patrzą z nieufnością, traktując ją jako kraj faszystowski, a więc z punktu widzenia katechizmu demokratycznego, niezdolny do odruchów humanitarnych.

Ten kraj od stycznia 1948 r. przyjmuje około 10.000 emigrantów miesięcznie, nie stawiając żadnych warunków, ani ograniczeń.

## SAMOTNE DZIECI

Zagadnienie najbardziej bolesne w całokształcie problemu uchodźczego. Samotne dzieci uchodźcze — to dzieci, które wyrwała przemoc niemiecka z ognisk domowych dla celów germanizacji, lub te, które wraz z rodzicami przeszły przez piekło niemieckich i sowieckich obozów koncentracyjnych. Rodzice zginęli, dzieci pozostały przy życiu.

IRO w lutym 1948 r. miało na swym utrzymaniu z górą 3.000 samotnych. W liczbie tej jest blisko 2.000 dzieci polskich. W raporcie swym z dnia 15. VI. 1948 r. Rada dla Spraw Ekonomicznych i Socjalnych ONZ podaje, że problem dzieci samotnych nie leży w podanej wyżej, znikomej ich liczbie. Ciężar problemu leży natomiast w liczbie dzieci samotnych, które zostały przez Niemców porwane dla celów germanizacyjnych i oddanych do rodzin i ośrodków niemieckich. Powołany raport stwierdza, że liczba dzieci takich może sięgać 500.000. Nie mamy konkretnych danych do ustalenia ilości dzieci polskich. Jeżeli jednak za podstawę do obliczenia weźmiemy stosunek procentowy ilości uchodźców polskich do ogółu D.P., który sięga 40% — to ilość samotnych dzieci polskich w Niemczech i Austrii wyniesie około 200.000.

Powołany wyżej raport Rady Ekonomicznej i Społecznej ONZ zawarł w rozdziale traktującym zagadnienie dzieci samotnych wszystkie najszlachetniejsze sentencje, jakie mogłyby w sprawie samotnych dzieci opracować na zamówienie teoretyk humanista, będący jednocześnie wielkim przyjacielem dzieci. Szlachetność międzynarodowej deklaracji w sprawie samotnych dzieci zaczyna się od stwierdzenia, iż nie należy dopuścić, aby agresor niemiecki pozbawił swych sąsiadów najcenniejszego ich skarbu i jednocześnie, kradnąc im dzieci, uzupełniał swe straty ludzkie, poniesione przez wojnę. Deklaracja przewiduje całą gamę czynności, które mogą być świadectwem najlepszych odruchów duszy ludzkiej, jakie miałyby do wykonania międzynarodowe czynniki opiekuńcze w stosunku do dzieci samotnych. A więc: znalezienie i ustanowienie odpowiednich opiekunów, nierozdzielanie dzieci należących do tej samej rodziny, wytworzenie możliwości nauki na równi z dziećmi posiadającymi rodziców, konieczność posiadania przez opiekunów dostatecznie dobrej sytuacji materialnej dla zagwarantowania dziecku nauki, opieki lekarskiej, dobrego wyżywienia itp. Wreszcie przewidziana jest kontrola międzynarodowych instytucji opiekuńczych nad wykonaniem opieki. Jak wygląda praktycznie wykonanie tych szlachetnych decyzji przez sygnatariuszy Karty ONZ i IRO?

Stosunek do dzieci ze strony państw sygnatariuszy Karty ONZ da się najbardziej namacalnie stwierdzić na losach dzieci polskich.

Rozmieszczenie i sytuacja największych grup samotnych dzieci polskich są następujące:



w Afryce Zachodniej i Wschodniej .....	316	dzieci
w Niemczech w obozach .....	500	„
w Nowej Zelandii w ośrodku polskim .....	100	„
w Stanach Zjednoczonych .....	385	„
w W. Brytanii .....	500	„

Są to dzieci, będące na utrzymaniu IRO i zgodnie z informacjami ze źródeł polskich, pozostające jeszcze w rękach lub we wpływach polskiego społeczeństwa uchodźczego.

Władze brytyjskie zlikwidowały sierocińce i szkoły polskie i wypowiedziały się, iż dla samotnych dzieci polskich nie ma miejsca w Afryce. Muszą one ten teren opuścić. Dokąd — nie wiadomo. Istnieją projekty przewiezienia ich do Niemiec.

W Niemczech, samotne dzieci polskie pozostają w sierocińcach, prowadzonych przez Niemców i dziś już nie mówią po polsku.

Do Nowej Zelandii przywieziono 800 dzieci polskich. Źródła polskie notują tylko 100 dzieci, które się jeszcze znajdowały w ośrodku polskim.

Sprawozdanie ks. Winiewiczycy z Uniwersytetu św. Józefa w Bejrucie jest krzykiem rozpaczy z powodu wynaradawiania dzieci polskich w Nowej Zelandii. Ks. Winiewiczyc stwierdza, iż władze nowozelandzkie sprowadzały dzieci dla ich wynaradowienia pod płaszczykiem akcji humanitarnej. 700 dzieci, o których źródła polskie nie wspominają, zostało już wynaradowionych przez oddanie ich rodzinom nowozelandzkim. Ośrodek polski w Pahiataua, w którym była reszta — 100 dzieci, od bieżącego roku szkolnego został na polecenie władz nowozelandzkich zlikwidowany, a ostatnie dzieci również oddane nowozelandczykom.

Dlaczego Niemcom stawia się zarzut porwania dzieci dla celów germanizacyjnych?

O losie dzieci w Stanach Zjednoczonych nie wiemy nic. Raport sekretarza National Catholic Welfare Conference z dnia 4. VI. 1948 stwierdza, iż dla tej ilości dzieci nie udało się w Stanach Zjednoczonych znaleźć dostatecznej ilości rodzin polskich, które by je mogły zaadoptować.

Tylko w W. Brytanii dzieci wychowują się w atmosferze polskiej.

Międzynarodowe projekty w sprawie dalszego losu samotnych dzieci są skromne.

1. **United States Committee for the Care of Children** w strefie amerykańskiej posiada zapewne dużo dobrej woli, ale nie jest w stanie wpływać na rozwiązanie zagadnienia, ponieważ konsulaty amerykańskie w stosunku do tych najbardziej wydziedziczonych stosują przepisy kwotowe, a, jak wiadomo, wizy kwotowe do USA zostały wyczerpane na kilka lat naprzód.

2. **Fonds suédois de secours à l'enfance**, działający w brytyjskiej strefie okupacyjnej, posiada plan wybrania i osiedlenia w Szwecji 100 dzieci.

3. **Katolicka Hierarchia Kanadyjska** opracowała plan osiedlenia w Kanadzie 1.000 dzieci katolickich. Hierarchia oświadcza, iż nie sprzeciwia się ulokowaniu dzieci w rodzinach według klucza narodowego, jednak z góry zastrzega się, że prawdopodobnie trudno będzie znaleźć w Kanadzie potrzebną ilość rodzin.

4. **Amerykański bill imigracyjny** z dn. 18. VI. 1948 r. przewiduje wpuszczenie do Stanów Zjednoczonych 3.000 sierot. Sposób wykonania tego postanowienia nie jest znany.

Tyle o małym zagadnieniu dzieci samotnych.

Cóż się dzieje w kwestii wielkiego zagadnienia, obejmującego do 500.000 samotnych dzieci, pozostających od 8 lat w rodzinach i zakładach niemieckich?

Dotychczas nie wydano zarządzenia, nakazującego Niemcom zgłaszanie i rejestrację takich dzieci.

IRO robi w tej sprawie na co go stać. W jego łonie funkcjonuje specjalny aparat poszukiwań, który po omacku wykonuje swe funkcje.

W sprawozdaniu z dnia 7.IX.1948 r. znajdujemy w tej materii następujące dane:

Wpłynęło dotychczas 42.631 próśb z zainteresowanych krajów o odszukanie dzieci. Należy przypuszczać, iż przynajmniej część tych próśb zawierała pewne wskazówki, ułatwiające poszukiwania. Odnaleziono — 680 dzieci na skutek skierowanych próśb oraz 641 z własnej inicjatywy Biura Poszukiwań.

Budżet IRO na r. 1948/49 przewiduje sumę 546.488 dol. na Biuro Poszukiwań, które się trudni również poszukiwaniami jeńców i w ogóle zaginionych.

Raport Rady Ekonomicznej i Społecznej ONZ z dnia 21. VII. 1948 r. zawiera plan zbiórki funduszy w skali światowej na rzecz dzieci, poszkodowanych przez wojnę. Plan ten działa obecnie pod nazwą UNAC. We wszystkich krajach utworzone zostały komitety zbiórki, mające z reguły na czele głowy państw w asyście wybitnych mężów stanu i działaczy.

Plan rozdysponowania zebranych funduszami nie obejmuje dzieci uchodźczych.

#### GRUPA UCHODŹCZA NIE POSIADAJĄCA WARUNKÓW NA OSIEDLENIE

Poważna grupa uchodźców jest pozbawiona możliwości stałego osiedlenia się.

Do grupy tej należą w kolejności beznadziejnej sytuacji:

- rodziny,
- inwalidzi, chorzy, starcy,
- kobiety bez mężów, obciążone dziećmi,
- inteligenci.

Sprawa osiedlenia rodzin była naświetlona powyżej. Los inwalidów, chorych i starców zależy wyłącznie od



tego, czy państwa zechcą kierować się w stosunku do nich zasadami chrześcijańskiego miłosierdzia. Nie ma żadnych planów ani nawet koncepcji, w jaki sposób sytuacja tych ludzi może być uregulowana. Istnieją jedynie luźne projekty pozostawienia ich w Niemczech i rozlokowania w przytułkach i sanatoriach.

Los matek z nieślubnymi dziećmi jest najbardziej tragiczny. Nie mają one żadnych możliwości osiedlenia się. Atmosfera obyczajowo-moralna, wprowadzona przez Niemców do obozów koncentracyjnych i obozów pracy jest znana. Atmosfera w tychże obozach po ich objęciu przez administrację UNRRA w wielu wypadkach nie była lepsza. Metody opiekuńcze UNRRA polegały również na wspólnym na jednej sali „koedukacyjnej” koszarowaniu mężczyzn i kobiet.

Ilość takich kobiet w środowisku polskim obliczona jest na ca 6.000. Wśród tej kategorii jest wiele kobiet, które we własnym przekonaniu są zamężne, ponieważ opierając się na wiekowej polskiej tradycji prawnej i obyczajowej zawarły tylko śluby kościelne. Innych ślubów zawrzeć nie mogły dla braku dokumentów. Kobiety te cierpią za niezawinione winy. Małżeństwa ich są uznawane za nieważne, a dzieci za nieślubne.

Wiele jest takich, które zostały zgwałcone. Wiele jest mężatek, których mężowie pozostali w Polsce i do których wrócić nie mogą, ponieważ w ciągu blisko 10 lat rozłąki mężowie urządzili sobie inne ogniska domowe.

Młode pary zaczynały życie małżeńskie ze szczerym zamiarem ulegalizowania związku. Dla braku dokumentów nie mogły tego uczynić. Władze opiekuńcze nie wydały zarządzeń ułatwiających legalizację. Związki się rozluźniały, a metody rekrutacyjne ułatwiały niesumiennym małżonkom opuszczanie rodziny.

Dotychczas ich losem nie zajęły się organizacje, mające na celu opiekę nad kobietami i ochronę macierzyństwa, pomimo że ustawodawstwa i poglądy społeczne w kwestii dzieci nieślubnych w ostatnich latach przed wojną poczyniły znaczne postępy na drodze ulżenia i uregulowania ich niejasnej sytuacji.

Do niedawna sprawa osiedlenia inteligentów wyglądała równie beznadziejnie. Dzisiaj, choć nie weszła ona jeszcze na drogę regulacji, to jednak zjawily się pewne błyski nadziei na możliwość jej uregulowania, przynajmniej dla pewnej ilości inteligentów.

Plan IRO zawiera następujące formy działania:

- a) ściśle zaklasyfikowanie inteligentów do posiadanych przez nich zawodów,
- b) systematyczne publikowanie w fachowej prasie w Kanadzie, Stanach Zjednoczonych i Ameryce Łacińskiej poszczególnych kategorii inteligentów, oczekujących na zatrudnienie,
- c) tytułem próby opracowanie „dossier” dla 6.000 inteligentów i podjęcie konkretnych starań ulokowania ich na pracy w poszczególnych krajach,

d) utworzenie centralnego biura pośrednictwa pracy,  
e) zorganizowanie w poszczególnych państwach krajowych komitetów, które będą miały za zadanie lokowanie na pracy inteligentów.

f) opłacenie kosztów transportu dla osób ulokowanych na pracy,

g) prowadzenie dla nich kursów języków angielskiego, hiszpańskiego i francuskiego.

Poza tym projektem istnieją konkretne zapotrzebowania ze strony niektórych krajów na pracę inteligentów.

Ze strony Australii na 55 pielęgniarek, Belgii — 30 pielęgniarek, Kanady — 300 pielęgniarek, San Domingo — ilość pielęgniarek nieokreślona, Iranu — 100 lekarzy, Szwecji — ilość lekarzy nieokreślona.

Negocjowane są obecnie — zapotrzebowanie Kanady na historyków, chemików, fizyków, filologów, ekonomistów, matematyków, botaników, agronomów. — Kanadyjska „Lady Davis Foundation” ustanowiła na ten cel 25 stypendiów długoterminowych. Zjednoczone Królestwo negocjuje z IRO sprawę zatrudnienia w imperium — 100 profesorów wyższych uczelni. Stany Zjednoczone ujawniają zainteresowanie naukowcami wśród uchodźców. Brazylia poszukuje naukowców do Instytutu w Manaus, który ma zająć się badaniem Amazonki. Irak poszukuje wśród uchodźców inżynierów, chemików i architektów.

Ilość inteligentów zamieszkałych w skupieniach uchodźczych oblicza się na około 60.000.

#### TRANSPORT

Transport stanowi największą pozycję w kosztach osiedlenia uchodźcy. Jeżeli jeszcze do kosztów transportu dochodzą, jak w niektórych wypadkach, wysokie opłaty wizowe, dochodzące do 50 dolarów od wizy, to koszt transportu, na przykład rodziny 4-osobowej — z dorosłymi dziećmi — preliminowany przez IRO, wynosi:

przeciętnie koszt przejazdu kolejowego i okrętowego, średnio à 175 dolarów na osobę .....	700 dol.
koszt wizy w wypadku nprz. emigracji do Argentyny ca. ....	180 „
fundusz instalacyjny à 10 dol. na osobę .....	40 „

Razem..... 920 dol.

Jest to suma duża i odbiegająca w niewielkim stopniu od normalnych kosztów przy podróżach indywidualnych.

Powyzsze koszty odnoszą się do osiedlania masowego, to jest na terenach krajów, z którymi IRO zawarło umowy osiedleńcze. Budżet na 1948/49 przewiduje sumę — 67.988.250 dol. na osiedlenie 381.000 uchodźców, jako koszt transportu.



Ale istnieje również emigracja indywidualna, która obejmuje poważne ilości uchodźców. W ubiegłym okresie działalności IRO objęła ona około 70.000 osób. IRO ma obowiązek pokrywania kosztów transportu i dla tej kategorii uchodźców. W budżecie przewidziano na ten cel tylko 10.000.000 dolarów. Równocześnie ilość indywidualnych osiedleń została w budżecie na r. 1948/49 sprowadzona do 42.000. Ta forma imigracji, udana w roku ubiegłym, doznała zahamowania.

Na przykład, emigracja do Argentyny, pomimo istniejących warunków, napotyka na trudności. Koszt wizy argentyńskiej wynosi 45 dol., a IRO w budżecie przewiduje tylko 5 dol. na głowę tytułem kosztów wizy i wystawienia innych potrzebnych do emigracji dokumentów. — Uchodźca jest zawsze ten sam, ale w świetle przepisów administracyjnych podciągany jest do różnych rubryk, które utrudniają swobodę pobierania decyzji i swobodę poruszania się.

IRO posiada wynajętą flotę, pływającą pod banderą tej instytucji, złożoną z 19 statków.

Ponadto IRO wynajmuje szereg miejsc na statkach pod obcą banderą. Przewiduje się, iż w roku 1948/49 statki IRO i statki z zarezerwowanymi miejscami przewiozą 230.000 osób. Ponieważ zamorski plan osiedleńczy obejmuje 282.000 osób, przeto 52.000 będzie musiało być przewiezione przy użyciu dodatkowych środków transportowych.

#### OCENA MOŻLIWOŚCI OSIEDLEŃCZYCH

Po trzech beznadziejnych latach życia uchodźców w Niemczech i Austrii, w połowie roku 1948 pojawiły się po raz pierwszy konkretne zapowiedzi osiedleńcze. Nie są to jeszcze zapowiedzi zmierzające do tak zwanego całkowitego rozwiązania zagadnienia. Ciągłe jeszcze możliwości osiedlenia zależna jest od surowych przepisów selekcyjnych — ciągle jeszcze uchodźca pragnący emigrować winien udowodnić komisjom selekcyjnym swe prawo do emigracji — ciągle jeszcze największe wysiłki i starania nie dają gwarancji, że w końcowym rezultacie wiza nie będzie odmówiona — ciągle jeszcze dla masy uchodźczej nie mogącej udowodnić swoich praw, możliwości do osiedlenia się nie istnieją.

Jednakże zapowiedzi znacznie rozszerzają kategorie uchodźców, którzy mogą wszczynać starania o wyjazd.

IRO na rok 1948/49 przewiduje osiedlenie w następujących rozmiarach:

Europa .....	57.000 osób
w tym Francja .....	25.000
Anglia .....	20.000
Belgia .....	10.000
Ameryka Południowa .....	74.000 osób
w tym Argentyna .....	30.000
Brazylia .....	15.000

Wenezuela .....	10.000
Imperium Brytyjskie .....	81.000 osób
w tym Australia .....	20.000
Kanada .....	60.000
Stany Zjednoczone .....	75.000 osób
Imigracja indywidualna .....	42.000 osób

Tyle zapowiedzi, które są oparte na następujących konkretnych elementach:

Stany Zjednoczone ogłosiły w dniu 18 czerwca 1948 r. ustawę imigracyjną o dopuszczeniu do USA 205.000 uchodźców, którzy znaleźli się w Niemczech, Austrii i Italii w czasie od 1 września 1939 r. do 22 grudnia 1945 r. i przebywali na terenie tych krajów w dniu 1 stycznia 1948 r. Procedura uzyskiwania wiz na podstawie billu jest skomplikowana i uciążliwa dla uchodźcy. Musi on udowodnić, że posiada w USA zapewnioną pracę i mieszkanie, a ponadto musi przejść przez podwójne sito selekcyjne — Komisji dla Wysiedleńców, złożonej z przedstawicieli amerykańskich organizacji wyznaniowych i władz konsularnych. Emigracja rodzinna w zasadzie jest możliwa, pod warunkiem, że każdy członek rodziny odpowiada przepisom ustawy. Praktycznie więc rodziny mogą być rozbijane.

Wykonanie billu będzie trwało dwa lata. Pierwsze transporty odejdą w końcu bieżącego roku i obejmą około 3.000 ludzi. Przewiezienie 75.000 osób do 30 czerwca 1949 r., jak projektuje IRO, będzie zależne od ilości środków transportowych, jakie będą na ten cel oddane do dyspozycji oraz od sprawności działania amerykańskich komisji selekcyjnych. Ponieważ bill zawiera surowe postanowienia w sprawie wykazania się posiadaniem mieszkania i pracy, a przepisy selekcyjne nie zostały złagodzone — przeciętny uchodźca nie może liczyć jedynie na osiedlenie się w USA. Polskie czynniki uchodźcze obliczają, iż na podstawie billu będzie udostępniony wjazd do Stanów Zjednoczonych dla około 70.000 uchodźców polskich. Czynniki amerykańskie obliczają, że w 1-szym roku przewiezionych będzie 40.000 osób. Wykonanie natomiast ustawy obliczone jest na 2 lata.

Argentyna zgłosiła deklarację o przyjęciu 35.000 uchodźców, pozostających pod opieką IRO. Emigracja w zasadzie nie jest ograniczona warunkami. Przepisy selekcyjne dostępne dla każdego i elastyczne. Całkowita możliwość emigracji rodzinnej. Dobór emigrantów jest powierzony narodowościowym organizacjom uchodźców.

Jest to jedyny wypadek bezpośredniej współpracy państwa imigracyjnego z grupą uchodźczą i zaufania tego państwa do niej.

Dotychczas Argentyna udzieliła ca 20.000 zezwoleń wizowych dla Polaków.

Francja po długich wahaniach rozluźniła wreszcie swe przepisy rekrutacyjne. Dopuszczono emigrację rodzinną. Tytułem próby Francja przeprowadza rekrutację 1.000 rodzin rolniczych. Jeżeli próba się uda — Francja opracuje szerszy plan dla imi-



gracji uchodźców. Francja zdecydowała się cokolwiek za późno. Wobec istnienia atrakcyjniejszych dla uchodźców możliwości osiedleńczych trzeba przewidzieć, iż ruch do Francji będzie niewielki.

Te trzy kraje stwarzają realne możliwości osiedleńcze. Prawdopodobnie cyfry zamierzone przez IRO w ciągu drugiego roku emigracji osiągnięte nie zostaną z powodu trudności technicznych, tym niemniej wysunięte możliwości osiedleńcze mogą być wykorzystywane.

Na specjalną uwagę zasługują kanadyjskie projekty osiedleńcze. Kraj ten zamierza przygotować do osadnictwa nowe tereny, leżące nieco na północ od linii obecnych zagęszczeń ludzkich, a więc w klimacie trochę surowszym. W związku z tymi planami Kanada projektuje sprowadzenie 100.000 emigrantów z Europy. Na te projekty uchodźcy liczyć nie mogą, ponieważ wykonanie ich zabierze jeszcze dużo czasu. Kanada, jak wynika z podanych cyfr, jest dużym odbiorcą rąk roboczych, jednak emigracja rodzinna nie jest dopuszczona, a przepisy co do wieku, zawodu i warunków zdrowia są niesłychanie surowe. Pomimo że cyfry emigracji do Kanady są wysokie, kraj ten w żadnym stopniu nie wpływa na sprawy uchodźcze w sensie społecznego ich rozładowywania.

Zachowanie się Anglii na terenie uchodźczym w roku 1949 należy przypuszczać, będzie identyczne z jej zachowaniem się w roku ubiegłym. Wybierze ona mianowicie taki element, jaki będzie **stricte** odpowiadał jej potrzebom. A więc znowu samotni, młodzi, silni i zdrowi.

Szerszych możliwości osiedlania się w krajach Ameryki Łacińskiej (poza Argentyną) nie można traktować na serio. Na przeszkodzie stoją: klimat, brak stabilizacji gospodarczej w tych krajach oraz nieposiadanie przez nie kapitałów na sfinansowanie osadnictwa. Większość tych krajów, choć pozawierała umowy osiedleńcze z IRO, uzależnia wykonanie ich od uzyskania kredytów międzynarodowych na ten cel. Przykładem może być Wenezuela, która corocznie zakłada sprowadzenie 10.000 emigrantów, a już po zainstalowaniu się pierwszych partii na jej terytorium nadchodzą bez przerwy listy od nich, ostrzegające przed wyjazdem z powodu braku pracy i spychania europejskiego pracownika do niskiego poziomu życia miejscowego metysa.

Plany osiedleńcze w odniesieniu do krajów Ameryki Południowej już w roku ubiegłym wykonane nie były.

### POLSKA GRUPA UCHODŹCZA

#### Rozmieszczenie i wiek

Niemcy	mężczyzn	kobiet	dzieci do 1.	ssamotnych	rodzin
strefa ameryk...	35.531	28.930	19.729	25.034	15.000

„ bryt. ....	43.433	20.812	21.805	27.000	17.000
„ franc. ...	10.771	4.779	3.458	6.000	2.000
Razem .....	89.735	54.523	44.992	58.034	34.000

Skupisko polskie w Austrii liczy ca 4.000 ludzi.  
Osób w wieku od 18 do 45 lat — 123.805.

#### Skład zawodowy

Rolników .....	52.656
Rzemieślników .....	16.748
Inne zawody .....	15.159
Robotników wykwalifikowanych .....	19.299
„ niewykwalifikowanych .....	22.529
Inteligentów .....	10.000
Chorych, kalek, starców .....	4.000
Studentów na uniwersytetach niemieckich .....	1.100
Najliczniejsze ośrodki studenckie — w Monachium, Bonn, Hamburgu.	

980 młodzieży akademickiej studiuje na wydziałach dających przygotowanie do praktycznych zawodów.

#### Szkolnictwo polskie

Polskie szkolnictwo zawodowe jest wyrazem tężyzny duchowej, narodowej i organizacyjnej środowiska polskiego. Brak miejsca nie pozwala na nakreślenie historii wspaniałego rozkwitu szkolnictwa, kiedy przed trzema laty zasięg jego obejmował około 60.000 młodzieży. Ograniczymy się do stanu obecnego. Szkolnictwem kieruje Centralny Komitet dla Spraw Szkolnych i Oświatowych.

	Przedszkola	Szkoły dokszałc.	Szkoły powsz.
Ilość punktów .....	95	119	17
„ uczni .....	4.727	9.034	712
„ nauczycieli .....	179	486	27
		niższe szkoły zawod.ogólno-kształc.	Szkoły średnie zawodowe
Ilość punktów .....	12	11	6
„ uczni .....	397	1.236	615
„ nauczycieli .....	41	143	59

Razem ośrodków szkolnych — 260; uczni — 16.721; nauczycieli — 935.

Szkolnictwo obejmuje również prowadzoną w szerokim stylu



akcję dokształcania i przeszkalanania zawodowego. Szkolenie zawodowe obejmuje szeroki wachlarz 63 zawodów, jak również naukę języków obcych. W roku 1947 przeszkolono 13.759 osób na 516 kursach. Prowadziło kursy 628 instruktorów. Akcja kolonii letnich objęła w lecie 1947 r. około 7.000 dzieci, co stanowi około 50% ogółu młodzieży szkolnej.

### Rozczarowania polskie

Grupa uchodźcza polska stanowi 40% ogólnego stanu uchodźców.

Wydawać by się mogło, iż IRO, sprawując opiekę nad konglomeratem ludzkim, złożonym z kilkudziesięciu odrębnych narodowości, powinno mieć wyczulony w specjalny sposób stosunek do prestiżu i ambicji narodowych poszczególnych grup, oparty o stosowanie bezwzględnych zasad bezstronności i sprawiedliwości oraz procentowego klucza narodowościowego przy pobieraniu decyzji w wypadkach kiedy wartości społeczne, zawodowe, materialne i inne, reprezentowane przez uchodźców, co do których pobiera się decyzję, są równe.

Jest pewne, że w stosunku do uchodźców nie można się kierować kryteriami przynależności państwowej dlatego, że uchodźcy pochodzą z krajów Europy Wschodniej, gdzie zróżniczkowanie etnograficzne było wielkie i wskutek tego istniało pojęcie przynależności narodowej odrębnie od pojęcia przynależności państwowej, jak również dlatego że decyzja uchodźcy osiedlania się zagranicą zapada w jego umysłowości na skutek przewagi pierwiastków narodowych nad formalno-prawnymi względami, wynikającymi z jego przynależności państwowej.

Skuteczność każdego rodzaju opieki nad żywą istotą mierzy się stopniem odczucia opieki przez podopiecznego.

Skuteczność opieki oraz jej oddźwięk w duszy uchodźców zależne są od stopnia umiejętności dostosowania się administracji, sprawującej opiekę, nie tylko do psychiki uchodźcy, jako człowieka, już skomplikowanej z racji procesów zachodzących w jego umysłowości z powodu oderwania się od gruntu ojczystego, ale i do właściwości psychicznych poszczególnych narodowości.

Jeżeli te momenty nie są uwzględniane w działalności opiekuńczej, to opieka polega wówczas na wykonywaniu przepisanej formalistyki opiekuńczej i nawet oparta o najlepszą wolę, może przynosić szkody, zadrażniać ambicje i ugruntowywać poczucie krzywdy w masach podopiecznych.

Należy stwierdzić, iż administracja IRO nie uwzględnia powyższych momentów w swej działalności opiekuńczej.

Organizacje społeczne polskie zanotowały wielką ilość faktów, świadczących, iż znaczny odłam funkcjonariuszów międzynarodowego organu opiekuńczego opiera wykonanie swych obowiązków głównie na chęci ułatwienia i uproszczenia sobie pracy.

Na przykład obsadzanie stanowisk w administracji obozowej

głównie przedstawicielami tylko pewnych narodowości, której członkowie posiadają powszechnie znajomość języka niemieckiego, może być wygodne dla administracji IRO, ale w konsekwencji wywołuje zamieszanie między poszczególnymi grupami narodowymi, zamieszkującymi obóz. Jeżeli w dodatku efektywna kontrola nad działalnością dobranej w taki sposób administracji obozowej nie jest wykonywana — wówczas wywołuje to szereg codziennych, drobnych lub większych, niesprawiedliwości i nadużyć w rodzaju na przykład, zamiany wyniku badań lekarskich, świadomego stawiania przed komisjami rekrutacyjnymi ludzi kandydatów; przedstawianie do emigracji wyłącznie członków tylko jednej grupy narodowej itp.

Takie właśnie codzienne niesprawiedliwości i nadużycia doprowadziły do paradoksu, którego tło jest następujące: jeden z krajów imigracyjnych w swych poufnych instrukcjach odnośnie imigracji, zakwalifikował Polaków do rzędu narodowości nierolniczych. Jak wiadomo, roczniki statystyczne wykazują w Polsce blisko 70% ludności rolniczej a grupa uchodźcza polska w swym składzie zawodowym posiada ca 35% rolników. Przyczyny tej paradoksalnej sytuacji są następujące: w obozach administracja obozowa, wygodna dla funkcjonariuszy IRO, systematycznie utrudnia emigrację rolników polskich. Do komisji rekrutacyjnych poszukujących rolników dopuszcza tylko Polaków chorych i słabych, których komisje dyskwalifikują. W ten sposób stwarza się szersze możliwości dla emigracji innych grup narodowych, lub osób, mogących się wykazać polską przynależnością państwową, ale nie mających narodowości polskiej. Skutek podobnych machinacji jest następujący — w końcu sierpnia do portu jednego z krajów imigracyjnych przybył transport uchodźców liczący 859 osób, w liczbie tej było 380 osób notowanych jako Polacy, natomiast Polaków należących rzeczywiście do narodowości polskiej było tylko 40; w dniu 29 września 1948 r. do tegoż portu przybył transport, który przywiózł 756 uchodźców, deklarowanych w tam transporcie jako Polacy, było 256 osób z czego istotnych Polaków 34. Statystyki zainteresowanego kraju imigracyjnego notują, że spośród ogólnej ilości przybyłych uchodźców na podstawie rekrutacji do rolnictwa, tylko 10% osiedliło się na roli, reszta zaś pozostała w miastach! Zainteresowany kraj imigracyjny nie życzy sobie takiej imigracji i stąd dyskwalifikacja grupy polskiej, jako grupy rolniczej.

Ten przykład, oparty na posiadanych dowodach, ujawnia dużej miary negatywne skutki, jakie się wytworzyły dla całej grupy polskiej, z drobnych przyczyn wynikających z niedociągnięć administracji IRO.

Liczby szacunkowe polskich grup uchodźczych w krajach stałego osiedlenia są następujące:



## W Europie

Zjednoczone Królestwo .....	140.000
Belgia .....	35.000
Francja .....	30.000
Holandia .....	7.000
Szwecja .....	5.000
Dania .....	1.300
Szwajcaria .....	1.500
Norwegia .....	1.000
Luksemburg .....	400
Portugalia .....	150
Hiszpania .....	500

## Poza Europą

Argentyna .....	10.000
Kanada .....	9.000
Afryka Wschodnia .....	3.500
Obydwie Rodezje .....	1.500
Stany Zjednoczone .....	3.500
Brazylia .....	3.000
Inne kraje Ameryki Południowej .....	4.000
Liban .....	1.700
Egipt .....	200
Unia Południowo-Afrykańska .....	500
Nowa Zelandia .....	800
Australia .....	1.000

Przewidywania liczb emigracji Polaków  
w roku 1949

Na podstawie liczb emigracji polskiej w roku 1948, projektów emigracyjnych IRO oraz przewidywanych możliwości wykorzystania istniejących konkretnych planów osiedleńczych, ostrożne przewidywania są następujące:

do Stanów Zjednoczonych .....	25.000
„ Anglii i Imperium Brytyjskiego .....	30.000
„ Francji .....	5.000
„ pozostałych krajów Europy Zachodniej .....	3.000
„ Argentyny .....	10.000
„ Brazylii .....	2.000
„ innych krajów Ameryki Łacińskiej .....	1.000

Razem..... 76.000

Pozostaje około 100.000-czna rzesza nie nadających się — w świetle obecnie stosowanych zasad imigracyjnych — do osiedlenia, która łącznie z podobnymi rzeszami uchodźców innych na-

rodowości, pozostając pod międzynarodową opieką, będzie ciężać na sumieniu świata do czasu, kiedy wysocy protektorzy zrozumią, że zagadnienie może być jedynie rozwiązane w drodze poczynienia drobnych, ale bezinteresownych ofiar z ich strony.

Kończąc swą mowę, wygłoszoną w dniu 3 maja 1948 roku, na sesji Międzynarodowej Organizacji Opieki nad Uchodźcami, p. William Hallam Tuck, jej Dyrektor Generalny, dla określenia cierpienia, nadziei i decepcji uchodźców, użył biblijnego wersetu: „Jak długo jeszcze, Panie, jak długo.....”.

J. R.

Już wkrótce ukaze się miesięcznik

# UNIVERSUM

organ Ruchu Chrześcijańsko-Społecznego

## R. C. S.

pod redakcją Wojciecha Zaleskiego.

Adres redakcji i administracji:

W LONDYNIE: London SW 5, 18, Penywern Road.

W MONACHIUM: München-Allach, Waldhornstr. 25.

Cena egzemplarza w sprzedaży i w prenumeracie wraz z przesyłką pocztową wynosi w Anglii 1 sh., w Niemczech 80 fen., we Francji 30 frs. fr., we Włoszech 80 lirów, w Kanadzie i USA 25 ct. PRZEDSTAWICIELSTWA: w Belgii — Librairie Polonaise en Belgique, 42, rue Defacqz, Bruxelles; w Kanadzie — Books & Newspapers Agency H. R. Radoński, Toronto, Ontario, 636 Queens St. East; we Włoszech — J. Grochowski, via della Croce 81/3, Roma; we Francji — Librairie Libella, 12, rue St. Louis en l'île, Paris IVe.

W innych krajach prosimy o zwracanie się do polskich księgarni i agencji czasopism w sprawie warunków prenumeraty i zakupu poszczególnych numerów Universum.

Do pisma dołączany będzie bezpłatny dodatek w języku angielskim, poświęcony zagadnieniom Europy Środkowej i Wschodniej.



# „ORZEŁ BIAŁY”

TYGODNIK POLITYCZNO-LITERACKI

Redakcja i Administracja  
186a, Av. Rogier, BRUXELLES (Schaerbeek)

Przedstawicielstwa w Austrii, W. Brytanii, Francji,  
Holandii, Norwegii, Szwajcarii, Szwecji i we Włoszech.  
Nadto w Argentynie, Kanadzie, Libanie, Płd. Afryce i  
w Stanach Zjednoczonych.

● Cena egzemplarza:

We FRANCJI 15 franków fr. ★ W BELGII 5 franków belg.  
W WIELKIEJ BRYTANII: 1/-

● P r e n u m e r a t a :

WE FRANCJI miesięcznie 60 fr. fr.; kwartalnie 180 fr. fr.  
W BELGII miesięcznie 20 fr. belg., kwartalnie 60 fr. belg.  
W WIELKIEJ BRYTANII: miesięcznie 4/4, kwartalnie 12/  
rocznie 45/.

● Prenumeratę przyjmują:

WE FRANCJI: *Libella*, 12, rue St. Louis en l'Île, Paris IV,  
nr. konta pocztowego Paris cc 565.150.  
W WIELKIEJ BRYTANII: *Gryf Publications*, 59/61, Hatton  
Garden, London E.C.1.

OGŁOSZENIA: (za 1 cal przez 1 łam = £ 1)  
przyjmują przedstawicielstwa «Orła Białego»,  
na terenie zaś W. Brytanii wyłącznie firma  
**BERRY Co, 437, Grand Buildings, Trafalgar Sq., LONDON W.C.2.**

## Najnowsza historia Polski

### Londyńskie lata

Patrząc dzisiaj wstecz na dwa wyraźne okresy, jakie emigracja nasza na terenie Wielkiej Brytanii przechodziła, okres legalnego istnienia rządu i władz Rzeczypospolitej i okres który można by nazwać chyba najszlachetniej okresem likwidacyjnym, zapoczątkowanym aktem formalnym cofnięcia uznania przez mocarstwa sprzymierzone w dniu 6 lipca 1945 r., mimowoli nasuwa się wniosek bardzo radykalny, zuchwały i bardzo jednocześnie bolesny. Wniosek, który dając pewne sformułowanie zawiera jednocześnie prawdę naszego emigracyjnego istnienia, być może, że prawdę każdego emigracyjnego istnienia — zaczęła emigracja polska lat czterdziestych dwudziestego stulecia żyć pełnią swego życia dopiero właściwie po owej dacie lipcowej. Przedtem stanowiła masę urzędniczo-wojskową opartą solidnie, wygodnie i pewnie o angielski kapitał, dyplomatyczne uznanie i wspólną walkę z Niemcami. Od tej masy nie wymagało się — nie wymagali obcy — niczego więcej prócz istnienia. Wojsku postawiono wymaganie dodatkowe — walkę. Ale ono tylko czekało na to, tylko żyło myślą o niej. Zarówno dowództwo jak i brać żołnierska. Taka już dziwna, niewytłumaczalna mentalność Polaka, że mimo klęsk, rozczarowań, nauk napoleońskich, chce się bić o swoje prawa, w które wierzy. Masa urzędnicza, z siedzibą w Londynie, stanowiąca o losie i wojska i cywilów, będąca — słusznie czy niesłusznie — uważana przez świat za mózg i serce polskiego ruchu oporu poza granicami Państwa i w jego granicach, w postaci Armii Krajowej i administracji cywilnej — była symbolem w oczach Anglo-Sasów, symbolem z którym rozmawiało się jako z przedstawicielem obcego mocarstwa, przedstawicielem sprzymierzonego narodu. Swoją wysoki poziom życia materialnego w sposób naturalny przyszczepiono na grunt polskiej emigracji urzędniczej. Swoją sposobem negocjacji, pracy, zachowania usiłowano przyszczepić także, Założeniem przy tym niepisany stało się, by Polakom, którzy znaleźli się na Wyspach Brytyjskich w czasie wojny, dać ma-



terialne podstawy przetrwania. Stąd puchło wojsko nadciągającymi ze wszech stron świata, stąd puchły etaty urzędnicze w coraz to nowych ministerstwach, instytucjach, domach, bankach, spółdzielniach. Polak w Anglii czy Szkocji nie potrzebował ciężko pracować, po to by wygodnie żyć. I to stało się naszą ogromną bolączką. To spowodowało brak inicjatywy prywatnej, brak wybicia się mocnych ludzi, to spowodowało zupełny brak rzeczowej selekcji dobieranych współpracowników. Dzisiaj z perspektywy czasu okazało się, że resorty najważniejsze w życiu emigracyjnym — sprawy zagraniczne, informacja i opieka społeczna — zawalone były ludźmi pracującymi na dniówki. Innymi słowy dla poborów. Atmosfera wytwornej wygody sprzyjała niepomiernie napływowi właśnie takiego elementu. I ten element pierwszy odpłynął ku następnej kasie. Ale sprawie polskiej w oczach obcych zaszkodził. Nie tylko zresztą w oczach obcych.

To było tło ogólne dziejów Londynu. To były dwa zasadnicze okresy tych dziejów. One jednak dzieliły się na podokresy, na fragmenty, na osobno, niemal niezależnie biegnące od siebie życia oddziały, indywidualne, zbiorowe w formie ruchów umysłowych, wysiłków takich czy innych organizacji społecznych, zjednoczenia całości, prac rządu. Brakowało wyraźnie jednak osoby, czy grupy przywódczej. Brak było autorytetów wyrosłych już poza granicami, już po klęsce, już po załamaniu się wielu dotychczasowych i już po wybuchu, niepotrzebnie podsycanego, kryzysu zaufania. Rolę nazwiska, rolę przywódcy odegrał przez pewien, krótki zresztą okres czasu, Sikorski, ale zarówno jego polityka zagraniczna, jak i pociągnięcia natury personalnej szybko zgasiły tę legendę, która zdawała się wschodzić na polski firmament w roku 1939-tym. Tak było na polu politycznym. To samo dzieje się w literaturze, sztuce, nauce. Emigracja żyje nazwiskami ludzi, którzy na te nazwiska zarobili w latach niepodległości. W literaturze i dziennikarstwie jest to sama Kuncewiczowa, ten sam Baliński, Hemar, Słonimski, Nowakowski, Mackiewicz. W sztuce ten sam Topolski, w nauce Wielhorski, Brzeski, Płuzański. Wyrasta wprawdzie obok tego wspaniały talent Jana Rostworowskiego, ale to wyjątek potwierdzający regułę. Brak nowej szkoły myślenia, brak kierunku, jaki w normalnych czasach winien zrodzić masowy ruch wolnościowy, jakim jest emigracja w Wielkiej Brytanii połączona wszakże węzłami ścisłymi z Polakami rozrzuconymi po całym świecie. Ludzie o nowych koncepcjach, o świeżym światopoglądzie, ludzie inni, bo należący do pokolenia wychowanego w niepodległej Polsce nie dochodzą do głosu. Zamknięte są dla nich szeregi partii politycznych, zalewa ich woda produkowana obficie przez biurokratyczną maszynę ministerstw i urzędów. W wojsku na przeszkodzie stoją im gwiazdki. Pozostają w cieniu, wielu marnuje się bezpowrotnie, wielu ginie.

Analiza jednak tego co jest dzisiaj wymaga szczegółowszego przejrzenia przeszłości. Obok bowiem braku pewnego pionu mo-

ralnego braku wynikłego z materialnego dobrobytu, były znaczne osiągnięcia, były pozytywne jednostki, grupy, inicjatywy. Samorodnie tworzyły się po oddziałach komórki dyskusyjne, samorodnie powstawały komitety przeróżnych zbiorów, kursów samokształcących, pomocy wzajemnej. W Londynie nierazkim zjawiskiem były wieczorne spotkania Polaków dyskutujących, dla czystej satysfakcji dyskusji, problemy społeczne, polityczne, narodowościowe i gospodarcze przyszłej Polski. Powstało kilka firm wydawniczych, pojawiły się pisma z „Wiadomościami” na czele, powstała sieć zaprzyjaźnionych nam towarzystw brytyjskich. Po stronie więc aktywów mamy też dorobek niemały. Zastanawia nas tylko bilans, który zapewne wyciągnie już historyk. Nie do nas to należy, nie potrafilibyśmy zresztą bilansować własnej działalności. Pomimo przeżywania, brak dostatecznych elementów obiektywnych. I pomimo stosunku uczuciowego do własnego życia, czym przecież dla każdego z nas w Anglii jest życie emigracji, brak tego samego nasświetlenia ze strony ludzi w kraju. Ich stosunek do nas jest osobnym rozdziałem w dziejach wojny minionej i Polski w niej udziału.

Równolegle do okresów na jakie dzielimy dzieje emigracyjne, istnieją grupy podziałowe. Jest ich właściwie tylko dwie jako istotne, dwie które w zmienionych warunkach, w różnych koniunkturach różnie kształtowały ludzi. Jedna z nich to wojsko, wewnątrz którego z kolei znajdujemy podział na warstwy specjalne — oficer i szeregowy, oficer zawodowy i rezerwy, żołnierze służb specjalnych, żołnierze brygad skadrowanych itp., druga — to cywilna ludność. Ta jest raczej zjednoczona w swej podstawie istnienia i w swym celu istnienia. Nieliczne jednostki tylko i to tylko dzięki specjalnym talentom znajdującym swoje ujście na rynku międzynarodowym (Małcużyński, Topolski, Żyw) oderwały się od tej grupy i poszły swoimi drogami. Reszta przetrwała w polskim ghetcie bardzo mocno, trwa w nim właściwie dotychczas. Te dwie emigracyjne warstwy to dwa punkty wyjścia nie tylko do rozważań o nich, lecz także do układu życia, nastawienia do zagadnień i stosunku do zmieniających losów politycznej egzystencji polskiej emigracji.

W pierwszym okresie, to znaczy w latach 1940-1942 wojsko polskie w Szkocji przeżywało, czy raczej przeżuwało, wszystkie doświadczenia, wnioski i gorycze dwóch klęsk, jakich było świadkiem naoczny. Klęski polskiej i klęski francuskiej. Na brzegi brytyjskie dobiły resztki zdemoralizowane, zagubione, wszelką dyscyplinę, pewne że ostatnie chwile przyszyły i na nich i na kraj, który je przyjął. Prości chłopcy, służący w szeregach do niedawna z wielkim entuzjazmem i zaparciem się siebie, tracili wiarę. Szoferacy warszawscy, brać gotowa na wszelkie warunki i trudy, znosząca z humorem niewygody, ba nawet niebezpieczeństwo, zaczęli tracić wiarę w siebie samych i w swoją własną zaradność i spryt. Anglię, czy Szkocję nazywali ostatnim skrawkiem przyjaznej ziemi na świecie. Na-



mioty, które sami sobie rozbijali na pustkowiach przemoczonych stałym deszczem łąk, traktowali jak dom upragniony i bardzo przytulny. Pod tymi namiotami roztrzasałi też swoje dotychczasowe przejścia i swoje przyszłe losy. W toku tych dyskusji i myśli wypowiedzanych głośno i językiem Powiśla, czy Podwala, wracał niczym bumerang stale i bez pudła problem kryzysu zaufania do dowódców. Fakty widziane, zasłyszane, czy wręcz namalowane fantazją, cytowano, powtarzano i przenicowano wielokrotnie. O tym jak ten uciekł zostawiając żołnierzy, jak tamten zabrał rodzinę, jak trzeci wywoził złoto. Prawda, jak zwykle w takich wypadkach, pomieszana była obficie z demagogią wiecznie niezadowolonych, z demagogią szukających zła. Była jednak ona niewątpliwie w tych wieczornych pogwarkach. Zbierali się uciekinierzy z porzuconych przez swych dowódców oddziałów. Sypały się donosy i meldunki, do których tak skrupulatnie zachęcał sztab polski w Paryżu. Teraz inicjatorzy tych pomysłów zbierali owoce. Sami często padali ofiarą. A żołnierz czuł niewypowiedzianą gorzyc. Nowego oficera witał z reguły nieufnie. Starego, o ile nie znał jego karty ewakuacyjnej, traktował z rezerwą. Trzeba było lat współżycia, by ten stosunek zmienić. Trzeba było właściwie wspólnej akcji bojowej, by stosunek ten wyprowadzić na to, czym zawsze powinien być — stosunkiem przyjaciela doświadczonego, do mniej doświadczonego, nauczyciela do ucznia, opiekuna do — jakże często — zgubionego dziecka. A ponad wszystko stosunek kolegi do kolegi, na którego tak samo pada deszcz w polu i którego goni ta sama nieprzyjacielska kula.

Przy pierwszym przeorganizowaniu, jakie przeszły szeregi na terenie Wielkiej Brytanii, wyeliminowano znaczną ilość elementu oficerskiego i przerzucono go do tak zwanych brygad kadrowych, które miały być z czasem uzupełnione stanem żołnierskim przez przybywających ochotników amerykańskich. Oficerowie ci, którzy częściowo zdążyli już wejść w życie poszczególnych oddziałów, zdobyć odrobinę zaufania u swych podwładnych, selekcję tą odczuli bardzo dotkliwie. Charakterystycznym objawem tutaj było eliminowanie znacznego procentu oficerów rezerwy, ludzi młodych, którzy obiektywnie biorąc nadawali się do linii bardziej, aniżeli ich zawodowi, starsi wiekiem i stopniem koledzy. Decyzja jednak była nieodwołalna. I decyzja ta zaważyła w stopniu ogromnym na stworzeniu specjalnej kasty ludzi. Ludzi niezadowolonych, opozycjonistów dla przyjemności opozycji, bez jednak żadnej konstruktywnej myśli, którą potrafiliby zastąpić istniejący stan rzeczy. Przy tym ludzie ci skazani byli na lata przymusowej bezczynności. Gorzej — namiastki pracy. Brygady kadrowe opracowywały bowiem starannie w ogromnych sztabach programy zajęć, wypełniających dzień oficera-szeregowca w całości. Była tam więc i musztra ćwiczona pod fachowym okiem starego kapitana z poprzedniej wojny, była służba wartownicza, regulamin służby wewnętrznej, nauka o masce gazowej, składanie płaszcza iperytowego,

sypanie schronów, noszenie worków z piaskiem i wszystko to co po mistrzowsku nudzi, wypierając dokumentnie nawet przeciętne inteligentnego człowieka ze wszelkich zainteresowań i z wszelkiego sentymentu czy przywiązania do munduru. W tych szeregach, równoległe do szeregów żołnierskich w oddziałach, kryzys zaufania rósł w sposób zastraszający. Nadmierny rozrost sztabów, ich biurokratyzm, załatwianie papierków, a nie ludzi, a ponadto polityka „główek” stosowana zapamiętała przez wielu dowódców, polityka nie pozwalająca na to, by jakikolwiek żołnierz się uczył, na to by poszedł na praktykę, czy kurs, by nawet został przy wielkiej protekcji londyńskiej, przeniesiony do jednostki liniowej, wywoływała już nie tylko nieufność, lecz wręcz nienawiść do oficerów starszych, do wszystkich mających pozornie, czy prawdziwie, coś do powiedzenia.

Politycznie nie było w tych latach wielkich przemian w psychice żołnierskiej. Wprawdzie pakt rosyjski z lipca 1941 wzbudził wiele umysłów, wprawdzie dymisja Sosnkowskiego zastanowiła wielu, lecz przeciętny żołnierz nie podejrzewał jeszcze wtedy katastrofy. Liczono się powszechnie z szybkim upadkiem oporu rosyjskiego i w następstwie tego z inwazją niemiecką na Wielką Brytanię i na tym punkcie, związanym bezpośrednio z własnym niebezpieczeństwem koncentrowano swoje zainteresowania. Już wtedy jednak zbierała plony polityka bezmyślności jaką władze wojskowe świadomie do wojska wprowadziły. Kino i karty stały się bodajże jedyną i główną rozrywką mas. Polityka ta przeszczeplona żywcem z przedwojennych podchorążówek, szkół rekruckich, wykonywana i popierana przez byłych instruktorów tych szkół i byłych ich wychowanków, doprowadzała do zaniku wszelkiego ruchu umysłowego wśród masy oficerskiej i podchorążackiej. Dzień za dniem, miesiąc za miesiącem przechodził, a ów młody prawnik, architekt, czy ekonomista zamiast powiększać zasób swej wiedzy, zamiast korzystać z otwartych dla niego instytucji brytyjskich, otwartych dla niego tak samo, jak były otwarte dla Czechów czerpiących z nich wiedzę pełnymi rękoma, zważał swój horyzont myślowy stojąc z tommy-gunem na dachu jakiegoś zarekwirowanego pałacu, po to by tymże tommy-gunem bronić swych kolegów śpiących wewnątrz przed nalotem Messerschmidtów. Wysiłki jednostek wyrwania się z tego zaczarowanego koła kończyły się na niczym, albo na wyspie. Wyspa ta nazywała się Rothesay, uroczą miejscowość położoną niedaleko Glasgow, dokąd zsyłano b. senatorów i sanatorów, opornych i niezadowolonych. I trzeba powiedzieć, że oni tam siedząc w znacznie większej swobodzie i o znacznie większym zapasie czasu aniżeli oficerowie w kadrówkach, nie potrafili również niczego pozytywnego stworzyć, nie potrafili swych dyskusji, rozpraw i myśli przelać na papier w formie jakiejś strawnej dla innych, przydatnej dla historia emigracji. Trwali w głośnym proteście. Ale ten protest nie przekraczał na ogół brzegów wysepki, pozostawał w sferze jałowości, sferze wieczornych gawęd rodaków. Kapitał umysłowy



zdobyty i przekazany innym przez jeńców i internowanych jest znacznie wyższy, aniżeli kapitał emigracji wojskowej. Wysiłku zbiorowego nie było. Pędu do osiągnięć w jakiegokolwiek dziedzinie także. Wytarczy powiedzieć, że do dziś dnia — do drugiej połowy roku 1949-go są w Szkocji wojskowi, którzy po ośmiolatnim, nieprzerwanym pobycie w Wielkiej Brytanii nie mówią po angielsku. Nie to, że nie znają języka — takich jest bardzo wielu — ale nie mówią nim zupełnie. Nie potrafią rozmówić się w sklepie na tyle by ich zrozumiano.

O tym stanie rzeczy i o takiej metodzie wychowawczej stosowanej bardzo skrupulatnie i fachowo przez wojsko wobec inteligentnej i pół-inteligentnej masy żołnierskiej nie wiadano i nie chciano wiedzieć w Londynie. Tam, z perspektywy odległości, wojsko było wojskiem, wymagało poświęcenia, wymagało treningu, dyscypliny, hierarchii. Na tym wojsku prócz tego opierały się w dużej mierze polityczne poczynania rządu, to wojsko było atutem, którym posługiwano się przy okazjach wielkich, małych i maluczkich. Nie chciano zrozumieć nawet w kołach ludzi myślących, ludzi niezarażonych bakcyliem polityki „łepków”, że atmosfera trucizny i atmosfera bezczynności musi się pomścić i na ludziach w tych atmosferach żyjących i także na tych wszystkich, którzy tymi ludźmi w przyszłości będą pracować. Wtedy mówiło się, że stratę ponosi Polska. Dzisiaj mówi się, że emigracja. I w jednym i w drugim wypadku stała się szkoda. Nie chciano jednak o tym słuchać. Odsuwano, zbywano pukania o pomoc okrągłym frazesem o „służbie ojczyźnie”, „albo jest wojsko, albo go nie ma” itp. To z kolei pogłębiało narastającą nieubłaganie szczyrbę pomiędzy emigracją cywilną, a wojskiem i to tego wojska elementami najcenniejszymi, bo myślącymi, nie chcącymi się poddać bez walki narzuconym warunkom. Szczyrba ta doszła do szczytu w momencie cofnięcia uznania. Wojsko poczuło się jak gdyby czymś wyższym, aniżeli ci co mundurów nie nosili, a teraz oto właśnie przestali legalnie istnieć. Minęło to z biegiem miesięcy, ale trwało i jako zjawisko wymaga zanotowania. Zjawisko zrodzone wyłącznie niemal z winy Londynu. Bo Szkocja garnęła się do niego zawsze i stale. I prawie że bez wyjątku zawsze i stale trafiała na taflę obojętności. Wydawało się, że stolica nie interesuje się prowincją, zapominając, że dzięki tej prowincji posiada takie stanowisko w świecie, jakie posiadała przez lata wojny.

Z biegiem czasu, gdy stawało się coraz bardziej oczywiste, że inwazja niemiecka na Anglię nie nastąpi, polityka w wojsku uległa pewnej ewolucji. Studenci odeszli na uniwersytety, mechanicy do fabryk samochodów, kursanci na kursy przeróżne. Wydawało się, że przeciw ruszyła produkcja fachowców. Szwanowały jednak bodaj że do ostatniej chwili kursy dokształcające dla żołnierzy, umożliwiające im zdobywanie matur, czy ukończenie szkoły powszechnej. Nieliczne tylko jednostki zdobyły się na wysiłek organizacyjny w tym kierunku i te miały rezultaty świetne. Procent jednak żołnierzy który zdobyli świadectwa

nie jest wielki. Procent zaś oficerów, którzy tkwili w kadrowkach, — wręcz minimalny. Tylko ci, którym udało się po długich staraniach i zabiegach wyrwać na studia, zdobyli nie tylko dyplomy, ale i wiedzę. Ogromna większość żołnierza polskiego w Szkocji przeszła obok życia, zdobyczy i doświadczenia Brytyjczyka nie czerpiąc z niego wiele, nie rozumiejąc go i właściwie nie umiając znaleźć syntezy, porównania, czy analogii. Tak samo jak na powierzchniowej znajomości Anglosasów oparty był początkowy bezkrytyczny zachwyty nad wszystkim co angielskie, tak samo na identycznych podstawach oparta jest dzisiejsza anglofobia.

Z biegiem też czasu żołnierz w oddziałach liniowych dostawać zaczął sprzęt i szykować się do prawdziwej wojny. Problemy zaufania, żołądu, wyżywienia, stosunku do oficera i przełożonego, odchodziły na bok. Nowy czołg, czy działo pochłaniało zainteresowanie bez reszty. Przypuszczalna data inwazji, spekulacje na temat roli polskiej, tempa posuwania się naprzód i innych szczegółów, daty zakończenia wojny, absorbowały umysły. Przeciętny oddział liniowy przestawał żyć problemem wewnętrznym. Perspektywa walki problem ten niemal całkowicie zlikwidowała. Wyrósł on z powrotem, ale znacznie później i w złągodzonej formie, na okupacji Niemiec. Tam jednak zabrakło w nim żądła — zabrakło kryzysu zaufania. Wspólne boje wyeliminowały ten czynnik. Oficer młody — dowódca plutonu, kompanii, albo zdawał egzamin albo ginął. Nie było innej alternatywy. Ci co zostali w tyle przestawali się liczyć. I żołnierz tworzy dzisiaj z oficerem I Dywizji Pancerniej prawie z reguły zgraną gromadę.

Z brygad kadrowych powoli oficerowie młodszy wracali do linii, wlokąc jednak za sobą ślady zupełnie pustych lat. W roku 1940 ludzie ci mogli ze siebie dać bardzo wiele, nie tylko jako dowódcy, ale bardziej jeszcze jako wychowawcy. W roku 1943-cim przychodzili sami jako kandydaci na wychowanków. Potrzebowali silnej ręki podtrzymującej ich bardzo chwiejne moralne postawy. Żołnierzowi, prócz instruktorstwa fachowego, nie mieli nic do zaoferowania. Oni także potrzebowali chrztu akcji, po to by z powrotem stanąć na nogach. I jakiegokolwiek można dzisiaj wysuwać argumenty przeciwko użyciu oddziałów naszych na froncie zachodnim jedno jest jasne — żołnierz w Szkocji ulegał demoralizacji dobrobytu i nieróbstwa. Spojeńca armii, każdej armii, rdzewiała brakiem dyscypliny. Jej mózg wiotczał marnowaniem się tysięcy zdolnych dowódców, fachowców, wychowawców. Potrzebny był zastrzyk działania, pracy, wysilenia się sprytu, mózgu, mięśni. Kosztem ofiar to zostało osiągnięte. Oczywiście tylko w stosunku do tych, którzy poszli na Kontynent. Reszta, a szczególnie element kadrowy, zawierający już zresztą gros oficerów starszych, pozostał w starej atmosferze. I bodaj, czy nie utonął w niej już bez ratunku, bez widoków na zmianę, nawet przy najbardziej szczęśliwym i wolnym powrocie do kraju.



Czynnikiem oficjalnie dbałym o umysł żołnierza był oficer oświatowy, później przemianowany na oficera opieki. Jak wszystko, tak i tutaj praca ta uzależniona była prawie wyłącznie od inicjatywy i rzetelności indywidualnej. Żołnierz na ogół garnął się do gazety, do dyskusji, szukał sprawdzenia zasłyszanych wiadomości, zaprzeczenia plotkom, odnalezienia oparcia, które gubił w powodzi wypadków i zdarzeń, na które nie miał wpływu, a które miały wpływ na jego opinię o otaczającym go świecie. Nie rzadko żołnierz taki nie znajdując oparcia w swoim oficerze wychodził na zewnątrz, do Szkotów, wśród nich znajdował przyjaciół, do nich zwracał się o radę. Przez takich żołnierzy do oddziałów wsączać się zaczynał wpływ obcy, przyjazny, życzliwy, ale obcy. Rosnąca liczba małżeństw mieszanych pogłębiała ten strumień, z którego wodę czerpali, jeżeli nie wszyscy, to przytłaczająca większość. Imponowała wysoka, niespotykana w Polsce, kultura materialna rzemieślnika, czy kupca małego miasteczka, wzbudzała zazdrość i chęć jej dzielenia. Zjawisko to specjalnie zaobserwować można było wtedy wśród starych zawodowych podoficerów, wywodzących się ze sfer biednych, sfer w których pieniądź — z nędzy i z upodobania — był zawsze szczytem dążeń.

I tutaj rola owego „kagańca oświaty” czy raczej może podporucznika z kagańcem w mało spracowanych dłoniach, znajdowała, czy znajdować powinna była swe ujście. Świetlica, dająca kąć polskiej książki, polskiego wnętrza, biblioteka, zebrania dyskusyjne, gazетка, porada koleżeńska, rozmowa wreszcie — to pierwsze i zasadnicze etapy, po których praca ta iść mogła. Gdy ta droga została obrana zakres roboty rósł niepomniernie, przerastał często możliwości techniczne zgubionego oświatowca, dawał mu stanowisko, na które nie pretendował, do której nie dążył — głównego wychowawcy oddziału. Jego świetlica stawała się rzeczywiście centrum spotkań żołnierskich, jego biblioteka ubywała zużyciem kartek, okładek, tekstów. Dowódca, chcąc nie chcąc, musiał ten stan faktyczny uznać, respektować, z nastrojem swego żołnierza się liczyć. Te rezultaty osiągnęto nie wielu. Byli jeszcze mniej liczni, którzy osiągnęli nieskończenie więcej organizując szkoły powszechne, średnie, licealne. Celowała pod tym względem w owych latach pierwszych 16 Brygada Czołgów i I Brygada Strzelców. Tam, przy intensywnym szkoleniu, nauce o nowym sprzęcie i nowej broni, przygotowywali się także ludzie do życia pokojowego. A mało było jednostek na szczeblach najwyższych, decydujących, które by wtedy, w latach 1940, 1941, 1942 i 1943 potrafiły wykażać na tyle dalekowzroczności, na tyle przewidywania, by plan takiego szkolenia zawodowo-wykształceniowego opracować, zatwierdzić, popierać. Na ogół nastawienie Hotelu Rubens sprawdzało się do bezapelacyjnej walki o każdego człowieka. W praktyce sprowadzało się to do odwoływania ze studiów na miesiąc przed końcowymi egzaminami, lub trzymania w oddziale doktora filozofii w wieku lat czterdziestu, zdolnego w barakach

jedynie do zmywania naczyń. Zmywał je też posłusznie, tak długo, aż wreszcie porządna selekcja bojowa nie odrzuciła go na bok.

W rezultacie oficer oświatowy był zawieszony w próżni. Zależał od swego bezpośredniego dowódcy, który z kolei otrzymywał wyraźne rozkazy z góry. Akcja wysyłki na kursy angielskiego — biorąc przykładowo — spotykała na swej drodze kontrakcję dowódców pułków, batalionów i kompanii dla których ubytek człowieka równał się ubytkowi funkcji. Skoro zaś władze najwyższe hołdowały linii chwiejnej, raczej wrogiej szkoleniu, niż przyjaznej, zwykle dowódca niższego szczebla zwyciężał. Oficer oświatowy przegrywał, a chłopak mający szanse nauczania się języka, czy dokończenia studiów, tkwił jako pisarz kompanijny.

Do tego dochodził dobór personalny owych dzierżycieli kagańca. Znowu na skutek stanowiska władz naczelnych, funkcje oświatowe traktowano w terenie jako najgorsze, najmniej wymagające kwalifikacji, jako takie, na które winni być wyznaczeni oficerowie, czy podchorążowie, którzy okazali się niezdatni do niczego innego.

To są fragmenty składające się na równie fragmentaryczny obraz pierwszych lat istnienia wojska polskiego w Szkocji. Podałem je tutaj, by jasno i bodaj czy nie po raz pierwszy stwierdzić publicznie, że jakkolwiek **potrafilimy przygotować do walki doskonałego żołnierza** (Lotnictwo, Marynarka, I Dywizja Pancerna, Brygada Spadochronowa), to nie potrafiliśmy jednocześnie dać temu żołnierzowi perspektywy dalszego ciągu, nie potrafiliśmy przewidzieć biegu wypadków politycznych. Dzisiaj w znacznym stopniu polegamy na inicjatywie brytyjskiej w szkoleniu zawodowym. To samo szkolenie — na mniejszą skalę — mogło być faktem dokonanym w latach czekania 1940-1943. Głosy nawołujące do tego pozostawały bez echa. Jeżeli wywoływały echa to wrogie dla ich autorów. Co można było dokonać w dziedzinie życia umysłowego wojska pokazała nam najlepiej bodaj Szwajcaria, potem obozy jenieckie w Niemczech. Prawda, że tam nie było obowiązku przygotowywania się do rozprawy. Ale prawda także, że nie było tam takich możliwości technicznych i finansowych jakie były w Szkocji. Rezultatem widocznym tej polityki jest pozostawienie żołnierza bez kierownictwa moralnego, jest pozostawienie inwalidów i kalek na łasce brytyjskiej, jest pozostawienie fatalnego poczucia przynależności do „szarej masy”, w przeciwieństwie do „wybranych”. To się mści tutaj, na emigracji. Przy powrocie do wolnego państwa, mścić to się będzie jeszcze bardziej, narastać w problemy społeczne, podatne do radykalizacji w wyniku głębokich przemian jakie zaszły już dotychczas, a nie hamowane przez czynniki umiarkowane. Prócz tego kompleks „szarej masy” wywożony z wojska przez ochotników przybyłych do szeregów niemalże z całego świata, nie zwiąże z macierzą tych środowisk Polonii, które z powracającymi się zetkną. Polityka ta wreszcie spowodowała znaczne załamania się wielu ludzi w obliczu problemu powro-



towego, załamania, które wprawdzie ich tylko dotyczy, ich jako jednostek, ale które osłabia całą pozycją obozu niepodległościowego. Nie mając żadnego fachu, znajomości języka, zwyczajów, metod pracy, chłopiec dwudziestokilkuletni decydował się walczyć. W Polsce jest dziś również bez pracy i to w ramach wrogiego systemu. Ale decyzja powrotu zapadła dlatego, że nikt przez lata tułaczki nie potrafił mu dać własnego kapitału wiedzy. Nauczył się strzelać i prowadzić czołg. Nie nauczył się myśleć, ani szyc butów.

Wielka okazja została stracona. Nie pomógł przykład wojska brytyjskiego, w którym wychowywano myślącego obywatela, a nie automatycznego robota. Sieć grup dyskusyjnych utworzona przez Army Bureau of Current Affairs nigdy nie dotarła do polskich szeregów. Do tych grup przyjeżdżali na dyskusję najwybitniejsi pisarze, dziennikarze, poeci, uczeni, politycy, posłowie, ekonomiści, po to by swoje poglądy konfrontować z poglądem żołnierza. Dyskutowano tam gorąco, namiętnie najbardziej drażliwe tematy.

Żołnierza polskiego karmiło się fałszywym optymizmem, ukrywaniem prawdy politycznej, krzepieniem ducha frazesem oficjalnych przemówień. Nigdy bardziej hasło „silni, zwarci, gotowi” nie było mniej warte niż przed wrześniem polskim. Nigdy też nie było ono mniej warte jak po umowie moskiewskiej, zawierającej bakcyl poddania. W obu tych momentach — pomimo doświadczenia lat i wypadków — żołnierz trzymany był w świecie fantazji. Oba te razy uważano, że był on zbyt mało dojrzały na to, by wiedzieć prawdę. W ogniu walk, w okresie kryzysów okazywało się, że brakowało dojrzałości przywódców. Nie brakowało żołnierskiej.

Nad tym tułowiem i kończynami wyrosła w Londynie głowa. Głowa, z czasem dochodząca do rozmiarów nieproporcjonalnie wielkich w porównaniu do całości, zawierała sztab oraz ministerstwa cywilne. Te instytucje sprawowały nad Polską formalnie rządy z oddalą, faktycznie kierowały ruchem oporu w Kraju, rządziły społeczeństwem emigracyjnym. Społeczeństwo to, to w pierwszych latach głównie ludzie w mundurach, w latach dalszych coraz więcej zmieniające kolor khaki na ubrania cywilne. W ciągu jednak całego okresu istnienia wojsko było i jest zawsze głównym oparciem w akcji politycznej, społecznej, kulturalnej. Cywilni to ci, którzy tę akcję organizują, puszczają w ruch i jej skutki obserwują. Oni więc faktycznie przez ten pierwszy okres legalnego istnienia władz polskich w Londynie mieli w swych rękach decyzję i mieli władzę faktyczną. Oni też — jak powiedziałem wyżej — przygotowali doskonałego bojownika o wolność, lecz zapomnieli przewidzieć ewentualności doczekania w zdrowiu i życiu tej wolności przez tego samego wojownika. Dali mu karabin, ale zapomnieli o książce.

Zadania tego zespołu ludzi były rozliczne, obowiązki ogromne. Musieli w rządzie pierwszym — gdyż wysiłek wojenny zawsze stawiany był na czele wszystkiego innego — ustalić łączność z

krajem, dać temu krajowi wytyczne wojskowe, dać mu łączników, bibułę, pieniądze, instrukcje polityczne. To spełniono sumiennie, bodaj czy nie za sumiennie, jak wszystkie nasze wkłady do tej wojny krwawej i dla nas specjalnie okrutnej, jak stała nasza dążność do pomwienia ofiar i krwawienia się w imię ideałów zapominanych szybko przez świat. Tutaj Oddział VI Sztabu oraz dział specjalny ministerstwa spraw wewnętrznych, zwany krajowym, dały istotnie robotę rzetelną, wykonaną bez reszty i całkowicie ku zadowoleniu odbiorców w kraju. Nie obeszło się rzeczą jasną bez nadużywania aparatów kontaktowych do takiej czy innej agitacji politycznej partii mającej ten aparat w rękę, nie obeszło się bez rozgrywek natury osobistej, ale to ludzkie i trudne do zapobiegnięcia przy najidealniejszych stosunkach. Mocni ludzie używają wszelkich środków. Jedynym takim rzeczycieście mocnym człowiekiem na emigracji okazał się Mikołajczyk. Nic dziwnego też, że dla swych celów politycznych potrafił używać tego wszystkiego co mu władza w ofierze przyniosła. Nic też dziwnego, że polityka jego inaczej widziana i oceniana była z Londynu, skąd widziano ją z bliska przez szkła powiększające, razem z jej minusami i plusami, a inaczej z kraju skąd widziano ją tylko ze strony dodatniej zarówno z punktu widzenia interesów własnych (ochrona przed Rosją przy angielskim poparciu dla Mikołajczyka), jak i z naświetleń specjalnych wysyłanych przez Banaczyka, ministra spraw wewnętrznych z nominacji i wyboru swego pana.

Mieli ci ludzie w kolejności następnej prowadzić interesy państwa polskiego na forum międzynarodowym, reprezentować, bronić, upominać się, przygotowywać teksty not, traktatów, umów. To zadanie resortowo spełniało ministerstwo spraw zagranicznych, któremu do pomocy dodano twór dziwny, ale pożyteczny, nazywający się ministerstwem spraw kongresowych. Nie wiele da się powiedzieć o tej pracy, takiej samej jaką mają wszystkie MSZ-ty świata, pracy specjalnej, urzędniczej, pracy w której brak szybkiej decyzji uważany jest za zaletę, a przewlekanie rozmów i negocjacji za sztukę. Wiadomo, że MSZ jako instytucja była potrzebna, że utrzymywała placówki polskie na całym świecie, że miało w swoich szeregach ludzi wprowadzonych na rynek międzynarodowy, obeznanych z kruczkami dyplomacji, znakomitych negocjatorów gospodarczych, politycznych. Nie wykazało się ono na emigracji niczym wybitnym, nie wydało z siebie nowych geniuszów, nie stało się centrum nowych idei, ani nowego ducha. Do ostatnich dni okresu legalnego istniało jako przedłużenie ulicy Wierzbowej i to przedłużenie doskonałe, nie znające co to zmiany, co to Zaleszczyki, klęski, czy zwycięstwa. Tradycja urzędnika MSZ została, klan przetrwał. Można powiedzieć, że nie było ono, że nie jest gorsze od Foreign Office czy Ministère des Affaires Etrangères w Paryżu. Na tym odcinku więc — bez polotu czy fantazji — zadanie zostało wypełnione.

Mieli oni dalej budować dla powojennej Polski trwałe podstawy brytyjskiej i amerykańskiej przyjaźni, opartej o wzajemne



poszanowanie praw i o sympatię natury praktycznej. Mieli oni odrobić lata niepodległości, które pod tym względem nie dokonały niczego, i na barki ich spadło zadanie informowania zagranicy o prawdziwej Polsce i prawdziwym polskim narodzie. Prócz tego mieli oni dla powojennego państwa polskiego przygotować nowe rynki zbytu, młodą i jakże zniszczoną w wyniku wojny gospodarką polską zainteresować kapitał obcy. Pierwsze zadanie spełniał urząd zwany ministerstwem Informacji, urząd nowy, wprowadzony do administracji polskiej po raz pierwszy podczas gorących dni wrześniowych, zapoczątkowany mianowaniem Grażyńskiego ministrem propagandy. Drugie, w części, ten sam twór, w części ministerstwo przemysłu i handlu. W praktyce robili to jedni i ci sami ludzie.

Tutaj na tym polu pełno było miejsca na nowe inicjatywy, nowe pomysły, na różne sposoby wyszukiwania przyjaciół, którzy szczególnie w pierwszym okresie wojny sami garnęli się do nas. Przekucie tej przyjaźni na kapitał polityczny, zmontowanie trwałych instytucji naukowych, kulturalnych, literackich, zawodowych, reliefowych i charytatywnych mogło być nie tyle następnym krokiem ile samo przychodzącą, logiczną konsekwencją. Pozyskanie prasy, zaopatrzenie jej w informacje dotyczące polskiego dorobku w okresie niepodległości, zdobycie zainteresowania i przyjaźni potentatów Fleet Street, to również odcinek jaki stał przed polskimi propagandzistami otworem. Pokrycie całego kraju siecią placówek informacyjno-prasowych, znalezienie jednego przyjaciela w związkach zawodowych, organizacjach kobiecych, młodzieżowych, Rotary Clubach i wielu wielu innych. od jakich roi się Wyspa, nie było trudne. Utrwalenie w ten sposób związków kulturalnych, przybliżenie tej dalekiej, nieznanej i trochę egzotycznej Polski do świata anglo-saskiego byłoby faktem dokonany. Zadanie to — bodaj czy nie najważniejsze w całej hierarchii zadań emigracyjnych — spełnione nie zostało. Było po temu przyczyn wiele, nieprzygotowanie fachowe, przypadkowość doboru ludzi, nieszczęśliwy dobór kolejnych ministrów tego resortu, brak kadry wyrobionych dziennikarzy, prelegentów, aktorów, pisarzy, działaczy społecznych. Fakt pozostał bezsporny — cel osiągnięty nie został. I dzisiaj po latach pracy w terenie brytyjskim okazuje się, że komuniści biją nas tym samym wyświechtanym argumentem o polskim zacofaniu, jakim bili przed wojną. I prawie tyle samo co przed wojną znajdują w społeczeństwie oddźwięku.

Stworzono niewątpliwie sporo. Stworzono łańcuch towarzystw szkocko i anglo-polskich, które jednak przy samym początku winne były śmiertelnego grzechu subwencji. Towarzystwa te żyły i działały za pieniądze polskiego rządu. Stworzono cykl prelekcji o Polsce w szkółkach, klubach, grupach dyskusyjnych. Dano angielskiej i szkockiej publiczności kilka polskich filmów do obejrzenia, filmów które mógł jednak oglądać tylko cierpliwy i spokojny Szkot na głuchej szkockiej prowincji. W Polsce film taki wraz z jego twórcą wygwizdanoby. Zetaty-

zowanie komórki filmowej, oddanie jej w ręce ludzi interesu nie idei, płacenie im pensji bez względu na wyniki pracy, dało rezultaty. To samo można zastosować do działów innych jak artystyczny, gospodarczy, prasowy. Zetatyżowanie powodowało zwłokę, brak polotu, starania, trudu. Gdy do tej pracy dochodziły jednostki nowe przybyłe z innego terenu, czasami z kraju, rezultaty z miejsca podskakiwały w swej krzywej wysoko. Ale to były chwile. Potem krzywa ta dalej spadała do poziomu blisko zera. I ciągnęła się na nim niemal nieprzerwanie.

Był okres, szczególnie bezpośrednio po przyjeździe do Londynu Tomasza Arciszewskiego, że nawiązano poważne kontakty polityczne z grupą działaczy Labour Party. Kontakty te jednak nie przetrwały kryzysu. Był okres w latach pierwszych, w czasie którego Sikorski miał wstęp nieograniczony do Churchilla, i głos wyraźny w sprawach polskich. Przez pewien, krótki, przeciąg czasu poszczególni ludzie tego resortu weszli na łamy prasy brytyjskiej po to jednak by zejść z niej i nie pozostawić trwałych śladów. W bilansie ministerstwa informacji brak pozycji trwałych, pozycji natury politycznej, o politycznych konsekwencjach. Zaopatrywanie przyjaciół w amunicję o Polsce nie wystarczało. Drukowanie broszur propagandowych o polskim wysiłku wojennym dawało efekt aktualny, nie dawało ciągłości. Wojna się skończyła i zastała cały aparat propagandowy w trakcie dalszego montowania materiałów o tym jakże wspaniałym, jakże kosztownym i jakże krwawym naszym wkładzie do wojny. A tego już Brytyjczyk nie chciał słuchać, to go już nie brało. Sam poniosł ofiary, a nie mając z przyrodzenia imaginacji nie umiał porównać tej ofiary z naszą. Nie widział zresztą żadnego celu w tym porównaniu. I tutaj na szerokie pole pracy dla polskiej idei niepodległościowej powinni byli wkroczyć nasi brytyjscy przyjaciele — politycy, dziennikarze, przemysłowcy — z dawna przygotowani do tej roli, z dawna do niej przekonani. Tymczasem w dniu 5 lipca 1945 ministerstwo informacji pozostawiło w spadku spory zasób literatury propagandowej wojennej, doskonąłą Czarną Księgę zbrodni niemieckich w Polsce, rzesze katolickich pisarzy i działaczy, gotowych kruszyć kopie o nas, kilku posłów konserwatywnych z prawego skrzydła Izby i — koniec. Subwencjonowanie pro-polskich ruchów zemściło się natychmiast — aktywność przyjaznych towarzystw zmalała do zera. Przeróżni Polacy, którzy nimi się poczuli w okresie koniunktury, odpadli lekko i bez bólu. Firmy wydawnicze, drukarnie, przyzwyczajone do luksusowych wydawnictw i słonych rachunków, przestały się zbankrutowanym klientem interesować. A publiczność brytyjska, nauczona otrzymywać przez pięć lat stosy niepotrzebnej makulatury za darmo, nie chciała w żadnej innej formie materiału informacyjnego dostawać. W innej formie to znaczy płacąc zań choćby koszta przesyłki.

Przy działalności prasowej nie można milczeniem pominąć roli jaką odegrał minister informacji Stanisław Kot. Tutaj kontakt jego ze specjalnym korespondentem niedzielnego tygod-



nika „Observer”, kontakt ustalony ponad wszelką wątpliwość, spowodował że pismo to począwszy od końca roku 1943-go stało się organem systematycznie likwidującym polską emigrację polityczną w Anglii, a budującym podstawy w opinii dla nowego porządku rzeczy idącego ze wschodu. Kot inspirował ataki przeciwko Sosnkowskiemu, Prezydentowi, przeciwko wszelkim elementom oporu, polityki uspakajania Rosji. W swym zaślepieniu, nienawiści i niewątpliwym zбочeniu na tle personalii, gotów był ten człowiek duszę diabłu sprzedać byle by tylko zgniebić przeciwnika. Praktyki te — znane szeroko w Londynie — spowodowały osamotnienie Kota w opinii, spowodowały zniechęcenie go w wojsku. Wizyty „specjalnego korespondenta” „Observera”, mówiącego zresztą świetnie po polsku i będącego członkiem polskiego Związku Dziennikarzy, stały się zjawiskiem stałym w gabinecie Kota na Strattonie. Rewelacje ogłaszane potem nawet dla laika wyglądały na pochodzące ze źródeł własnych. A co szkody te artykuły „Observera” wyrządziły sprawie polskiej, jak przygotowały grunt na przyjęcie Jałty, a potem aktu lipcowego, dziś trudno obliczyć. W swej zapamiętałości i jądzie Kot zapomniał, że jednocześnie jego dział sowiecki produkował materiały anty-rosyjskie, że szkalował jak mógł Bieruta, Osóbkę i Żymierskiego, że on sam — pan minister — opowiadał w gronie zaufanych historie swych rozmów na Kremlu w sposób co najmniej... tendencyjny.

Prasa codzienna była mało przystępna, trudna, już wtedy powściągliwa. Każda zresztą wiadomość politycznie dobra była niemal jednocześnie kontrowana „Observerem”. W ten sposób opinia brytyjska, wprowadzana naszymi własnymi rękoma w błąd, traciła powoli kontury granicy pomiędzy prawdziwymi Polakami, a tylko Polakami z przypadku, pomiędzy jednym rządem, a drugim, pomiędzy jednym wojskiem, a drugim. Właśnie o to chodziło Komitetowi Lubelskiemu. Właśnie o to chodzi o Rosji. Wydaje się, że Polska w czasie tej wojny była szczególnie nieszczęśliwa jeżeli chodzi o piątą kolumnę. Miała ją w swoich szeregach — potężną, uzbrojoną, silną — od pierwszego do ostatniego dnia walki.

W momencie cofnięcia uznania nie zostawił rząd w brytyjskim społeczeństwie żadnego ciała, czy żadnej wybitnej indywidualności, która by wzięła na siebie obronę interesów polskich w zastępstwie tego rządu. I na tym polega bankructwo wyników ministerstwa informacji. Na tym także, że nie pozostawiło po sobie stałych śladów w postaci przekonanych, zaprzyjaźnionych i co najważniejsze lewicowych dziennikarzy, którzy by sprawę Polski nadal sączyli w dawkach małych, ale prawdziwych, do umysłów swych czytelników. To że o Polsce się dzisiaj pisze, to że stanowi ona nadal temat dziennikarsko-publicystyczny, to bynajmniej nie zasługa polskich propagandzistów. Zasługa w tym przede wszystkim Rosji Sowieckiej i jej polityki w Europie Wschodniej, Środkowej i na Bliskim Wschodzie. Gdyby polityka ta była inna, los nasz tak samo mało by obcho-

dził Brytyjczyków, jak los Finnów, czy Rumunów.

Nie analizując resortów innych, z których resort opieki po-trafił rozbudować sieć o skali światowej, stwierdzimy w konkluzji jeden niewątpliwy minus — brak stworzenia trwałej idei, brak przekazania obcym silnych węzłów kulturalnych, na których dopiero opierać się może współpraca polityczna. Brak także przygotowania współpracy gospodarczej nieodzownie przecież potrzebnej dla ponownie zubożałego kraju. W sumie brak kierunku jednego, zdecydowanego, brak energicznego kierownictwa politycznego. Zagubieni w problemach partyjno-wewnętrznych, w personaliach, nominacjach, posadach i synekurach pozwalaliśmy z jednej strony na szkodliwą robotę, Kota, Drohojowskiego, Szapiry i innych podobnego kalibru i autoremantu, nie umiejąc wbrew nim i poza ich plecami stworzyć mocnego pomostu na przyszłość. I w biedzie zabrakło nam przyjaciół. Przysparza nam ich dzisiaj koniunktura międzynarodowa, polityka sowiecka i poczucie wspólnego niebezpieczeństwa. Ale jeżeli nie wyciągniemy wniosków z przeszłości to za nową koniunkturę możemy zapłacić nową cenę. A koniunkturą tą tym razem mogą być nowe Niemcy.

Czy jednak pomimo tych wszystkich braków, pomimo nie wydania ze siebie nazwisk wielkich, dzieł, akcji politycznej zakrojonej na skalę międzynarodową, czy wobec polityki stosowanej w wojsku, polityki, poświęcającej wszystko na ołtarzu walki z Niemcami, czy emigracja polska dwudziestego stulecia pozostawiła ślad, czy stanęła na wysokości zadania, czy słusznie była i do pewnego stopnia jest jeszcze otoczona nimbem legendy przez wielu ludzi w kraju? Odpowiedź, wbrew może rozważaniom poprzednim, wbrew krytyce, czasami wyrzutom czy samo-rozgorzyczeniu, jest pozytywna. Nie jest winą emigracji, że wyemigrował tłum przeciętnych zjadaczy chleba, że zabrakło na obczyźnie Czarłoryskich, Lelewelów, nie mówiąc o Mickiewiczach, Słowackich, Chopinach. I nie jest winą niczyją, że ten tłum ludzi przeciętnych, szarych, spokojnych obywateli, na których barki spadł nagle, niespodziewanie obowiązek reprezentowania Polski na świecie, obowiązek ten wypełnił przeciętnie.

Nie mógł wypełnić inaczej, nie był do tego zdolny, nie był przygotowany i nie był nawet na tyle ambitny, aby do tego dążyć. Zakorzenie się głębokie w brytyjski grunt, brak walki o byt-czynnik wpływającego zawsze na rozwój konkurencji, na podniesienie się poziomu życia poprzez podwyższenie jakości wykonywanej pracy, — nie sprzyjało, by owi zjadacze chleba na aniołów przerobieni zostali. I dlatego były błędy znaczne — jak na wymogi stawiane przez czas. Były posunięcia słabe, nieproporcjonalnie małe — jak na okoliczności w jakich je dokonano. Brak było szkoły indywidualnej. I jakkolwiek już w roku 1940 zapadł wyrok skazujący emigrację na wielkość, skazujący rząd polski w Londynie na legendę, a wojsko za granicami na bohaterstwo, to wyrok ten tylko w części ostatniej, w części wojskowej został wykonany. Ułaskawienie spłynęło łaską pańską



na innych na tych szarych, małych, kupców, rzemieślników, urzędników, sybarytów życiowych, przekwitłych polityków, primadonny minionych teatrów, wodzirejów balów znanych z pożółkłych wspomnień albumowych i pozwoliło im zachować przeciętność. Trwali też w niej do ostatka.

W tej roli przeciętnej zachowali się dobrze. Legalne władze nasze przetrwały lata zawiechury wojennej, po to by upaść w oczach obcych dopiero na skutek kataklizmu politycznego, którego nie były w stanie powstrzymać. Sprawy polskie prowadzone były przez te lata niewoli i niemieckiej okupacji przez Polaków. I w kraju i zagranicą. Byliśmy uczestnikami zjazdów i kongresów międzynarodowych, byliśmy czynni w opracowywaniu planu konferencji pokojowej, stawialiśmy postulaty, wnioski, kontrpropozycje. Nie pozostawaliśmy bierni wobec wydarzeń, nie staliśmy na dacie wrześniowej 1939 roku, lecz razem z innymi braliśmy udział w szkicowaniu zarysów przyszłego porządku rzeczy.

Szkoliliśmy nasze dzieci wyrzucone falą wojny w świat. Daliśmy opiekę inwalidom i chorym. Stworzyliśmy ciąg dalszy życia politycznego polskich partii, jakie istniały przed wojną. Oparliśmy rząd na porozumieniu tych partii. To było słuszne. Dawało podstawy demokratyczne, dawało oddźwięk w kraju, pozwalało na kontakt kanałami znanymi, kanałami w których życie w Polsce kipiało. Przeciętność wkradła się jednak i tutaj — zamknięto szeregi tych stronnictw hermetycznie dla młodego narybku. Doprowadzono do fikcji, składającej się z rad, komitetów, komisji — w sumie kilku osób. Zemściło się to na autorach pomysłu, nie naprawiło zła. Wypaczyło idee — zamiast być odpowiednikiem stronnictwa w kraju, stało się odpowiednikiem b. stronnictwa w kraju sprzed wojny, czy z jej pierwszych miesięcy trwania.

Przekazaliśmy jednak światu pewien zasób wiadomości o kraju, jego cierpieniach i jego miejscu w Europie. To było mało, trafiło do pewnej ograniczonej liczby odbiorców, z których jeszcze mniejsza liczba szczepionkę przyjęła, ale było. W powodzi popełnianych błędów, w pracy do której większość nigdy nie pretendowała, znalazły się dokonania. W każdym poczynaniu, w każdej akcji są i plusy i minusy. W naszej emigracyjnej historii mieliśmy zapewne same plusy, albo prawie same, gdy nie ten wyrok piekielny, z którego nas potem ułaskawiono, gdyby nie splot wydarzeń i okoliczności, który wyniósł sprawę polską na najwyższe fale, rząd polski w Londynie na najwyższe szczyble zainteresowania, odpowiedzialności, wymagań. Nie umiejąc sami przeprowadzić takich, czy innych posunięć przywoływaliśmy na pomoc obcych. Kampanię premierostwa Mikołajczyka w roku 1943 przeprowadzili jego niefortunni zwolennicy na łamach pism angielskich, z nieprzychylnym nam „Times”em na czele. Kampanię dymisji Sosnkowskiego tak samo. Traciliśmy — i autorzy kampanii i wszyscy inni — ogromnie dużo w oczach przyzwyczajonego, do uczciwej gry Anglika. Tracił właściwie każdy Polak.

Ponad wszystko jednak daliśmy wkład krwi do wojny niepro-

porcjonalnie wielki, nieproporcjonalnie bogaty. Traciliśmy ludzi wszędzie i na barykadach ghetta warszawskiego i w tajgach Sybiru i w obozach pracy przymusowej w Niemczech i w Armii Krajowej i w walce o Wielką Brytanię i w bitwach afrykańskich, norweskich, włoskich, francuskich, holenderskich, belgijskich. Z przedwojennych trzydziestu pięciu milionów zostało nam nie wiele ponad dwadzieścia. Sześć milionów istnień ludzkich zginęło. To największy procent, najbardziej jaskrawy i tragiczny ze wszystkich narodów sprzymierzonych z Rosją Sowiecką łącznie. Polityka nasza była szafowaniem krwią. Gdy na jednym z posiedzeń Rady Narodowej w Londynie Sikorski raportował przebieg rozmów z Anglikami na temat posłania I Dywizji Pancerniej na inwazję powiedział: „Zapytano mnie na jakich warunkach chcę dać dywizję na front. Odpowiedziałem na żadnych! Polak nie handluje krwią. Polak się bije”. W tym zdaniu zawierał się cały bezsens naszego stanowiska. Nie ceniono nas jako żołnierza, tak samo jak nie ceniono polskiego robotnika. Uznawano jego pracę za doskonałą, ale wiedziano, że jest ona do kupienia za bardzo tanie pieniądze. Czas najwyższy, by polityka nasza uległa zmianie. Czas najwyższy, byśmy potrafili cenić się sami. Wtedy będziemy cenienni przez innych. Wkład do każdej wojny, do każdej pracy winien być na przyszłość uwarunkowany zyskami politycznymi. Inaczej powtórzy się to czego jesteśmy świadkami dzisiaj — kaleki, weterani Monte Cassino, Falaise i Tobruku nie mogą wracać do domu z tej prostej przyczyny, że tego domu nie mają. Należą on z decyzji przyjaciół, do wrogów.

Na tych ramach działania zamyka się okres legalnego naszego istnienia, okres budowy aparatu okupowanego państwa na obczyźnie, okres walki orężnej, politycznej, biologicznej o istnienie narodu. Na tych ramach działania — ramach szerokich, bogatych, przestronnych, w granicach których wiele miejsca pozostało niewykorzystanego, wiele drogocennego płótna zmarnowanego w obrazie, któremu na imię było „Polska emigracja XX stulecia” — kończy się okres łatwizny istnienia indywidualnego, łatwizny zarobku, eliminacji walki o byt, eliminacji inicjatywy prywatnej, okres niemal pełnego zetatyzowania polskiego istnienia wygnańczego. W dniu 6 lipca 1945 roku, w chwili ogłoszenia cofnięcia uznania rządowi Tomasza Arciszewskiego przez mocarstwa anglosaskie, okres ten zamyka się klamrą szczelną, aktem nieodwołalnym. Cokolwiek stoi przed nami w przyszłości — tułaczka, czy powrót do wolnego kraju — ten okres, czy jemu podobny nie wróci już na pewno.

Pełnia pracy nastąpiła dla emigrantów dzisiejszych po lipcu 1945 roku. Sprzymierzeńcy nie wiedząc o tym, mimowoli oczyszcili atmosferę w jakiej ta emigracja tkwiła przedtem, dali jej świeże powietrze do oddychania i jasną szeroką, świadomą celu drogę do którego dąży, drogę działania. Przeciętność w warunkach luksusu schodziła w dół. Ta sama przeciętność w warunkach



ciężkich powinna iść w górę. Może jeszcze wyda nowego Mickiewicza, może jeszcze urodzi talent wodzowski Naczelnika Państwa, może jeszcze dostarczy światu idei już nie chrystianizmu polskiego, lecz polskiego przodownictwa w krucjacie praw ucimieżonych, pobitych, deportowanych, więzionych i torturowanych. Może właśnie z szeregów Polskiego Korpusu Przystosobienia wyjdą przyszłe legiony Dąbrowskiego. Może z szeregów polskich polityków emigracyjnych wyjdą nowi pozytywiści, realści, niosący w zanadrzu interes nasz własny, stawiając go ponad wszystkie inne w zrozumieniu poniesionych ofiar, niepewnego jutra i zawodnych przyjaciół. Może oni zdołają przerobić psychikę naszą z cierpiętniczej na zimną, spokojną, trzeźwą. Może potrafią na pola lubelskie, na Mazowsze, Polesie, Wileńszczyznę przynieść nieco brytyjskiego stoicyzmu i nieco owej zasady trafnej, egocentrycznej, ale jakże popłatnej, wypowiedzianej niegdyś przez Gładstone'a „Wielka Brytania nie ma stałych przyjaciół, ani stałych wrogów. Ma tylko stały, niezmienny interes własny”.

Zygmunt NAGÓRSKI Jr.

## „POD PRĄD”

*Pismo polskiej myśli niepodległej w Szwajcarii  
(wychodzi 3 razy w miesiącu)*

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI:

**FRIBOURG 2, case postale 10, SUISSE.**

### DO NABYCIA:

**FRANCJA:** «Libella», 12, rue St-Louis en l'Île, Paris IV<sup>e</sup>.  
(cena 25 fr.).

**W. BRÝTANIA:** Pokrzywy Londyńskie, 49, Mill Hill Grove,  
London W.3.

**BELGIA:** Księgarnia Polska, 42, rue Defacqz, Bruxelles  
(cena 7 fr.).

**WŁOCHY:** Jan Grochowski, via della Croce 81, Roma.

## Kronika kulturalna

### Księgarnia na emigracji

Ktoś, kiedyś, rozpatrując sprawę pisania, wydawania i rozpowszechniania książki, powiedział: Najłatwiej jest napisać — wystarczy na to trochę czasu, atramentu i inteligencji. Gorzej jest ze znalezieniem wydawcy dla książki, a już najtrudniej ją sprzedać.

W powiedzeniu tym mniej jest przesady, niżby się zdawało.

W Polsce przedwojennej — nie jest to tajemnicą dla nikogo — w państwie o 35 milionach ludności z górą — nakłady książek nie przekraczały prawie że nigdy 5.000 egz. Książka kosztowała przeciętnie 5—10 zł. Ludzie w Polsce czytali mało i kupowali mało. Książka była luksusem materialnym i kulturalnym. Za droga była nawet dla tych, którzy nią żyć powinni — dla inteligencji, a z drugiej strony tak zwane „szerokie masy”, nawet gdy środki materialne pozwalały na to, nie mieściły jej w kręgu swoich potrzeb. We Francji nie rozchodziło się więcej, niż 30 egz. jednej książki — wśród emigracji, liczącej wówczas około 400 tys. osób. Istniała jedna księgarnia polska w Paryżu, była też i druga na prowincji, która obok książek sprzedawała wszystkie inne artykuły. To prawda, że książka polska we Francji była jeszcze droższa niż w kraju, kosztowała przeciętnie 50—70 frs., podczas gdy książka francuska nie przekraczała, w tym samym okresie, 12—15 frs. To prawda też, że wśród emigracji ówczesnej mniejszy był procent inteligencji niż obecnie, wszystko to razem nie tłumaczy jednak dostatecznie takiego braku zainteresowania książką, która na obczyźnie jest często jedynym łącznikiem z krajem.

W przytaczanych cyfrach nie biorę oczywiście pod uwagę książek szkolnych, słowników — które mają swoją osobną statystykę, oraz senników i „flirtów”, na które tak wtedy, jak i obecnie, popyt jest zapewniony.

Tak więc polska książka przed wojną nie znajdowała dostatecznej ilości nabywców. Ta jej niepopularność pociągała za sobą



zmniejszone nakłady, które za to wzrastały w cenę. Jedno ciągało drugie. Pisarz nie mógł znaleźć wydawcy na swą nową książkę, a więc trudno mu było myśleć o pisaniu następnej. Utał się u nas typ pisarza — tak jak go sobie najpopularniej wyobrażaliśmy — zagłodzonego, zbiedzonego, najchętniej gruźlika, tak jakby jej bakcył sprzyjać miał rozwojowi talentu. A przecież powinno być zupełnie inaczej. Każde społeczeństwo może i musi utrzymać swoich pisarzy, jeżeli posiada jakiegokolwiek ambicje kulturalne.

W trudnej pracy rozprowadzania słowa drukowanego, tej krwi życiodajnej, która płynie od serca przez mózg narodowy i bez której żadna komórka istnieć nie może, w tej pracy, ogromną rolę odgrywa księgarnia, która ma kontakt bezpośredni z czytelnikiem. Księgarz książkę pokazuje, reklamuje, wkłada każdemu w ręce, zachęca do wydania na nią pieniędzy zamiast na kino czy wódkę. O niego zależy lansowanie tej czy innej książki w terenie swego zasięgu, obudzenie chęci jej posiadania. O tym ostatnim etapie wędrówki książki chcę dzisiaj powiedzieć słów parę.

Wróćmy jeszcze do książki, która jak prawdziwy przyjaciel, podzieliła z nami wiernie wszystkie odmiany losu. W okresie wojny, w kraju książka na równi z człowiekiem tępiona była przez okupanta. O wydawaniu książek mowy być nie mogło, prasa zeszała pod ziemię, zredukowana do gazetek kolportowanych z narażeniem życia, poezji wycuczano się na pamięć ze zniszczonych od czytania rękopisów. Nasz majątek, nasz dorobek wielu wieków uległ katastrofalnemu zniszczeniu.

Inaczej zupełnie ta sprawa przedstawiała się na emigracji. Tu właśnie zaczyna się rozmach wydawnictwa i czytelnictwa nigdy przedtem u nas nie spotykany. Tradycja Legionów Dąbrowskiego, gdzie niejednen oficer nosił w plecaku Horacego, a na biwakach, między dwiema bitwami prowadził uczone dyskursy, doczekała się wskrzeszenia w nowoutworzonym wojsku polskim. Tylko, że do oficerów dołączyli się żołnierze, a Horacego zastąpił „Pan Tadeusz”.

W Anglii, na Bliskim Wschodzie, we Włoszech, książka towarzyszy żołnierzowi razem z bronią. Oczywiście nie ma mowy o czerpaniu jej z kraju. Powstaje mnóstwo wydawnictw, które pracują całą parą, nakłady ich sięgają przedwojennych lub je przewyższają, mimo zredukowanego z konieczności rynku czytelniczego. W Anglii przeważają wydawnictwa prywatne — około 10-ciu, które prowadzą kolportaż własnymi środkami. Dorobek ich, to około 100 pozycji książkowych i tyleż periodyków. Na bliskim Wschodzie, a później we Włoszech, książką opiekuje się głównie wojsko — oddział Kultury i Prasy. Wydawnictw całkiem lub pół-prywatnych naliczyć można by 4 i to powstałych przeważnie już po zakończeniu działań wojennych. Dorobek tego okresu to 300 pozycji książkowych i 100 periodyków — wszystko o nakładach maksymalnych jak na stosunki w kraju przed wojną. („Pan Tadeusz” 10.000 egz.) Książki te są po większej

części zupełnie wyczerpane. O czym mówią te cyfry? Że garstka narodu, która w latach 39-45 znalazła się poza granicami kraju, okazała się, mimo zgiełku wojennego i trudności, czytelnikiem pilniejszym i gorliwszym, niż to się kiedykolwiek w dziejach polskiej książki zdarzyło.

Koniec wojny położył kres temu rozmachowi jak i w wielu innych dziedzinach. Niemożność powrotu do kraju, ciężkie warunki materialne, brak domu, tymczasowość i niepewność obecnej egzystencji — oto warunki, w jakich zastała „Libella” swoich faktycznych i ewentualnych klientów. Jak widzimy, grunt jest niewdzięczny, a jeszcze niedawno temu był pełnym ugięciem. 2 lata temu nawet optymiści nie wróżyli naszej powstającej księgarni długiego żywota, nie mówiąc już o powodzeniu. A jednak żyje ona, rozrasta się, i coraz głębiej wrasta w tutejszy grunt. Znowu sięgnijmy do cyfr: Posiadamy stale na składzie około 1.500 różnych książek o ilościach od 5 do 1.000 egz., oraz około 20 polskich pism. Posiadamy korespondentów i pośredników w Niemczech, Austrii, Argentynie, Kanadzie, Holandii, Belgii. — Nasz katalog, wydawany co roku w rosnącej liczbie egzemplarzy (w tym roku 15.000) dociera wszędzie, gdziekolwiek los rzuci polskiego emigranta i pomaga mu nawiązać kontakt z polskością.

Wszystko to świadczy, że czyta się na emigracji. Czyta się dużo, znacznie więcej niż przed wojną. Każda książka rozchodzi się w ilości od 1 do 500 egz. w ciągu roku — porównajmy skromną cyfrę 30 egz. maximum z dobrych przedwojennych czasów. A przecież obok „Libelli”, która jest dzisiaj niewątpliwie największą księgarnią polską na terenie Francji, jeśli weźmiemy pod uwagę nie lokal, a zasięg działania i asortyment posiadanych książek — istnieje obecnie w Paryżu 7 księgarni, a na prowincji 4. Nie należy również zapominać o „konkurencyjnym”, propagandowym kolportażu książki przez warszawską ambasadę, która dysponuje pieniędzmi, a więc może książki sprzedawać taniej, lub nawet je darować. Nie znamy wyników tamtych księgarń, ale przecież, jakby nie było, powiększyć mogą one jedynie ogólne cyfry książek wchłanianych przez rynek polski we Francji.

Co się czyta? Czyta się przeważnie prozę. Nasi klasycy, jak Sienkiewicz, Prus, Żeromski, Reymont, to półki w ciągłym ruchu: zapełnia się je wieczorem, aby na drugi dzień o tej samej porze znowu łątać luki. Czyta się także bardzo dużo autorów współczesnych: są to, według ich popularności: Wańkowicz ze swym **Wrześnie** **Żagwiącym** i **Bitwą o Monte Cassino**, Olszewski: **Budujemy kanał**, Brzezina: **Towarzysz 103**, a tuż za nimi Makuszyński: **Perły i wieprze**. No i oczywiście Zapolskiej **Sezonowa miłość**. Poezja, oprócz niezawodnego **Pana Tadeusza** — leży nietknięta. O czym to świadczy?

Dotykamy tu sprawy najciekawszej: kto dzisiaj czyta? Czytelnik obecny to człowiek prosty — robotnik, górnik. Doszedł on już do tego, że czyta powieść, prozę, że czyta dużo i chętnie.



Ale poezja nie leży jeszcze w zasięgu jego zainteresowań. **Inteligencja zaś nie czyta ani poezji ani prozy.** Nie czyta nie tylko książek, ale nawet pism. Tak to w latach ostatnich nasz rynek czytelniczy przewarstwował się zupełnie.

Mamy prawo do takiego wniosku. Na składzie posiadamy — z wyłączością na Francję — dziesiątki wydawnictw, setki tytułów. Prowadzimy kolportaż pism znowu często z wyłączością na Francję. Dostajemy setki listów, przez sklep nasz przewijają się ludzie nieustannie. Toteż nie trudno nam zorientować się w składzie naszej klienteli. Procent inteligencji wśród nabywców książek jest minimalny. Dlaczego? dlaczego, gdy potrafiliśmy dotrzeć z książką pod strzechy, jak marzył Mickiewicz, do kopalń, do fabryk, dlaczego inteligencja zamyka drzwi przed nią?

Usprawiedliwień jest wiele: brak pieniędzy, mieszkania, itp. Ale czy to jest zawsze decydujące? Gdy patrzę w księgarni na robotników, którzy zgrubiłymi od pracy rękoma z namaszczeniem przewracają karty książek, myślę że i im z groszem nie jest łatwo. Albo studenci, w magiczny sposób dający sobie radę za swoje skromne zasiłki — czy dla nich prenumerata takiej **Kultury** nie jest ogromnym wysiłkiem? Bo trzeba powiedzieć po prostu, że dzisiaj książka w porównaniu z innymi artykułami, a ściślej książka polska w porównaniu z książką francuską nie jest droga, chyba że się jej nie pragnie. Chciałbym wierzyć, że inteligencja nasza zdradza książkę polską dla francuskiej czy angielskiej, sądząc, że to jej więcej przyniesie korzyści. Ale czyż ten lub inny gozisz obcy zastąpi nam naszą książkę? Od polskiego słowa drukowanego nie wolno nam się oderwać, jeśli chcemy zostać sobą.

Obok tych smutnych refleksji dużo satysfakcji i radości przynoszą nam listy. Jest ich wiele i przychodzą często. Są one dla nas bodźcem i zachętą do dalszej pracy. Czujemy się przez nie potrzebni i pożyteczni. Listy są różne i przychodzą z różnych stron świata. Począwszy od suchych i węzłowatych zamówień, pisanych niewprawną ręką, jak to np.:

La Destrousse-Soleillet (B.-du-R.).

Szanowni Panowie! Proszę o przysłanie mi pod wyżej wskazany adres i «contre remboursement» niżej wymienione książki: Felsztyn T. Dr.: Dzieje 2 Korpusu. Bielatowicz J.: Brygada Karpacka. Piestrzyński R.: Polonia zagraniczną dobrze zasłużyła się Polsce. Hostowiec P.: Dziennik podróży po Austrii i Niemiec. Zbiór różnych zadań rozrywkowych. Mickiewicz A.: Les Slaves. Pawłowski: Geografia Polski. Gałęzowska J.: Bibliothèque Polonaise de Paris. Messenger de Pologne (numer wrześniowy). «Tęcza» (magazyn ilustrowany). Grotkowska: Czytanka. Falski: Elementarz. Sieroszewski. A travers le désert blanc. Pologne. — Uprzejmie proszę o przysłanie mi katalogu polskich płyt gramofonowych. — Z poważaniem.....

Ale większość listów jest obszerniejsza w treści:

Ste-Foy-St.-Sulpice.

... Prosiłbym uprzejmie o przysłanie mi książki pod tytułem «Żywoty świętych» za 600 franków. Razem z mandatem pocztowym na który odeśle pieniądze, jak to już czyniłem wiele razy. W razie gdyby księgarnia nie miała zaufania do mnie, to proszę o mandat a pieniądze wyśle zaraz. «Libella»

podoba mi się najbardziej ze wszystkich księgarń polskich we Francji. Dlatego wszystkie książki polskie zamawiam i będę zamawiać u was, jak tylko możliwości finansowe mi na to pozwolą. — Łączę wyrazy poważania i szacunku.....

Czyż to nie przyjemność dostawać podobne wyrazy uznania? Wiele listów odzwierciadla pragnienie kształcenia się posiadania książek, jak ten np. list pisany przez górnika:

Ste-Foy-St.-Sulpice.

... Proszę uprzejmie o przysłanie mi obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej (format ścienny) oraz mapy historycznej kolorowanej Polski. Wobec tego, że często nie jestem w domu, prosiłbym o mandat pocztowy a należność odesłałbym mandatem, jak to odsyłam za zeszyty książki kucharskiej pani Disslowej. W tych dniach otrzymałem katalog z waszej księgarni, ileż tam pięknych książek, które chciałbym mieć, niestety nie mogę na tyle pozwolić sobie, wobec niezamożności. Prosiłbym uprzejmie o ile to możliwe, o przysłanie parę numerów okazowych tych pism ogłoszonych na ostatniej stronie katalogu, jak «Orzeł Biały», «Kultura», «Tęcza» i inne; pō zapoznaniu się z nimi może zaabonuję niektóre z nich w miarę moich możliwości finansowych. «Polskę Wierną» i «Gospodarza» już abonuję, inne pragnąłbym poznać. Proszę więc serdecznie o przysłanie i zamówię razem z mandatem, odeślę więc należność i zamówię może jeszcze inne książki, gdy pieniądze starczy. Prosiłbym o przysłanie razem książki p. Ładzińskiej pt. «Maria nasza Matka». Czekam na zamówione materiały. Śię serdeczne pozdrowienia i życzenia....

A czyż nie jest ciekawym dokumentem list następny, mówiący o postawie górnika polskiego wobec fali strajków we Francji?

Mines de Salsigne, par Lastours (Aude).

... Jako stały klient pozwalam sobie przypomnieć, że już b. dawno otrzymałem pierwszy tom zamówionej przeze mnie książki H. Sienkiewicza «Ogniem i Mieczem», a 2-gi tom, będąc osobiście przed miesiącem w Paryżu, kupiłem w Waszej Księgarni. Myślę, że do dnia dzisiejszego powinny już nadejść dalsze tomy powyższego dzieła z drukarni, a tylko Panowie, przypuszczam, zapomnieli o mnie. Muszę tu nadmienić, że obecnie nie z własnej chęci należę do strajkujących górników i czas mi się bardzo dłuży. Innych książek, dopóki nie zaczę pracować, nie mogę zamawiać. Polecam się łaskawej pamięci, proszę jednocześnie o przyjęcie mych szczerych wyrazów szacunku i poważania....

Są i listy wzruszające do głębi. Taki jest list od inwalidy wojennego, który nie otrzymywał renty, przysyła zaległe należności natychmiast po jej przyznaniu. Książka i gazeta polska były jedyną pociechą w jego ciężkiej chorobie:

La Tronche (Isere).

... Wysyłam przekazem pocztowym sumę 1.500 fr. na poczet długu za prenumeratę tygodnika «Orzeł Biały». Z końcem maja lub w czerwcu r. 1947 zaprenumerowałem tygodnik «Orzeł Biały» za pośrednictwem przedstawiciela tego tygodnika (adresu nie pamiętam), wysyłając tylko 200 fr. Z braku jakichkolwiek funduszy (jestem inwalida wojenny) a zwłaszcza cofnięcia zasiłku inwalidzkiego przez Polski Czerwony Krzyż w Paryżu w dn. 1. V. 1947, nie mogłem uiścić za przysyłane w dalszym ciągu numery przez Redakcję «Orla Białego» w Brukseli. Rozumiejąc ciężkie położenie finansowe Redakcji, nie mogłem sprzeciwić się, że wstrzymano w tym roku tj. 1948, wysyłanie tygodników. Sytuacja obecnie zmieniła się na dobre. Zostałem uznany przez władze francuskie za inwalidę wojennego w myśl konwencji polsko-francuskiej. Zreformowany po powrocie z niewoli niemieckiej



— do której zostałem wzięty z parku artylerii i dyw. — z utratą zdrowia 100%, zacząłem pobierać rentę od 12 lipca br. Daleki byłym z myślą, ażeby nie uiścić zaległości. Przeszło rok byłem bez grosza, w ciężkiej chorobie, zwłaszcza na gardło. Od 3 lat nie schodzę z łóżka, choroba gardła uniemożliwia mówić. Na terenie Francji nie mam rodziny. Bogu dzięki! Najgorsze, tj. brak pieniędzy, skończył się. Proszę uprzejmie o tygodniki, których nie czytałem tj. od chwili wstrzymania wysyłania przez Redakcję (daty nie pamiętam). — Łączę wyrazy głębokiego szacunku...

Książka towarzyszy Polakom za pośrednictwem „Libelli” nawet w dalekich fortach Legii Cudzoziemskiej:

... Szanowny panie jestem zmuszony pisać poraz drugi zawiadomić o tej przykłej niespodziance która nas obuch spotkała mnie jak również kolegę mego Małego, Przykro nam jest że to nas spotkało samego początku że ani jeden z nas nie otrzymał swojej całej wypłaty którą się nam należy, więc prosimy bardzo pana ażeby był tak łaskawy i niestrzymywał nam posyłkę gazet a długi który mamy po 835 f to 15-go lub 1-go spłacimy i prosimy bardzo ażeby pan była tak łaskawy i przybaczył nam że niemogliśmy wysłać pieniądze spowodu tego że otrzymaliśmy tylko 135 f a pożyczyc niebyło gdzie bo niejesteśmy w koszarach na miejscu tylko całe jusz dwa miesiące w podróży wielkim Atlasie. Wiece proszę bardzo ażeby pan był tak łaskawy dla nas i niestrzymywał nam przysyłkę gazet bez żadnej obawy myślałem pisać jeszcze zamowienia na książki ale muszę się ztrzymać asz wypłać dług który mam dotychczas, proszę bardzo jeszcze czy niemogłbym otrzymać adres od redakcji jugosłowiańskiej bo niedadzą mi spokoju tylko proszą ażebym napisał i dowiedział się o adres. Wiece prosimy bardzo ażeby pan był tak łaskawy i przybaczył nam że niemogliśmy wysłać pieniędzy...

Poprzez księgarnię odnajdują się dawni towarzysze broni:

... Drogi Panie Poruczniku! Serdecznie Panu dziękuję za list który sprawił mi dużo radości, bo się dowiedziałem o swoim dowódcy i opiece na froncie. A teraz mam jedną prośbę do Pana, żeby mi Pan coś przysłał za te parę fr. które Panu posyłam, a co to Pan wie co jest mi potrzebne, książeczkę, tylko zajmującą, choć nawet i o babach, byle by była wesoła. Narazie jestem zdrow i cieszę się że Pan też się trzyma przy zdrowiu. Mamjechać do Ameryki do kuzynów, bo mi przysłali Affidavit i dużo innych papierów i ja nie wiem jak się dalej starać, może by Pan był taki dobry, jak kiedyś, i dowiedział się co mam dalej robić i jak się starać. Na tym kończę i posyłam pozdrowienie Panu i Pańskiej Rodzinie...

Wysyłamy także książki do kraju, gdzie ludzie czekają z utęsknieniem słowa nieskrępowanego cenzura, przyjmując na siebie całe ryzyko tego przedsięwzięcia:

A czasem czytelnik pragnie nawiązać z księgarnią bliskie kontakty. Nierzadko nam się zdarza, że piszą do „Libelli” jak do kobiety, do jakiejś mądrej Pani Zofii z prośbą o rady. Listy te, naiwne, ale pełne wzruszającego zaufania, i szczerości, nie są także do pogardzenia:

Denée, Namur, Belgique.

... Szanowna Księgarnio! Najpierw życzę Ci dużo szczęścia i powodzenia. Z ostatniej książki, którą mi przysłałaś, byłam zadowolona i bardzo Ci dziękuję. Szkoda że Ty tak daleko jesteś bo bym sama przyszła do Ciebie i coś sobie wyszukała do czytania. Jak myślisz, czy książka pt. «Lalka» dobra jest, czy jest w niej dużo miłości? Prosiłam cię już w listach żebyś mi przysłała spis powieści, mogą być kryminalne tak jak pisze Wallace. A ja bym sobie coś wybrała. Ale Ty jesteś skąpa w pisaniu. Przysyłasz tylko

książki, nie obchodzi Cię to czy mi się podobają czy nie. Teraz proszę Ci przysłać mi «Lalkę». Pieniądze wysyłam. Skłaniam się do samej ziemi...

Tych parę przykładów odzwierciadla, jak nieobojętna dla sprawy czytelnictwa jest atmosfera księgarni i jak bardzo wielki wpływ ma ona na ilość, kierunek i wybór lektury.

Wniosek z tych paru słów o książce chciałbym podzielić na dwie części: jedna, to zadawalający w porównaniu z przedwojennym bilans rynku czytelniczego i ogromny krok naprzód w drodze słowa polskiego pod strzechy. Druga część — to alarm z powodu zubożenia inteligencji na polską książkę. Wiąże się z tym kwestia deficytowości wydawnictw emigracyjnych, a zatem coraz większa rzadkość nowych pozycji książkowych.

Kazimierz ROMANOWICZ.

## Kombatanci

Ruchliwe Stowarzyszenie Polskich Kombatantów we Francji wystąpiło w jesieni 1948 r. z pożyteczną inicjatywą zorganizowania tzw. „wieczorów czwartkowych” oraz „żywych dzienników”, (niezależnie od stałych „żywych dzienników”, organizowanych w Klubie Polskim przez Syndykat Dziennikarzy Polskich w Paryżu). S.P.K. dysponuje piękną salą na 4-tym piętrze nowego Domu Kombatanta w Paryżu przy ul. Legendre 20; z okazji poświęcenia tegoż domu, zaproszono na „żywy dziennik” inauguracyjny redakcję **Polski Walczącej** z Londynu z pp. Tymonem Terleckim, Lerskim, Tadeuszem Nowakowskim i Pomianem. Prelegenci owi po wieczorze paryskim zorganizowali podobny „żywy dziennik” w Stow. Kombatantów w Lille.

W Paryżu odbyły się dotąd, dzięki inicjatywie p. Stanisława Zadrożnego, dwa „wieczory czwartkowe”. Pierwszy poświęcono sprawom obradującej właśnie w stolicy Francji Organizacji Narodów Zjednoczonych i kwestii polskiej w O.N.Z. Wzięli w nim udział przede wszystkim dziennikarze: p. Al. Bregman z **Dziennika Polskiego** w Londynie, p. Jerzy Jankowski, prezes Syndykatu dziennikarzy paryskich, p. Feliks Chrzanowski i p. Zadrożny, który mówił o historii pałacu Chaillot, gdzie obraduje O.N.Z. Drugi wieczór poświęcono książce polskiej i sprawom wydawniczym. P. Kazimierz Romanowicz, kierownik księgarni „Libella”, w dowcipny sposób omówił blaski i cienie polskiego życia wydawniczego w czasie i po wojnie na zachodzie Europy; p. Maria Czapska przedstawiła barwnie i wzruszająco życie „wielkiej emigracji” we Francji przed stu laty, jej walki polityczne i wydawnictwa; p. Zadrożny przypomniał rolę „bukinistów” czyli antykwariuszy paryskich nad Sekwaną i ich polskich przyjaciół, wreszcie p. Witold Nowosad wygłosił krótki szkic „Rozmyślania nad „Lalką” Bolesława Prusa”.

„Wieczorom czwartkowym” można wróżyć powodzenie.



# Książki

## Powieść historyczna

**Antoni Gołubiew:** BOLESŁAW CHROBRY. PUSZCZA. Spółdzielnia Wydawnicza «Czytelnik», Kraków, 1947, str. 425 i 3 nl.

**Antoni Gołubiew:** BOLESŁAW CHROBRY. SZŁO NOWE. Spółdzielnia Wydawnicza «Czytelnik», Kraków, 1947; str. 597 i 3 nl.

**Wi. J. Grabski, dr:** ZREKOWINY W UPSALI. Sagi o Jarlu Broniszu. Cz. I. Wielk. Księg. Wyd., Poznań, 1947, Wyd. II; str. 397.

Tomu II Redakcja nie otrzymała.

**Wi. J. Grabski, dr:** ROK TYSIĄCZNY. Sagi o Jarlu Broniszu. Cz. III. Wielk. Księg. Wyd., Poznań, 1947; str. 457.

**Karol Bunsch:** DZIKOWY SKARB. Powieść z czasów Mieszka I w dwóch tomach. Gebethner i Wolff, Warszawa, 1945; t. I — str. 335 i 1 nl.; t. II — str. 321 i 3 nl.

**Karol Bunsch:** OJCIEC I SYN. Powieść historyczna w dwóch tomach. Gebethner i Wolff, Warszawa, 1946; t. I — str. 307 i 5 nl.; t. II — str. 315 i 3 nl.

**Teodor Parnicki:** SREBRNE ORŁY. Powieść historyczna w dwóch tomach. Wyd. «W drodze», Jerozolim, 1944-1945; t. I — str. 353; t. II — str. 272.

Niemarksistowsky pisarze polscy wrócili, wzorem poprzedniej niewoli, do tematyki historycznej. Jak za czasów Kraszewskiego, Korzeniowskiego i Kaczkowskiego, a później Sienkiewicza, powieść historyczna święci ponowne triumfy. Szczególnym zainteresowaniem cieszy się o tysiąc

lat odległy okres początków państwa polskiego, a zwłaszcza temat naszych pierwszych, wielkich zmagani z niemieckim Zachodem. Ostatnia wojna przyczyniła się znacznie do wzmocnienia zaciekawienia odwiecznym problemem walki Słowiańszczyzny ze światem germańskim. Z drugiej strony tematyka ta — jak dotychczas — nfile widziana jest przez czynniki reżimowe, gdyż są to czasy w których nie mieliśmy jeszcze problemu obrony przed imperializmem moskiewskim. Pisarze powieści historycznych mogą więc względnie swobodnie poruszać się w tej zamierzonej i mało do niedawna prześwietlonej epoce.

Karol Bunsch cyklem **Dzikowy Skarb i Ojciec i Syn**, Antoni Gołubiew w swym obszernym studium literackim o **Bolesławie Chrobrym** (cz. I. **Puszcza**, cz. II **Szło Nowe**), Władysław Grabski trylogią pt. **Saga o Jarlu Broniszu** i Teodor Parnicki pisanym ina emigracji **Srebrnymi Orłami** przyczynili się poważnie do oświetlenia, a przede wszystkim piarskiego spopularyzowania pełnej dynamizmu państwowego ery Mieszka I i Bolesława Chrobrego. Ktoś złośliwy mógłby określić owe zainteresowania pierwszym naszym okresem historycznym jako eskapizm literacki — niewątpliwie jednak literatura poświęcona temu okresowi posiada także i bieżącą dużą wartość dydaktyczną, wskazuje w latach klęski na nasze pierwotne talenty polityczne i organizacyjne, na tysiącletnią przynależność do europej-

skiej cywilizacji. Na emigracji — w tym samym czasie — szereg działaczy Stronnictwa Narodowego, jak śp. RembIELński, Gfertych i Wasiutyński obdarzyło nas bardziej publicystycznymi interpretacjami dziejów Polski.

Jest rzeczą charakterystyczną, że wszyscy wymienieni autorzy krajowi opracowywali swe tematy niezależnie od siebie. Gołubiew pisał **Puszcze** w Kolonii Wileńskiej w latach 1940-41, a **Szło Nowe** w Ukropiskach Litewskich w latach 1942-1944; Władysław Jan Grabski opracował swą Trylogię (cz. I **Zrękowiny w Upsali**, cz. II **Śladem Wikingów**, cz. III **Rok Tysiączny**) w Grabkowie pod Warszawą w latach 1941-1943; Karol Bunsch w Krakowie w latach 1943-1945, a Teodor Parnicki, po wyjeździe z więzienia rosyjskiego, w Jerozolimie w 1943 r.

Różne były już odpowiedzi na fascynujące zapytanie, dlaczego właśnie ten okres zainteresował jednocześnie wszystkich czterech autorów. Grabski w niesmacznej recenzji «konkurencyjnych» książek, drukowanej w Nr 35 krajowych **Nowin Literackich** przypisuje to zjawisko «szczególnej intuicji historycznej» i «nowoczesności» autorów. Marek święcicki w zbiorowej recenzji pt. «Legenda Chrobrego», zamieszczonej w **Dzienniku Polskim** z dn. 15 czerwca br. tłumaczy ów cykl powieści tęsknotą państwową pokolenia, któremu podobnie jak Polanom piastowskim przyszło budować niemal z niczego niepodległy byt Polski. Opinia święcickiego wydaje się trafna, ale niewystarczająca i zbyt symplastyczna. Wszystkie te powieści powstały bowiem w czasie naszego śmiertelnego zmagania się z niemiecką. Od dziesięciu wieków, od czasów wyniszczenia nadłabskich plemion słowiańskich, nie przewała się nad naszą ziemią nigdy aż tak potężna, jak ostatnio, totalna groza germańska. Oświęcim, Majdanek, Treblinka, śmiercionośna rutyna Gestapo, fichtowsko-rosenbergowska doktryna «rasy panów» zawisła doszczętną zagładą nad naszym narodem. Groza ta stała się powszechną obsesją. Jedynie ważnym i istotnym problemem, niebezpiecznie przesłaniającym niemal wszystkie inne żywiole i polityczne aspekty. Trzeba było odszukać we własnej historii okres nadziei i tchnących analogii, trzeba było sobie i społeczeństwu wykazać, że właśnie w tym

starciu sprzed dziesięciu wieków na Polsce zatrzymał się **Drang nach Osten** i na fundamentach tego zwycięstwa powstało po raz pierwszy nasze własne państwo. Tam odnajdywał pisarz praktorzenie prawdziwej wielkości poniewieranego narodu. W okresie kiedy «naukowo» udawaliśmy nam rzekomą niższość rasową, kiedy każdy dzień był nowym etapem śmiertelnego pasowania się z niemiecką — wówczas właśnie uwaga zwracała się ku przeszłości, zaabsorbowana pytaniem, czy istotnie po tysiącu lat istnienia stać się mamy jedynie mierzwą, pognojem ludzkim w germańskim Lebensraumie.

Wydawcy zaś i dyktator literacki Borejsza dopatrywali się niewątpliwie w tego rodzaju twórczości skutecznego haszyszu na nowonarodłą, — **ex Oriente** — tragedię. W niewinnej skądinąd powieści dla młodzieży Karola Bunscha, jeden z bohaterów taką oto wypowiada sentencję: «Nie od Słowian Słowianom zuba grozi, ale każdemu z osobna od Niemców». Wszystkie bowiem wydane w Kraju powieści piastowskie biją na alarm przeciw odnowie niemieckiej zagłady, aktualności najwświeższych doznań hitlerowskich przykuwają uwagę w kierunku innym, nie zaś w tym skąd grozi obecnie zagłada narodowa.

Podobną rolę spełnia, bałamutny skądinąd, film Wandy Jakubowskiej pt. «Ostatni Etap». Oczywiście nie stawiam w tym momencie żadnego zarzutu któremukolwiek z autorów. Trudno bowiem pisać o świętym Wojciechu, czy Dąbrówce i jednocześnie rozprawiać się z grubo późniejszym problemem Moskwy, czy też rozwijać tezy walki z lenino-stalinowskim marksizmem. Znamienią jednak rzeczą jest popieranie przez reżim warszawski całej literatury zachodniej, przy jednoczesnym zapoznawaniu tematycznym tego ogromnego wycinka naszej historii, jaką jest i była nasza europejska obrona przed Wschodem. Nie wychodzą dziś w Kraju żadne nowe rozprawy czy powieści, poświęcone tym bodaj najistotniejszym sprawom.

Przedwojenne odkrycia archeologiczne, stare, klasyczne źródła Ibrahima Ibn Jakuba, Dytmara i Gallusa stały się fundamentalną pożywką Parnickiego, Bunscha, Gołubiewa i Grabskiego. Z okrucich i skrawków musieli budować swe wizje Polski ówczesnej, zdarzeń i ludzi. Epoka



pierwszych Piastów tkwi głęboko w mrokach dziejów i nie sposób na podstawie znanych jedynie i bezspornych elementów odtworzyć wiernie pełny bieg ówczesnych wypadków. Powieść historyczna należy badać do najtrudniejszych, bo najbardziej odpowiedzialnych dziedzin literatury. Łatwiej oczywiście poruszać się w terenie nasyconym źródłami i mniej odległym w czasie, gdy żyją jeszcze analogie i uchwytnie ciągi zdarzeń. Historyk ma prawo zacieśnić swą pracę do wąskiego kręgu badań. Uczciwość naukowca zobowiązuje jedynie do ominięcia tych dziedzin, których nie jest w stanie odtworzyć na podstawie dostępnych źródeł. Powieściopisarz natomiast musi się uporać z tą całą niewymierną przestrzenią, stojącą poza zasięgiem źródeł historycznych. Wymagamy bowiem od niego dużo pełniejszej, szerszej i żywczej wizji przeszłości. Autor powieści historycznej ucieleśnić musi i natchnąć pojętym dla nas życiem ludzi przekazywanych w relacjach historycznych czy zabytkach wykopaliskowych. Sylwetki historyczne w powieści poruszają się winny swobodnie na tle kulturowo-obyczajowym danej epoki. To też powieściopisarz historyczny montuje skrupulatnie swą konstrukcję, kładąc elementy wiadome i sprawdzone obok tych, które są wyłącznym dziełem jego wyobraźni i wyczucia. Gatunek tej autorskiej fantazji i klasa intuicji historycznej decydują o wartości dzieła, przy założeniu, że wykorzystano w pełni wszelkie znane źródła historyczne. Jak wynika z powyższego stwierdzenia, napisanie dobrej powieści historycznej wymaga ogromnej, iście benedyktyńskiej, pracy zapoznania się z wszystkimi osiągalnymi źródłami i poważnymi opracowaniami, dotyczącymi danej epoki. Po należyтым przetrawieniu materiału można dopiero puścić wodze fantazji — ściśle jednak stosując się do historycznych drogowskazów. Niebezpieczną jest rzeczą naginanie przeszłości do swoich pobożnych życzeń czy chociażby nawet uzasadnionych w pewnej mierze domysłów. Droga tą poszedł Grabski, przedstawiający Polskę Bolesława jako niemal Rzym Północy, rozstrzygający zawiłe konflikty, narosłe pomiędzy władcami skandynawskimi. Jeśli zbyt daleko ponosi autora licentia poetica, mamy już do czynienia raczej z fantazją na tematy historyczne, jakąś *Starą baśnią* nie zaś powieścią historyczną

*sensu stricto*. Grabski zarzuciłby nam zapewne emigracyjną małoduszność w ocenie jego przesadnie «mocarstwowej» interpretacji epoki pierwszych Piastów. *Sage o Jarlu Broniszu* czyta się z zainteresowaniem, pływa ona dość dowolnie po wodach koncepcji *a priori* sformułowanej i historycznie nieudowodnionej. Tom trzeci *Sagi*, zaopatrzony został w pożyteczną mapę i przydatki leksykon pt.: «Zakończenie czyli usprawiedliwienie historyczne postaci występujących i wzmiankowanych w *Sadze o Jarlu Broniszu*». Byłoby rzeczą nad wyraz ciekawą i pożyteczną, aby teraz *post factum* zechciał autor, czy też jakikolwiek wnikliwy badacz tego okresu, przepracować sumiennie bogate zapewne źródła skandynawskie. Obawiam się, że nie znaleźlibyśmy w nich stuprocentowego potwierdzenia tezy Grabskiego o wszechpotędze Bolesława, sięgającej najbardziej północnych kresów Europy. Jest natomiast niewątpliwą zasługą autora, że zwrócił bodaj po raz pierwszy uwagę na powiązania ówczesnej polityki Wielkiego Bolesława z państwami, żyjącymi po drugiej stronie Bałtyku. Wspaniałe i niezwykle plastycznie przedstawia Grabski wielką bitwę morską pod Svolden u duńskich wybrzeży, gdzie połączone siły kilku mocarstw (rzekomo pod batutą księcia polskiego) rozgromiły świętą flotę norweską pięknego Olafa Trygvasona. W posłowie Grabski otwarcie spowiada się czytelnikowi, jakie to motywy kierowały nim przy pisaniu *Sagi*:

«Wyznam po prostu, że obok codziennych, a często mechanicznych prac w konspiracji i gospodarstwie, pisanie *Sagi* było aktem mej walki — w potopie faszystowsko-totalistycznego bezbożnictwa Niemców — o Polskę chrześcijańską; było aktem wiary, że mimo wszystko, wbrew najgorszym pozorom czy rzeczywistości, plemię polskie nie zginie, gdyż jest bożym narodem».

Tej zapewne mistycznej a zarazem sienkiewiczowskiej postawie zawdzięczamy pewien prymitywizm nacjonalistyczny powieści, w której wszystkie polskie postacie to wspaniałe, dzielne, mądre typy — natomiast jako «czarne charaktery» służą autorowi niemal wyłącznie cudzoziemcy. Główny bohater Bronicz to rycerz *sans peur et sans reproche*, przypominający raczej postacie baśniowe lub

gwiazdę hollywoodzkiego filmu niż odzwierciedlający ludzką sylwetkę jednego z Bołkowych druhów.

Poza Parnickim, autorzy nie ogarnęli pełni perspektyw wybranej epoki. Parnicki specjalizuje się w pasjonującej tematyce starcia starej kultury z nacierającym, młodym barbarzyństwem. Jego *Aecjusz*, część pierwsza nieskończonego dotąd cyklu powieści z okresu upadku Rzymu, pokazuje wszechstronnie (może aż zanadto wszechstronnie) ową walkę wielowiekowej cywilizacji z prężnym nowym światem. *Srebrne Orły*, aczkolwiek bardzo puszczone pod względem przejrzystości kompozycyjnej, są książką dojrzalszą. Tematyka piastowska rozwija się w niej jakby na marginesie zasadniczego starcia pomiędzy chrześcijańskim Rzymem wielkich papieży i barbarzyńskim Cesarstwem rzymskim Niemców. A jednak u Parnickiego czuje się ciągłość cywilizacyjną, której brak u innych autorów\*).

Poza Bunschem nikt nie pokusił się o wykazanie zapleczka wczesnosłowiańskiego, organizmów plemiennych, które przed nami znalazły się na widowni i wyprzedziły nas w rozwoju. Nie odbierze blasku czynom Mieszka i Bołka analogia z państwem Wielko-Morawskim, jego zmagania o samodzielność polityczną i własną kościelną hierarchię. Ostatnie badania przedwojenne uczonych polnaskich poważnie rozszerzyły zakres naszej wiedzy o prahistorycznych formach życia społecznego Słowian. Możemy dziś odtworzyć zarysy ich organizacji rodowej, typu gospodarki, osadnictwa itp. Odkrycia te nie zostały w pełni wykorzystane przez autorów. Jedynie Gołubiew pokusił się, z ciekawym zresztą wynikiem, o przedstawienie organizacji rodowej. Pokazując tworzenie jednolitej, centralnej administracji państwowej, zażębia ją jednocześnie o stare prasłowiańskie formy życia. Ukazując życie słuźniów czy Orczyków, kreśli zarazem podobne obyczaje o miedze na Czechach siedzących Sławkowców i Wrszowców.

Zbyt słabo podkreślone są też

\*) Nawiasem powiedziawszy, byłoby rzeczą ciekawą, gdyby wojujący dziś z poważnymi trudnościami materialnymi Parnicki potrafił wykonać swój plan, napisanie powieści z okresu upadku wielkiej kultury meksykańskich Azteków.

przez wszystkich autorów żywe przecieć wówczas odrębności plemienne, omijany jest skrajnie problem różnic pomiędzy Polanami, Słazanami, Wiślanami, Mazowszanami, Kujawianinami itp. A przecież, jak głosi stare przysłowie, nie od razu Kraków zbudowany i nie od razu tym bardziej powstało jednolite narodowe państwo polskie.

Autorzy usiłują wypuklić walkę pogaństwa z nową wiarą. Gdyby jednak chrześcijaństwu poszło istotnie tak łatwo jakby to wynikać mogło z relacji dzisiejszych piewców ery Chrobrego, to nie byłoby w historii miejsca na reakcyjny bunt pogański Masława.

Grabski, opierając się na znakomitych w tym wypadku, źródłach, daje barwny opis rugijskiej Ankony. Swaróżyć i Swantowit (niepotrzebnie i uparcie modernizowany na światowida) sprawowały jednak rząd dusz nie tylko wśród Słowian zachodnich. Wzmianki o tychże samych bóstwach znajdujemy w źródłach bułgarskich i ruskich, tymbardziej dziwna jest rzeczą, że nie pozostawił po nich śladu Grabski na ziemiach polskich. Wspominając za ledwie o paru pogańskich gusłach, Bunsch w powieści swej sugeruje nam z kolei jakąś wiarę w ślepe fatum. Mało tego, sam splata żywą swą akcją w nieco naiwny sposób, powodując, że istotnie owe fatum grasuje jak w baśniowej grotesce dla gręcznych, małych dzieci. Każde bowiem nie tylko swym bohaterom ale i współczesnym czytelnikom wierzyć w «państwowotwórczych» czarowników, ucieleśnionych w nieomylnym i wszechobylskim Zbroźle. Gdziekolwiek bowiem znajduje się książka Bołko, czy którykolwiek z bohaterów powieści w pośród puszczy w trudnej i skomplikowanej sytuacji, możemy być pewni, że jak dramatyczny *deus ex machina*, wyskoczy zza dęba ze światłą radą groźny, antyniemiecki, antychrześcijański Zbroźle. Podobnie bliźniaki żenić się muszą z bliźniaczkami i rodzic, rzecz jasna, bliźnięta. Sprzęg dwóch światów, pogańskiego i chrześcijańskiego, to sprawa bardzo skomplikowana. Typ wierzeń dawno-słowiańskich, kult tajemnych sił przyrody, kult zmarłych, oto pierwiastki składające się na światopogląd jednolity, jakże jednak różny od nowej, obcej, niezrozumiałej, nakazem książęcy odgórnie wkorzonionej, wiary.



Największego wysiłku w kierunku zgłębienia tego pasjonującego problemu, i to z dodatnim rezultatem, dokonał Gołubiew. Drugi tom **Bolesława Chrobrego** nosi nawet odpowiedni tytuł **Szko Nowe**. Traktuje on bowiem w dużej mierze o przenikaniu się wzajemnym i ząbieniu dwóch światów. Jest coś potężnego i przejmującego w owych opisach wypierania wiary przodków i zwycięstwa religii Chrystusowej. Wnikliwie maluje autor lęk ludzi leśnych przed Jezu Krystem — «strasznym», cudzym bogiem, którego łupem padają czesne z dziada pradziada święte dęby. Widzimy plastycznie ową gmatwaninę starych wierzeń i zabobonów oraz się przyciągającą «Nowego». Na tle tego spłotu uwypukla Gołubiew dzieje żarliwych, słowiańskich neofitów i ewolucję psychiczną nawracanych prostych ludzi. Wielką wartością Gołubiewowego **Chrobrego** jest właśnie próba przekroju przez całe społeczeństwo od izby książęcej po chatę malarzy, od drużyny bojowej po drwali i rybaków. Dał w ten sposób Gołubiew nie tylko ciekawe studium katolickie, ale zarazem epos społeczny na szeroką zakrojony miarę. Starcie dwóch światów nie jest u niego jak u Grabskiego symplicystycznym ujęciem walki Ormuzda z Arymanem — białych, dobrych i szlachetnych chrześcijan z okrutnymi, czarnymi, przewrotnymi poganami. Kapłani piasłowscy, to często specjaliści od chytłych, lisich podstępów i zdrań zaplątanych mocno w wielce doczesne, przyziemne sprawy. Na tle ich tym pełniej wychodzi, jakże ludzka i wspaniała w walce o «Nowe», sylwetka naszego pierwszego świętego, adoptowanego przez Polaków biskupa Wojciecha Sławkowica.\*)

Jakże wspaniała sylwetka jest św. Wojciech Gołubiewa. Inaczej, ale bodaj mniej prawdziwie, choć może

\*) Dobrze się stało, że w angielskim periodyku jezuickim **The Month** ukazał się artykuł o tym pierwszym, wielkim polskim męczenniku — pióra p. Juliusza Łady. Nie wystarczy przecież ograniczyć się do akademickiej deklamacji o naszej przynależności do cywilizacji zachodnio-chrześcijańskiej — winniśmy spopularyzować wśród katolików całego świata tych kilka naszych wybitnych sylwetek apostołskich, których zresztą nie brak Polsce od samego zarania dziejów po najnowsze czasy.

ciekawie, rysuje się on w patetycznej **Sadze** Grabskiego. Podobnie jak św. **Franciszek Kossak-Szczekiej** z **Bez Oręza**, tak i **Wojciech** Gołubiewa czyni nieraz wrażenie jakiegoś imbecyla — nieszkodliwego, owszem natchnionego ale przygłupka. Dopiero w kontraście do norm życia ówczesnego staje się **Wojciech** po swej śmierci męczeńskiej klasycznym pierwowzorem miłości bliźniego, samozarcia chrześcijańskiego, pokory tak po dziś niecodziennej i całkowitego poświęcenia Wielkiej Służbie. Wyciągnięta w każdym efekcie scena śmierci **Wojciecha**, daleka jest jednak od odskonałości obrazu śmierci Podbiptę.

Posiew **Wojciechowy**, to między innymi owa scena rozterki dwóch kowali żurawia i Dudka:

«Rankiem mieli w las ruszyć. Tego wieczora przyszedł żuraw do brata, by pożegnać go — Dudek już mieszkiał z białymi mniachami, jadł z nimi, śpiewał i modlił się. Cały ten czas unikał żuraw brata, czuł doń urazę i złość. Wbiły mu się w pamięć słowa Dudka: «Tak albo tak» kłął i odrzekał się od uroku, ale ów obłok, który był ogarnął Dudka, jakby i nań się przeniósł. «...żuraw czuł bezsens, czuł pustkę — czegoś idzie za tymi białymi widmami, dokąd? w puszcze. Opętało go złe albo jakie? Patrzył na kroczącego brata, w twarzy Dudka był jakiś obcy, nieznanany wyraz, wyraz ten niepokoił i pociągał żurawia. Kował dotąd się ze swymi rozterkami, nie pojmował ich.

Strażnica już była widoczna, tu gdzieś w bok, w lesie kres ich wędrówki. I tu — u kresu — przez pełną mgieł głowę żurawia, przemknęła myśl, nagła jak iskra ognia — niedawne słowa Dudkowe: — Nikt Jezu Krystu nie ujdzie.

Oślepiła go jasność tej prawdy: aż stanął. Był tak wzruszony, że niemal krzyknął:

— Iście tak. Nikt.

Kroczący przed nim Dudek obrócił głowę, spojrzął nań uważnie, uśmiechnął się. Przed strażnicę wyszedł wielki, dziobowaty woj, ponurym wzrokiem patrzył na zbliżającą się gromadę.

Śmierć roztrzęsionego i przewidującego **Mieszka** zajęła pióro Bunscha i Gołubiewa. Jakże znowu różnie poszedli do tego tematu obaj autorzy.

Bunschowi trzeba akcesorii dramatycznych, patriotycznej podrywki. W lesie po bitwie umiera budowniczy państwa polskiego. Kaja się za ostatni okres swego życia, kiedy to zapobiegliwa Niemkini Oda zawojowała starzejącego się władkę.

W cień niepamięci odsunęła na bożną czeską Dabrowkę, odsunęła też, na rzecz swych dzieci, Bolesława i dawnych książęcych durnów i doradców. U Bunscha umierający **Mieszko** patrzy perspektywnie na przyszły los z trudem skleconego państwa i na ręce niezawodnego, ponurego **Zbrozły** przekazuje dziedzictwo książęce na rzecz pierworodnego Bolesława. Ów **Zbrozły** tajemniczo urasta do znaczenia głównej sprężyny politycznej. Linia ciągłości i niepodzielności władzy zostaje utrzymana. Przy chrześcijańskim bicu w dzwony w dostojnej **pompe funebre** schodzi pierwszy władca Polski. Gołubiew zaś każe umierać steranemu bujnym życiem **Mieszce** na łożku, we własnej komnacie, pośród cychających na jego ostatnie słowo ludzi. Jest więc ukochana, piękna i po kobiecemu przebiegła Oda, są ich małe dzieci, przy których przeżywał **Mieszko** swą drugą młodość, jest wreszcie starszy syn Bolesław — męzny i silny mirem u piastowskich wojów. Czeka na słowo **Mieszka** w sprawie dziedzictwa, przyrzeczonego zanim podstępna macocha zdolała się wkraść w łaski **Mieszka**. U Gołubiewa nie będzie się też **Mieszko** kajał na łożu śmierci, jest już bowiem starym, wycieńczonym człowiekiem, nie zdolnym do myślenia w wielkich państwowych kategoriach. Trapi się co najwyżej losem swych małych dzieci i nienawicią Bolesława do Ody. Jest ludzki, zwyczajny i zrozumiały. Nie ma w nim nic fałszywego, patosu. Gołubiew tłumaczy nam bowiem procesy historyczne ukazując naturalnych, niekoniecznie na **Fidiaszową** miarę ludzi, kierujących się normalnymi odczuciami i reakcjami. I chociaż brak u niego wielkich perspektyw historycznych, czytelnik poznaje ludzi prawdziwych, proońców z krwi i kości, żyjących intensywnie i pierwotnie w zaraniu naszego historycznego bytu.

Innego typu pisarzem historycznym jest **Parnicki**, autor o zupełnie różnym temperamencie pisarskim, chociaż równie silnej wyobraźni historycznej. Jest on w pierwszym rzędzie Europejczykiem, a dopiero na tym

tle Polakiem. Zarówno wspomniany wyżej **Aecjusz**, a zwłaszcza **Srebrne Orły**, oznaczają się wielką umiejętnością wykorzystania odpowiednich źródeł historycznych. Ta ostatnia książka daje szerokie ponadnarodowe horyzonty, postacie czołowe tej epoki jak **Otona III**, **papieży Grzegorza V** i **Sylwestra II**, czy też **Pierwszego Patrycjusza Cesarstwa Rzymskiego** — **Bolesława**, potraktowane są nie tylko nadzwyczaj wyraziście, ale też bardzo dojrzałe, w sposób rzetelnie przetrawiony i naukowo uczciwy. I chociaż **Grabski**, we wspomnianej swej recenzji, nie omieszczał przypięć **Parnickiemu** tromtadrackiej łatki o « narodowym kompleksie niższości i niewczesnej skromności » to jednak **Srebrne Orły** są jedyną bodaj z całej serii książką, nadającą się mimo wadliwej i czasami irytującej konstrukcji do przetłumaczenia na inne języki.

**Srebrne Orły** zawierają bowiem cały szereg doskonałych przekrojów czasowych, na tle których rzuca autor własne swe oryginalne i pasjonujące niejednokrotnie nasświetlenia.

Tak np. w omawianej powieści nieposlednią odgrywa rolę problem gospodarczy. Dowiedzialem się od towarzysza więziennego **Parnickiego** z czasów rosyjskiej niewoli w latach 1940-1941, z którym **Parnicki** dyskutował w celi watek swej zakrojonej już w planie powieści, jak pod wpływem wypadków, lektury i otoczenia postanowił **Parnicki** wprowadzić do **Srebrnych Orłów** elementy z zakresu ekonomiki współczesnej. W tym to celu powieści swej dał watek walki wina z piwem o rynek rzymski — jest to również jeden z aspektów walki starej kultury łacińskiej z barbarzyńską, germańską północą. Zwyciężyło (jakże słusznie) wino, ostało się wbrew «prostactkim» nałogom wielkiego niemieckiego papieża i bardziej greckiego niż germańskiego, młodocianego cesarza niemieckiego. Zwyciężył interes starych rodów Romy, żyjących z produkcji i sprzedaży wina. Walka wina i piwa — południowej lekkości i germańskiej posępnej oschłości — to jeden z najciekawszych majstersztyków pisarskich **Parnickiego**. Kuleje — u niego natomiast poważnie konstruuje powieści. Nużą niepotrzebnie dłużyzny, wynikające ze zbyt analitycznego podejścia do drugorzędnych i ubocznych problemów. Za wiele jest też powtórzeń, nawracań i rozwickłych



analogii. Szkoda że ta właśnie strona tak bardzo jest zaniedbana. Bo z drugiej strony Parnicki ciekawie i wszechstronnie naświetla całą epokę, Rzym Krescencjuszy i Kluniackiej Wspólnoty, zna maszynierię zakulisową rewolucji miejskiej, ukazuje najgłębsze pobudki działania Grzegorza V i Sylwestra II, mistrzowsko maluje rozterkę wewnętrzną nerwowa Ottona III. O tym ostatnim mówi, że to

«Grek dla Niemców, Niemiec dla Greków, barbarzyńca dla Rzymian, słabe dziecko przemądrzałe dla wojowników o duszach nieociosanych, prostak dla mędrców — tak bardzo jest samotny... tak straszliwie samotny... Wszyscy niby służą mu, czczą go a naprawdę albo nienawidzą, albo gardzą, o tym jedynie myśląc, by ze słabych ramion ciężką zdrzeć purpurę...».

Kapitałnie przedstawiona jest mania Ottona, by stać się bardziej Rzymianinem niż Rzymianie. Kulminacyjnym punktem powieści jest bez wątpienia na zawsze pozostająca w pamięci scena spowiedzi Cesarza Ottona, który rozkładowuje powikłaną swą istotę wobec mnicha papieskiego, a późniejszego opata tynieckiego Arona. Od pychy świeckiego władcy świata po kajającego się u stóp Sylwestra skruszonego grzesznika, przesuwa się przed nami cała gama bogatej i niezwykłej natury Bolesławowego niemieckiego przyjaciela. Jest to scena głęboko katolicka, głęboko przeżyta i świetnie podana.

Obojętne Cesarstwa i Papiestwa Parnicki sięga dalej i wskazuje na misterną, możliwą i świadomą sprężynę ówczesnych dzieł — na wytrawną politykę Bizancjum. Wielki świat onych czasów nie wiele wie o dalekim kraju Patrycjusza Rzymskiego Bolesława.

Snuje się po Italii brat przyrodni Bolesława, knujący wiecznie przeciw niemu — Lambert. O godności Bolesława świadczy w Rzymie pusty kościół Patrycjusza, przed którym niosą srebrne orły. Nieznany, potężny władca północnej Polski nie cieszy się tu najlepszą opinią. «Chytróść prostacka i barbarzyńska złośliwość» oto jego ocena.

Gołubiew i Grabski również wprowadzają do swych powieści motywy starożytności Bolesława i korony. Rolę po-

sła Astryka widzimy u Parnickiego w innym, szerszym, międzynarodowym aspekcie (aczkolwiek nie narody jako takie lecz ich władcy byli faktycznie partnerami rozgrywki politycznej).

Na tle wielkiej gry, przemysłnych intryg Bizancjum nasz Bolesław staje się niewielkim ogniwem, bez znaczenia niemal — który pozycję swą raczej przypadkowemu afektowi Ottona zawdzięcza niż bezspornej zresztą, ale jak zwykle nieumiejętnie przez nas rozgrywanej, własnej sile. A jednak gra rozmaitych sił i czynników otwiera przed Bolesławem jeszcze jedną wręcz niebotyczną perspektywę. Oto nie cofa się Parnicki przed wskazaniem zawrotnych możliwości zamiany srebrnych orłów, orłów patrycjuszowskich Bolesława, na złote orły cesarskie. Na tle owej rozgrywki politycznej umiejętnie twydatnia autor wzajemne przenikania różnych elementów kulturowych.

Tak więc nauka arabska i odziedziczona przez Bizancjum kultura helleńska, Rzym stary, antyczny z jego tradycjami, nowszy Rzym papieski i tworzą dziwny i jakże bogaty obraz ruchomy ówczesnego świata.

W swym posłowniu jerozolimskim z 1943 r. zapowiada Parnicki, że **Srebrne Orły** są zaledwie częścią wstępną wieloczonowego cyklu powieściowego pt. **Królewski szopez Piastowy**. Minęło lat pięć i nie ukazała się żadna książka ani z cyklu zainicjowanego **Aecjuszem**, a odnoszącego się do upadku Rzymu, ani też część druga cyklu piastowskiego. Słyszało się natomiast o nowych projektach Parnickiego. Szkoda, że praca, którą podobno jednak kontynuuje, posuwa się tak powoli, gdyż w Parnickim mamy rasowego i bodajże najwybitniejszego dziś autora powieści historycznych, autora o większych nawet możliwościach niż Zofia Kosak-Szczucka.

Z Bunschem rzecz ma się zupełnie inaczej. Znam ludzi, którzy zaczytywali się w nim tak jak dorastający chłopcy Karolem Mayem. Bo też i **Dzikowy Skrab** i **Ojciec i Syn** to powieści historyczne, traktujące Piastów a la Winetou. Spełnia one niewątpliwie swe zadanie jako pasjonująca lektura dla młodzieży na tematy historyczne, czy też czytanka dla starszych dzieci do poduszki. Ma on bowiem duży talent utrzymania czytelnika w napięciu i potrafi go zainteresować odległą o tysiąc lat epoką. Czyta się go na pewno łatwiej

niż Parnickiego czy Gołubiewa, jednak pisarzem wielkiej ani nawet średniej klasy Bunsch nie jest, i — trzeba mu to przyznać — być nim nawet nie usiłuje, nie sadzi się na rzeczy, na które go nie stać. Przy takim założeniu niektóre jego opisy posiadają nawet pewien urok prostoty i szczerości niemniej jednak zestawiać go z Gołubiewem czy Parnickim a nawet z Grabskim — nie sposób; należy go postawić w zupełnie innej płaszczyźnie i wówczas można bez przesady stwierdzić, że powieść jego, aczkolwiek nie dojrzała i pod wieloma względami areprymitywna, może być nawet miłą i pożyteczną lekturą popularną, podczas gdy Gołubiewowi, czy Parnickiemu trudno będzie trafić do szerszych mas czytelnicych.

I tu dotykamy m. inn. dziedziny wartości językowych poszczególnych książek. Grabski archaizuje z umiarem, czyta się go więc bez trudu i zastrzeżeń. Szczególnie udane są opisy Łowów Królewskich. Największym eksperymentem natomiast pod względem językowym jest dzieło Gołubiewa ów polonista wileński podjął się nie byle jakiego ryzyka odtworzenia mowy polskiej sprzed tysiąca lat. Sięgnął w tym celu nie tylko do najstarszych źródeł językowych ale i do współczesnej gwary ludowej — no i bodajże do starego języka czeskiego, tak bardzo pokrewnego pierwotnej polszczyźnie. Genetycznie jest to więc stop kilku elementów. W sumie otrzymujemy archaizowany język staropolski — swego rodzaju areydzioło — przeprowadzony konsekwentnie od początku do końca powieści. Stało się to właśnie przyczyną, dla której przebrnięcie przez całość obu sąsiednich tomów jest rzeczą niełatwą i pozwolić sobie na to może jedynie cierpliwy, a nieprzepracowany inteligent. **Bolesław Chrobry** Gołubiewa jest poza tym doskonale utrzymany w tonie i nastroju. Mimo to jednak, ze względu na trudny, nużący język «nie trafi pod strzechy», chociaż traktuje nie tylko o zawiłych problemach sztuki politycznej ale i o barwnym, pełnym, życiu wielkich a przede wszystkim małych ludzi tamtej epoki. Pozostanie książką smakoszy i badaczy. Fakt ten należy podkreślić ze względu na pełną świadomość autora, podaną w przypisach, że: «Autentycznego języka tamtych czasów nie dałoby się odtworzyć, zresztą nie byłoby się

zrozumiały». Jeśli więc nie można operować językiem autentycznym, jak to po mistrzowsku uczynił Wł. Orkan w monumentalnym **Drzewiej** to po coś w takim razie pisać językiem wymyślnym i niezbyt, skoro i tak nie jest on prawdziwy. Dużo bardziej logicznie postąpił Grabski, używając w swej **Trylogii** tylko pewnego koniecznego minimum, językowych archaizmów. Wielkie wątpliwości budzą nienaturalne terminy Gołubiewa. Np. **pry** — zamiast: mówi. Przecież nawet we współczesnym języku nadużywanie słowa **prawi** byłoby czymś sztucznym, cóż dopiero to nieustanne **pry**. Podobnie wyraz **mołwisz** zamiast: mówisz, nie wydaje się mieć należytego pokrycia. Może już więcej uzasadnienia ma forma **kszel**, jako wołacz rzeczownika «ksiądz», oznaczającego książe. Stąd zamiast zwrotu «Książę Bolku!» Gołubiew używa w piątym przypadku **Ksze Bolku**. Bardziej natomiast ryzykowne jest określenie **otrok** w odniesieniu do młodego pacholęcia, szczególnie chłopaka. Szczególnie irytujące jest niemal stałe zastępowanie spółnika «i» spółnikiem **a**. Oto próbka:

«A posadzm biskupa w Kołobrzegu, w dawnym domu Cziborowym, ten będzie uczył a chrześć, a mnie znać dawał...».

Zbyt żywcem wzięte to od naszych południowych pobratymców. Książka roi się od bardzo dowolnych i nienaturalnych koncepcji językowych w stylu. «Nie twój um barani łbie, ty bacz giczołami przebieraj...», «...iże jest gid a smard», co określać ma lekceważenie w stosunku do młodego i niezbyt zrównoważonego wyrostka.

Lecz mimo tych spornych nowotworów raczej niż archaizmów, Gołubiew jest niewątpliwie mistrzem języka polskiego, wzbogaca go mniej sztucznie niż piękne ale zmyślane **Stopiewnie** Tuwima. Wzbogaca bowiem potoczną naszą mowę przywróceniem starych plastycznych wyrazów jak np.: **tażyć** za kimś lub za czymś, **łegi nadrzezno**, **plwsko siorbać**, **Wojciechow** trudno wystawione w cyrkwli...

W sumie sykl powieści o pierwszych Piastach poważnie wzbogaca polską literaturę historyczną i naświetla właściwie — dziś w okresie klęski narodowej — genezę pierwszego tysiąclecia dziejów Polski.

Hanna i Jerzy LERSCY.



## Sprawa Wacława Grubińskiego

**Wacław Grubiński: MIĘDZY SIERPEM A MŁOTEM.** Wyd. Stowarzyszenia Pisarzy. Polskich, Londyn, 1948.

Podobieństwo metod niemieckich i sowieckich wynika z podobieństwa celów; różnice — z odmiennych dyspozycji psychicznych. Nie należy jednak do przejawów okrucieństwa stosować miary porównawczej. Zestawienie prowadzi bowiem do stopniowania i tym samym posługuje się także przymiotnikami o znaczeniu dodatnim. Jeżeli zatem powiemy, że Niemcy byli gorsi, przynajmniej jednocześnie, że Rosjanie byli lepsi. I vice versa. W ten sposób, licząc zło, doszlibyśmy do zmylenia pojęć, albo nawet do zatracenia poczucia dobra i zła.

Okrucieństwo niemieckie i sowieckie jest fenomenem skomplikowanym. Nie docierając do jego podstaw i przyczyn, dostrzeżemy już w samym jego wykonywaniu nie tylko cechy bestialstwa i zdziczenia, ale i ichorstwo, a zwłaszcza głupotę. Niewątpliwie ogłupia precyzja systemu, narzucającego wykonawcom zarówno sposobów działania, jak i całkowitą uległość. Wyzbyci wrażliwości, bezmyślni, zmechanizowani, znajdując rekompensatę dla swojej zatajonej indywidualnej energii w spętowanym okrucieństwie. Być może mniej indywidualizmu wykazują sowieccy funkcjonariusze. Stąd też błędny wniosek, że okrucieństwa sowieckie jest «dobroduszne».

«Cóż winni my — gdy trzaska wam szkielety w naszych leniwych, tkliwych łapach?» — sumituje się Aleksander Blok w wierszu «Scytowie» (przekład St. Balińskiego). Bezustannie powraca się do rozważań, czym jest wina zbrodni. Od religii po psychoanalizę przeorywano ten czarny i krwawy grunt. Mimo to, nie rozładowano ludzkości z kompleksu. Nie zabezpieczono jej przed paryksyzmami zbrodni. Nie zapobieżono temu, że zbrodnia stała się — systemem. W teoretycznych rozważaniach zagadnienia zatracca się bowiem czynnik grozy. Wyklucza się też niemal całkowicie obiekt zbrodni: pokrzywdzonego. Jeżeli w istocie skąza na relacji pokrzywdzonego jest tzw. uraz, nie wolno jednak zlekceważyć

tej uporczywej wrażliwości, spowodowanej przeżyciami, które były albo drażnieniem długotrwałych cierpień, albo wstrząsem.

Zeznania pokrzywdzonego mają nie tylko mniejszą wartość dla badań naukowych. Sądownictwo również odnosi się do nich sceptycznie, o ile nie są dowiedzionymi faktami. Zresztą w miarę oddalania się w czasie od popełnionych zbrodni, dokonują się niespodziewane przesunięcia. Najbardziej «miarodajny» polityczny motyw (w odniesieniu do zbrodni niemieckich i sowieckich) jest chyba mało istotny. Więcej zastanawia powszechna, zatem ludzka niechęć do relacji o krzywdach, cierpieniach, niewieczących doznaniach. W rezultacie następuje przewartościowanie: skrzywdzony traci (sympatię, współczucie, wiarygodność), natomiast krzywdziciel zyskuje (obrońców, pobłażliwych, rozgrzeszających, przebaczących). Jest to paradoks, którego pospolita nazwa brzmi: niesprawiedliwość. Gorzej, że z tej przewrotności bierze swój początek wynaturzona legenda, wielbiąca każdy przejaw siły. Zdawałoby się, że wobec ustalającej się, a w następstwie uswięconej deformacji, skrzywdzony już na zawsze skazany jest na skamlenie, dopraszanie się i utracenie. Chyba, że i on zdoła się na taką postawę, w której są znamiona siły, nie koniecznie objawiającej się w patosie i bohaterstwie gestu.

Mam wrażenie, że Wacław Grubiński w swoich wspomnieniach **Między Młotem a Sierpem** dowiódł, jakimi zasobami rozporządza człowiek pokrzywdzony, sponiewierany, poddany próbie ostateczności. Przeczytałam tę książkę dwukrotnie, raz po raz, chcąc dotrzeć do przyczyny jej odrębności. Nie tylko bowiem wyróżnia się wśród innych pisanych na ten temat, ale jest w dorobku autora swoistą pozycją. Autor, występujący dotąd w psychicznym formacie swoich fikcyjnych postaci, wystąpił w tej nowej książce we własnej osobie, bezpośrednio, w sytuacji i warunkach «skomponowanych» przez kogoś innego. Zmuszono autora do nieprawdopodobnych przeżyć, skazano na bezradność wobec dowolności. Był bowiem nie tylko w więzieniach i

łagrach. Był w schemacie ustaw i kar sowieckich.

Sprawa, o której Grubiński opowiada, jest mi znana. Czytając o więzieniu zamarzawymskim i horodnieńskim, doznawałam uczuć zblizonych do tych, jakie dają — wspomnienia szkolne. Szczegóły, wydarzenia — jak gdyby zatraciły swoją dotkliwość i brzydotę. Pokrzykiwałam w duchu niemal radośnie, że tak, tak przecież było: źle, brudno, ciasno, głodno. Tacy byli ci nadzieratiele, śledowatiele. Takie były owe progułki, banie, uborny, pajoki. Ohyda nazw i atmosfery, ożywając, nie działała przynębiająco. Może taki właśnie bywa rykoszet wspomnień nawet najprzykrzejszych, ale nie jestem pewna, czy moja reakcja należy do zjawisk «naturalnych», czy też wywołał ją pisarz umiarem formy, ironią, przewyżczeniem tamtych utrapień. Na pewno nie chciał niczego złagodzić, ale oszczędność jego wyrazu sprawiła, że rozpoznał nawet grozę.

Nie w tym jednak rzecz, bo nie o formę chodzi, nie o literackie osiągnięcie, choć jest duże. Chodzi o Wacława Grubińskiego. Powiedziała bym, że jest to opowieść o charakterze. Szukając odpowiedniego określenia, uporczywie wracam do słowa: godny. Nie ma w tym słowie egzaltacji i nadto zawiera ono w sobie długi wymiar czasu, więc wytrwanie i odporność. W życiu więziennym szczególne znaczenie ma właśnie «nie załamanie się». Dotyczy to zarówno samej sprawy więźnia, jak i jego sposobu bycia w gromadzie. W ciągłym i ciasnym kontakcie ludzi z ludźmi może mniej cenić się prubny serca i odruchy współczucia niż równowagę ducha i powściągliwość. Grubiński-więzień posiadał jeszcze jedną zaletę: był wyrozumiały. Jego pobłażliwość sprawiła, że pisze o swoich towarzyszach dobrotliwie, uprzejmie i życzliwie. Zachowując dystans, nie wywyższa się. Złe doświadczenia po prostu pomija, jakby ich wcale nie zaznał.

Dominantną opowieścią jest jednak sprawa. Grubiński bronił się przed pojmowaniem rzeczywistości, która go zagarnęła. Był nią raczej zdumiony, niż przeświadczony o jej groźnej powadze. Może się mylić, ale wydaje mi się, że Grubiński do tej pory nie otrząsnął się ze zdumienia. Dlatego zapewne jego ocena Sowietów jest publicystyczna. To znaczy — posi-

kuje się w niej upowszechnionymi wnioskami. Nie celbawdszy się psychiki przeciwnika, wie o niej tylko tyle, że jest obca, nieprzychylna wszystkiemu, co Grubiński ceni, pojmuje, odczuwa. Przeciwestawiając siebie i swój świat pojęć tym obcym elementom, uaktywnił tylko — siebie. Przeciwnik jako nierozpoznany, był niby mur, o który rozbija się głowę, albo od którego odpryskuje każda słusna myśl, każdy niezbity argument.

Sceny procesu najlepiej pokazują tę rozbieżność prawd, przy których obstał oskarżony i na których opierał się sowiecki trybunał. Beznadziejność tej «dyskusji» podczas rozprawy sądowej nie jest bez precedensu. Jeżeli tu przypomnę sprawę Sokratesa, to nie po to, żeby urazić skromność autora. Może bezwiednie pamiętał o tym wielkim, pokonanym przez nieustępliwość ustaw, mimo wszystko, logicznych. Ustawy sowieckie są również logiczne, chociaż wynikają z fałszywych przesłanek. Grubiński, usiłując je podważyć, bił właśnie głową o mur. Nie mógł jednak, nie chciał uznać bezsensu tej obcej «racji». Widział jej tępotę i śmieszność. Prawie nie o siebie walczył, tylko z zasadami, burzącymi wypracowane osiągnięcia Zachodu. W ten sposób poszerzał swoją sprawę, w której uległszy — zwyciężył. Oczywiście zwyciężył «w oczach Zachodu», więc poza zasięgiem absurdu.

Trybunał sowiecki skazał bowiem Grubińskiego na «najwyższy wymiar kary» — na śmierć za napisanie sztuki **Lenin**. Mimo obycia z tym ostatecznym aktem, tak spowszedniałym, tak masowym w ostatnich latach, nie wyzbyliśmy się wobec niego wrażeń pełnych grozy i rozpacz. Grubiński jednak i tym ustalonym «ustawom» przyrody, ujętym nadto w system karalny — wydał walkę. Posługiwał się w tym metodami z pozoru nifkimi, rozpoznanymi na drobniaki. Prawie trzy miesiące trwała niepewność, czy zatwierdzą wyrok, czy też złagodzią na więzienie. Nędzny i dotkliwy tryb życia skazanego był jakby ciągle podminowany oczekiwaniem. Ale Grubiński zorganizował swoją samotność i nadał jej ład duchowy. Opisując prawie dzień po dniu swoje przeżywanie, zajmując się jak gdyby wyłącznie jego zewnętrznymi przejawami. Można by powiedzieć, że dramat Grubińskiego jest sceniczny. I chyba dlatego o-



sięgnął autor to, że zrozumieliśmy całkowicie prostotę patosu. Nie wiem, czy wielu pisarzy potrafiło tak wstrząsnąć, a równocześnie zmusić czytelnika do opanowania się.

Niekiedy ujawnia Grubiński swój sekret wytrzymałości. Robi to pośpiesznie, jakby pisząc notatkę dla pamięci:

«Po raz pierwszy w życiu pojąłem samotność w całej pełni, jeżeli się można tak wyrazić, naga, bez osłonek, czysta jak alkohol, mocną jak cjanalka. Zrobiło mi się niewymownie przykro... Skupiłem się w sobie. Słowacki mówi pięknie o umierającym w **Królu Duchu**: «I duch się cały skupił w jedno ziarno». To «ziarno» było jedyną mają obroną. Nie tylko jedyną: wielką! Doznałem spokoju».

Przeznaczony na zagładę, osamotniony, nie rozgrabił swoich myśli, jak bohater Koestlera, nie podniecał swoich wizji według manieri Dostojewskiego. Mogł zresztą polegać nie tylko na sobie, skoro przychodziły mu z pomocą wieczne wartości udzielane mu kiedyś bezinteresownie przez pisarzy. Było to czymś w rodzaju zaplecza. Jak markizowie francuscy idący pod nóż gilotyny, miał Grubiński także swoich antenatów i tradycję w rodzinie twórców. Miał też może i gest owych markizów, mimo, że nie mógł liczyć na świadków egzekucji, którzy by wrogo albo przyjaźnie odnieśli się do jego tragedii.

Zatrzymał też Grubiński nadwyżkę swojego człowieczeństwa: twórczość nurtowała w nim świadomością tego, co już zdziałał, i jako energia potencjalna. Była niby osobnym życiem, wymykającym się śmiertelności. Mam tu na myśli i scenę sztuki «Neron się budzi», komponowaną w celi śmierci, prawdziwy skarb dla psychoanalitka. Przede wszystkim jednak przejawiała się wyobraźnią twórczą w owym «przymierzaniu» egzekucji. Dramaturg inscenizował swoją śmierć, reżyserował ją, posługując się niemal rekwiizytami teatralnymi, przeżywał, o ile można tak powiedzieć. — nieżyłcie:

«Leżałem, prawie nie myśląc. Można by ten stan nazwać rozrągnięciem. Dopiero po pewnym czasie zacząłem myśleć o egzekucji, albo raczej zacząłem sobie wyobrażać jej przebieg. Więcej, zacząłem ją...

przymierzać. Stałem pod ścianą i wyobrażałem sobie, jak mogłem najplastyczniej, pluton żołnierzy, prawie dotykających mnie łufami karabinów. Wydawałem w myśli komendę i odczuwałem niemal dotykalnie ostateczność końcowej chwili mego życia. Przerobiłem próbę dwa razy, po czym się położyłem, żeby odpocząć».

Cytuję autora, aby w tych kulminacyjnych momentach nie rozminąć się z dosłownością jego odczuwań. Analizując (raczej pobieżnie i wstydliwie) swój ówczesny stan, Grubiński nie wzbogaca i nie pomnaża niczego *ex post*. Jak grzechu wystrzeżę się słów, które nazwałyby wyraźnie to, czego doznawał. Nie mówię nam, czy bał się, czy rozżalał (owszem, raz!), czy robił «rachunek sumienia». Mogło przecież tak być, skoro w tych osiemdziesięciu kilku dniach oczekiwania miał tylko siebie, swoją rozległość i swoje skupienie. Poprzestał jednak na bezmierności uczuć, które przekraczały granice mowy ludzkiej. O tym, że przeniknął swoją istotę i że ram i ograniczeń już nie uznawał, dowiadujemy się z kilku zdań:

«Niejeden raz w życiu przebiegł mnie dreszcz psychiczny, który by można nazwać poczuciem wieczności, nigdy jednak ten dreszcz nie był stanem tak trwałym, jak teraz. Nigdy nie wiedziałem tak na pewno jak teraz, że się nie umiera. Napelił mnie spokój».

Zatrzymałam się tak długo, a chyba i wyłącznie przy tych przeżyciach Grubińskiego nie z powodu ich sensoryczności. Nie próbuję też wywindować ich jako zagadnienie: «życie i śmierć». Być może — stany te nie łączą się z sobą, są całkowicie odrębne, jedynie sąsiadują w następstwie (umownym) czasu. Obchodzi mnie na przykładzie Grubińskiego dostrzeżony mechanizm ludzki. Inaczej: kierowanie sobą i posłuszeństwo sobie. Dwoistość w jednym: wola.

Zastanawia mnie również pojęcie, czy też realizacja tego pojęcia: «mocny człowiek». Zagadnienie siły było poniekąd punktem wyjścia do omówienia książki Grubińskiego. Pełno teraz na świecie tych «mocnych ludzi». Demonstrują swoją siłę czynami. Odczuwamy ich władztwo. Nie-

kiedy widzimy ich upadek. Zresztą z historii wiemy o duchowej niewytrzymałości wielu z nich. Może nawet Cezarowe «I ty, mój Brutusie!» było wyrazem nie zdumienia lecz przerażenia, załamania się, zatręcenia. Cezar zasłonił przeciw twarz połą togę, aby «nie widzieć» swojego końca. I pospolitym skazańcom przewiązuje się «humanitarnie» oczy. W momencie ostatecznym wlecy, mocni, silni, traciłi od razu cechy swojej żywotności. Stawali się słabsi, mniejsi, niekczemniejsi od słabych i bojaźliwych. Natomiast ludzie, którzy nie zaważyli na losach świata, nie narzucali mu swojej woli, nie posiadali ambicji uchodzenia za silnych i mocnych, przekraczali końcową metę w doskonałej formie.

Wyrwany z przyjemnego czy zartroskanego życia, wyrwany ze świata twórczej fikcji — pisarz potrafił wyróść ponad swój los. Albo słuszej: ponad swój zawód i stan. Niechże sobie pozwolę na odrobinę emfazy: zachował się wspaniale, choć — bez emfazy, bez uroczyście gestów. Przyznam się, że daję mi to pewnego rodzaju zadośćuczynienie. To właśnie, że pisarz tak się zachował, że nie ugiął się, nie ukorzył, nie poklonił, nie przeobraził wobec grozy śmierci, gdy tak wielu pisarzy w naszych czasach, w naszym kraju, popadło w popłoch wobec — życia.

Wracam do książki Grubińskiego. Po zmianie wyroku na dziesięć lat zamknięcia i cztery lata pozbawienia praw obywatelskich, posuwa się o powieść etapami (dosłownie) od więzienia do więzienia aż do północnych łagrów leśnych. Praca, klimat, warunki ponad ludzką wytrzymałość, zwłaszcza ponad fizyczną możliwość Grubińskiego — są oczywiście treścią tych rozdziałów. Autor szkicuje tylko, czasem w opisach (dosłownych) przyrody postępuje się akwarą. Ludzie-więźniowie i władze obozowe — są refleksem jego poczucia humoru. W tych miesiącach powolnego zamierania Grubiński rozporządzał już tylko humorem i nadzieją. Okrucieństwo sowieckie jest leniwe, kapryśne, chytre i głupie zarazem. Domaga się satyry. Autor kreśli ją może zbyt cienko i finezyjnie. W baraku wśród pospolitych przestępców nie przeobrażał się, jak bohater londonowskiego **Wilka morskowego**, w agresywnego przeciwnika. Pozostał gentlemanem w jaskini zbójców. Traf, czasem ludzkie serce

osłaniało go niekiedy przed brutalnością. Zresztą autor, wystrzegając się ekshibicjonizmu, nie wyznał i tego, że osłaniała go, wydobywała z niebezpieczeństw — wiara. «Mój nauczyciel mówi, że ludzom trzeba przychodzić z pomocą» — westchnął Ukrainiec Bardiej. A Grubiński powiedział: «Ja go znam». Tyle tylko trzeba, żeby się porozumieli ludzie różnych narodowości, różnych poziomów duchowych i różnej sprawności fizycznej.

Układ polsko-sowiecki ludził nadzieją wolności, czy raczej zwolnienia. Nadzieja stała się obsesją Grubińskiego. Pisał podania, domagał się zastosowania punktów układu do siebie i swoich przyjaciół (na końcu już tylko jednego). Była to znowu walka o dotrzymanie zobowiązań, więc o coś, co jest zasadą wzajemności, gwarancją współżycia, zaufaniem i uczciwością. Grubiński upierał się przy tych zasadach, przedzierając się przez obyczajowe perypetie, podobne do przygód wśród dzikich plemion. Bezbronny «pocóżnik», gonąc już ostatnim tehem, cudem uścisł przed zagładą. Historia spokojnie (choć nie bezstronnie) rozważa i ceni ten akt jakim był układ polsko-sowiecki. I jednak, którzy nawet w ramach tego układu podlegali łasce przypadku, nazywają go «cudem». Grubińskiego zwolniono przeciw z siedmionastu lat opóźnieniem. Więc chyba stało się to w kategorii cudu.

«Bezpościęrał się przed nami obszar równiny, nieopłarnowanej, jak się wydawało, nawet przez pierścień widnokręgu. Po prawej stronie, daleko, majaczyły domki. Było to miasto. Sośwa. Padał śnieg, rzadki, Wiatr piał kręcił. Suche drobinki śnieżne uderzały nas jak ukłucia. Leśnik poprawił mi szalik. Zaczęliśmy iść.»

Tak kończy (urywa?) Grubiński, niby film chaplinowski, swoją opowieść «nieskłamana w niczym». Doprawdy — coś z Chaplina było w tych jego zmaganiach z przeciwnościami: z systemem, z konwencjonalnymi kłamstwami ideologicznymi.

A teraz jeszcze uwaga:

Polskie książki o Sowietach nie są jedynie «dokumentami na przyszłość» i tym samym nie należy ich od razu odkładać *ad acta*. Trudno zrozumieć tę archiwalną manię w



czasach tak ożywionych przygotowaniemi do walnej rozprawy o wartości ludzkie. Powinno się te polskie książki o Sowietach co prędzej rozpowszechniać w przekładach. W wielu językach, w rosyjskim także. Nie

w celach osławionej propagandy. Relacje pokrzywdzonych są wiarygodne i rzetelnie służyć mogą sprawie poznawania.

Herminia NAGLEROWA.

## Dłużej klasztora niż przeora

Otrzymałem niedawno ośmiem ostatnio wydanych zeszytów wznowionego «Polskiego Słownika Biograficznego\*»). Powiedziałbym za mało, gdybym stwierdził tu tylko, że się ucieszyłem. Było w tym też coś z rozrzewnienia; coś ze wzruszenia nawet, jak — powiedzmy — przy liście od starego, dobrego przyjaciela, który po długiej rozłące i milczeniu przysyła z sobą znak życia od siebie. Postawa nasza, tu — na emigracji — wobec kraju i jego spraw jest dwuwarstwowa — ale w pełni jasna. Nie uznajemy rządów, narzuconych przez obcą zradę i przemoc, — negujemy prawo tych rządów do reprezentowania narodu i przemawiania w jego imieniu, — protestujemy przeciwko przeszczerpianiu na ziemi polskie ponurego eksperymentu sowieckiego, — z niepokojem, z trwogą nieraz patrzymy na dokonywaną pod obcym naciskiem i według obcych wzorów przebudowę życia narodowego i pogłębiane stałe próby przeorania psychiki społeczeństwa. Z drugiej strony — z najszczerzą przecieź i głęboką radością, z podziwem i dumą śledzimy każdy przejaw energii, tężyzny i prężności społeczeństwa, które — przez gwałt i przemoc wtłoczone w niesłychanie wąskie ramki życiowe, niedopuszczane do działania w płaszczyźnie państwowej i politycznej — wykazuje imponującą inicjatywę, trwa w niezłomnym wysiłku i bezprzykładnej nieraz ofiarności dla odbudowy kraju, dla podźwignięcia go z gruzów i popiołów wojny.

Wśród osiągnięć społeczeństwa — o różnej oczywiście skali i o nierównym znaczeniu — mają swój wyraz

\* Polska Akademia Umiejętności: «Polski Słownik Biograficzny», tom V — zeszyt 25, str. 385-480, tom VI — zeszyty 26-30, str. 1-480, tom VII — zeszyty 31 i 32, str. 1-192. Kraków, 1946-1948.

i swój ciężar wysiłki Polskiej Akademii Umiejętności, która zawsze cieszyła się w Polsce gorącym sentymentem ogółu. Niestety, — i ona dziś pracować musi wśród najtrudniejszych warunków. Pierwszy powojenny jej «Rocznik», wydany w Krakowie w r. 1946, a obejmujący lata 1939-1945, dał wymowny obraz rabunku i zniszczeń, dokonanych przez Niemców. O stosunku «Herrenvolku» do ludzi nauki w Polsce przypominać tu nie trzeba. A poza tym — majątek Akademii i jej zbiory w październiku 1939 oddane zostały na pastwę «powiernika» Sommerkampfa; — personel administracyjny rozpedzono, pieniądze w bankach, w kasie podręcznej i nawet drobne wpływy bieżące z wydawnictw — zajęto, budynki w Krakowie i Warszawie oddane na potrzeby niemieckich urzędów, bogata bibliotekę zrazu opieczętowano, a niebawem przeniesiono do gmachu Biblioteki Jagiellońskiej i wcielono do tzw. Staatsbibliothek na podstawie niemieckiego zarządzenia o «scentralizowaniu» krakowskich księgozbiorów; cenne zbiory naukowe w dużej części wywieziono, w części z niemieckiego punktu widzenia «nieważnej» usunięto lub po prostu wyrzucano. Rocznik 1946 mówi, że niektóre z wywiezionych zbiorów wróciły i były porządkowane, — nie wiemy tu, czy w ciągu dwóch ostatnich lat wróciły inne i w jakim stanie. Niejedno uratowano za okupacji niemieckiej dzięki ofiarności, poświęceniu, odwadze niektórych osób. Wyrzucone przez Niemców obrzydmie i bezcenne materiały do słownika staropolskiego — owoc wielu lat pracy kilku uczonych (Łosia, Estreichera, Nitscha) udało się zebrać i przenieść w nowym gmachu Biblioteki Jagiellońskiej. Materiały do słownika łaciny średniowiecznej ukryty w jednym z archiwów. Bogata kartoteka Polskiego Słownika Biograficznego

znalazła bezpieczne schronienie w mieszkaniach prywatnych. Prace naukowe, we wrześniu 1939 r. znajdujące się w drukarni uniwersytetu Jagiellońskiego, nie tylko uratował, lecz z narażeniem życia wydrukował przy pomocy zaufanych pracowników Józef Filipowski, długoletni zarządca tej drukarni. Po ustąpieniu Niemców dopiero w r. 1945 mogła Akademia wrócić do swej przerwanej działalności. Do zadań najpilniejszych należało skupienie wywiezionych i rozproszonych zbiorów oraz ich uporządkowanie, kwestią nie mniej palącą było uporządkowanie spraw majątkowych, bo oplakana dzięki Niemcom sytuacja materialna nie pozwalała roztoczyć opieki nad nauką, ani subwencjonować badań, ani wznowić akcji wydawniczej — i to w chwili, gdy czekało na druk ponad 80 prac naukowych z różnych dziedzin. Majątki ziemskie i inne Akademii, przed wojną będące główną podstawą jej budżetu, w r. 1945 objęte zostały ustawą o reformie rolnej, — zabiegi o uchylene wykonania ustawy przynajmniej w stosunku do majątków leśnych — o ile nam wiadomo — rezultatu żadnego nie dały. O ciężkiej pod tym względem sytuacji świadczy powtarzany na okładkach «Słownika» apel do społeczeństwa — o pomoc: «jeżeli przed wojną bogactwo naszej treści i poziom opracowania zależały od zainteresowania tysięcy ludzi wykształconych, to nadal owa zależność będzie jeszcze silniejsza — im więcej prenumeratorów będzie miało Słownik, tym wyższy osiągnie on poziom, tym punktualniej będzie wychodził, tym lepiej spełni swe zadanie».

Drugim ciężkim problemem jest stan dzisiejszych źródeł i aparatu technicznego. Wojna i okupacja pożarły całkowicie lub zdewastowały bardzo poważnie zarówno państwowe biblioteki, archiwa, muzea, jak i zbiory prywatne. Redakcja w apelu stwierdza, że przedwojenne zeszyty pracy «doznały straszliwych zniszczeń» — «niektóre są w stanie przebudowy» — «wiele z tych źródeł, które czytelnicy znajdowali cytowane pod artykułami, już nie istnieje». Odbija się to ujemnie na wydanych zeszytach i — niestety! — odbijać się będzie nadal. W związku z tym pozostaje apel do społeczeństwa nie tylko o poparcie materialne. Nie można odtworzyć źródeł, straconych przez ogień wojny, zniszczo-

nych lub wywiezionych na nieznany los. Ale można niejedno uratować z pamięci uczestników i świadków zdarzeń. «Musimy — woła Redakcja w apelu — tym pilniej koordynować swe wysiłki» — «zestawiać informacje uboczne i pośrednie»: «wzywamy wszystkich przyjaciół Słownika, aby utrzymywali kontakt z głównymi ogniskami pracy biograficznej, którymi kierują — każdy w zasięgu swego działania — członkowie Komitetu Redakcyjnego; niezależnie od akcji, jaką wdroży Komitet, należy zachęcać się nawzajem do pisania pamiętników i autobiografii, do gromadzenia i udostępniania materiałów».

Nie mniej poważnym, nie mniej ciężkim problemem jest sprawa straszliwie przez wojnę przerzedzonych szeregów pracowników naukowych. Z przedwojennego grona Komitetu Redakcyjnego «ubyło kilka sił pierwszorzędnych» — współpracowników — «współpracowników — wyrwała wojna stukilkudziesięciu. «Komitet został uzupełniony, ale nowych stu autorów stworzyć będzie nielato». Dołączony do omawianych zeszytów wykaz współpracowników tomu V (cztery pierwsze jego zeszyty wyszły w r. 1939, zeszyt ostatni, piąty — w r. 1946 — obejmuje 250 nazwisk; z tego — zmarło w okresie wojny w różnych okolicznościach 58. Na emigracji — bez zamiaru powrotu do kraju w dzisiejszych warunkach — przebywa kilkunastu, na pewno — w zasięgu moich wiadomości — 12. Z tych przebywających poza Polską tylko profesor Kot w okresie swego ambasadorstwa w Rzymie pracował dla wznowionego Słownika. Strata więc w szeregach współpracowników dla jednego tomu wyraża się w stosunku co najmniej 70 na 250.

Nie cofnąłem się przed głębszym spojrzeniem w tę ponurą prawdę o wojennych stratach naszej kultury. Słownik Biograficzny w założeniu podawać ma życiorysy osób, które odegrały rolę w życiu politycznym, społecznym i kulturalnym narodu polskiego; znaleźć tu mają miejsce dla siebie «osoby czynne w polskim życiu państwowym i narodowym w kanzdoesnych państwa polskiego w granicach przedwojennych aż do traktatów granicznych, zawartych przez Rzeczpospolitą odbudowaną» — ponadto «osoby czynne w życiu politycznym, społecznym i kulturalnym Polski na ziemiach utraconych i na



obczyźnie», wreszcie — «Polacy czynni w środowiskach obcych, o ile nie ulegli całkowicie wynarodowieniu». Według moich obliczeń — ośmiem omawianych tu zeszytów, obejmujących 900 lat naszej historii, dają 1126 życiorysów (od Drohojowski do Gabryelski, a więc właściwie dwie tylko pełne litery alfabetu). Z tego przypadku życiorysów na wiek XI — 3, w. XII — 3, w. XIII — 17, w. XIV — 43, w. XV — 52, w. XVI — 93, w. XVII — 139, w. XVIII — 134, w. XIX — 338 i na pierwszą tylko, niepełną jeszcze, połowę wieku XX — 304. Z tych 304 życiorysów z bieżącego stulecia przypada na okres 1901 do 1 września 1939 r. — 229, na okres po 1. IX. 1939 r. — 75. Wymowa tych cyfr pogłębi się jeszcze bardziej, gdy podliczymy, że na cztery lata pierwszej wojny światowej mamy tylko 27 życiorysów, na dwa dalsze lata wojenne, a więc 1919 i 1920 — tylko 12. Z tych 39 Polaków z okresu 1914-1920 śmiercią naturalną zmarło 31, poległych na wojnie 1914-1918 było tylko 3, poległych w 1919-1920 tylko 2, zmarłych z ran — 2, i jeden — ksiądz Napoleon Dyakowski — w r. 1920, w czasie czerwonej inwazji aresztowany przez bolszewików w Wilnie, «zginął bez śladu». Tymczasem — z 75 życiorysów z okresu po 1. IX. 1939 na zmarłych śmiercią naturalną przypada 28, przy czym w wielu wypadkach śmierć nastąpiła wskutek ciężkich warunków życia pod okupacją. Natomiast — rozstrzelanych, powieszonych i zatrutych w komorach gazowych mamy 16, zmarłych wśród tortur w różnych obozach — 13, zmarłych w powstaniu warszawskim lub na skutek bombardowania lotniczego mias: polskich — 3, zamordowanych przez okupantów — 1, zmarłych wskutek wycieńczenia po powrocie z obozów lub w nędzy pod okupacją — 13. Taki to obraz strat kultury polskiej daje Słownik w dwóch pierwszych powojennych tomach — i, trudno byłoby się pocieszać, że tomy następne wyglądałyby mniej ponuro.

Przeglądając bardzo uważnie zeszyt po zeszyt, szukałem przede wszystkim odpowiedzi na pytanie, jak wyglądają tu czasy najnowsze. Niestety, — wylaniający się stąd obraz jest jednostronny, choć według zasad wydawnictwa, Słownik zawierać ma informacje «bez tendencji poli-

tycznej ani moralizatorskiej» i «uwzględnić równomiernie wszystkie czasy, dzielnice i dziedziny».

Mimo konspiracyjnego charakteru życiorysów — okres potwornej okupacji niemieckiej znajduje tu dla siebie odbicie wyraźne, wielostronne, prawie pełne. Bombardowanie miast polskich we wrześniu, oblężenie Warszawy, kampania wrześniowa, upiorne powstanie sierpniowe w Warszawie, konspiracja przeciwniemiecka, tajna prasa, tajne nauczanie, armia krajowa, dokonywane przez nią zamachy, akcje dywersyjne i większe bitwy jej oddziałów z Niemcami, — obok tego armia polska na Zachodzie, udział jej w bitwie o Francję i W. Brytanię, internowana dywizja w Szwajcarii, kurierzy i zakonspirowane punkty na terenie zagranicznym dla łączności krajowego podziemia z rządem polskim w Londynie, i równoległe do tego — aresztowanie krakowskich profesorów i wywiezienie ich do Oranienburgu, straszliwe obozy w Oświęcimiu, Dachau, Sachsenhausen, Buchenwald, Mauthausen, więzienia niemieckie w Polsce, w Gdańsku i Berlinie, dokonywane przez Niemców rozstrzeliwania i egzekucje masowe, krwawe represje, ghetto, przesładowania i ukrywanie się Żydów, rozstrzelowanie całych rodzin polskich za przechowywanie choćby jednego Żyda, hańbienie się bardzo nielicznych Polaków przez dobrowolne zapisywanie się na wołkliste, straszliwe ciężkie warunki egzystencji — w nędzy i głodzie, częste zgony z wycieńczenia i złośliwej anemii albo wypadki takie, jak z profesorem o światowej sławie, który na to, aby żyć, musi pracować jako stróż nocny, — wszystko to gra na kartach Słownika bardzo mocnymi echem i układa się w ponurą, potworną symfonię narodowego nieszczęścia i męki.

Zgola inaczej wygląda wszystko, gdy się szuka rąk czy śladów sąsiada ze wschodu. W ośmiu zeszytach Słownika nie znalazłem ani jednej, choćby zawołowanej wzmianki o nędzy, wepchniętym w plecy armii polskiej w dn. 17 września 1939 — nie ma ani jednej wzmianki, o N.K.W. D. na naszych kresach, o deportacjach, o wzięciach i łagrach w Sowieciech. Nie było okupacji sowieckiej w Polsce; nie było dokonanych rabunków i gwałtów. W ośmiu zeszytach Słownika — na przestrzeni 768 jego dużych stron — spotkałem

się w dwóch czy trzech tylko wypadkach z ogólną i ostrożną wzmianką, jak np. w życiorysie St. Dubois, że we wrześniu 1939 «znalazł się na terenach, zajętych przez Związek Radziecki». Najczęściej po prostu ktoś «po długiej, przymusowej wędrowce» umiera w «nieznanych okolicznościach», tak, że nie sposób ustalić «miejsca i czasu». Oto kto inny nawet nie zginął, tylko po prostu «zmarł w Katyniu» — i nie nie mówi Słownik o tym, jakie to drogi zaprowadziły tę ofiarę z Łucka do lasu nad Dnieprem. Takich przykłądów można oczywiście przytoczyć więcej, zatrzymam się tu jednak nad dwoma tylko najbardziej jaskrawymi wypadkami. Oto — profesor Edward Dubanowicz. Wydane w Glasgow w r. 1945 — bardzo powściągliwe i skąpe w szczegółach o Rosji «Straty kultury polskiej» piszą, że 6.X.1939 w stosunku do Dubanowicza zapadła uchwała o «wyrzuceniu» go z majątku; przeniósł się do Lwowa i po pół roku «doświadczeń pod rządami sowieckimi» Dubanowicz w nocy z 12 na 13 kwietnia 1940 otrzymuje rozkaz «dania się niezwłocznie» wraz z rodziną, a «z przysłanymi po nich żołnierzami policji rosyjskiej na dworzec do jednego z licznych już wówczas pociągów, przepełnionych zesłańcami». Osiemnaście dni potwornej podróży — Kijów, Saratów, Uralsk, Kazalińsk do Alma Aty — z przydziałem «jako służba na roli i przy bydle» w sochozie Myn-Bułał w Kazachstanie. «Z początku mieszkali w 15 osób, z krewnymi wziętymi ze Lwowa jednocześnie, w stajni dla cieląt, a potem wybudowali sobie z suszonych w słońcu cegieł z ziemi sechorn, licho odporny na tamtejsze mrozy, dochodzące do 60 stopni Celjusza». Po układowie lipcowym z r. 1941 Dubanowicz odzyskuje wolność, pracuje jako mąż zaufania ambasady polskiej — było to «dalsze bolesne przeżycie zetknięcia się z takim bezmiarem nędzy, cierpienia i grozy, że każde wejście wyznańca do izby było nowym wstrząsem»... W grudniu 1941 Dubanowicz zgłasza się jako oficer do wojska i na wiosnę 1942 wraz z rodziną opuszcza Rosję; do Londynu przybył «bardzo wycieńczony» — «serce, nerki gonili resztkami»; «cień dawnego człowieka» — zmarł też niebawem, bo 18.X.1943. A w Słowniku — choć w ubogiej bibliografii pod artykułem powołuje się jako na swe źródło na te właśnie

glasgowskie «Straty kultury» — znajdujemy taką tylko opowieść: «23.IX.1939 Hutę Szklaną zajęły wojska sowieckie, 6.X. rodzina Dubanowicza wyjechała do Lwowa, 13.IV. 1940 otrzymała wraz z Dubanowiczem rozkaz wyjazdu ze Lwowa do Myn-Balaku w Kazachstanie; po układowie polsko-rosyjskim 30.VII.1941 Dubanowicz zajął się jako delegat pomocą dla rodaków; w grudniu ambasada mianowała innego delegata, a Dubanowicz zgłosił się do wojska — w sierpniu 1942 dotarł z rodziną do Londynu»... Wystarczy samo zestawienie tych dwóch wyjątków — komentarze wszelkie są oczywiście zbyteczne.

Jest jednak przykład stokroć jaskrawszy. W r. 1942 wielkie oburzenie w całym świecie i niejedną falę protestów wywołała sprawa dwóch bundowców z Polski — Erlicha i Altera. Pierwszy — urodzony w Lublinie, drugi w Warszawie. Całe życie spędził w Polsce. Byli członkami Komitetu Wykonawczego Bundu i Komitetu Wykonawczego 2-iej Międzynarodówki. Wiktor Alter był w dodatku członkiem Międzynarodowej Federacji Związków Zawodowych. Przed wojną 1939 organizowali wśród Żydów polskich ligę antyhitlerowską. We wrześniu 1939 r. znaleźli się na polskich kresach i tam — po wkroczeniu do Polski armii sowieckiej — zostali od razu aresztowani. Henryk Erlich więziony był w Butyrkach i osobiście przez Berię przesłuchiwany. Dochodzenia szły w kierunku imputowania Bundowi i socjalistom terroru na terenie Z.S.S.R. oraz współpracy z «faszystami». Alter, choć więziony gdzie indziej, oskarżany był o to samo. Po układowie lipcowym 1941 wypuszczono i ich na wolność jako obywateli polskich. Za zgodą władz sowieckich rozpoczęli pracę nad organizacją komitetu antyhitlerowskiego, przy tym Alter pracował w ambasadzie polskiej, Erlich — powołany do polskiej Rady Narodowej w Londynie — miał wyjeżdżać do Anglii. Nagle jednak — w nocy 3 grudnia 1941 — zostali ponownie aresztowani pod absurdalnym zarzutem «pracy na rzecz Niemiec». Interwencje ambasady polskiej nie dały żadnego rezultatu. 28 stycznia 1942 Narkomindel zwraca ambasadzie paszport polski Erlicha, oświadczając, że jest on «obywatелем sowieckim», bo «wszyscy obywatele zachodnich okręgów Ukrainy i Białoruskiej



S.R.R., którzy znajdowali się na terytorium wskazanych okręgów 1 i 2 listopada 1939 r., nabili obywatelstwo sowieckie». Uwzięzionym ponownie — zarzucano «wrogą działalność» i «nawoływanie oddziałów sowieckich do niepodważenia walki z Niemcami». W dn. 23 lutego 1942 ambasador sowiecki w Stanach Zjednoczonych M. Litwinow powiadomił oficjalnie przedstawicieli Federacji Pracy, że Alter i Erlich, aresztowani ponownie pod zarzutem «prawniania agitacji na rzecz odrębnego pokoju z Niemcami» — zostali przez władze sowieckie skazani na śmierć i w grudniu 1941 rozstrzelani.

Alter nie mógł być wprowadzony do wznowionego «Słownika Biograficznego», bo zeszyty z nazwiskami na literę A zostały już wydane przed wojną. Dla Erlicha wszakże nie mogło zabraknąć miejsca w wydanym po wojnie zeszycie 28-ym. Życiorysu jego jednak w Słowniku — nie ma. Nie można tego jaskrawego braku uzasadnić i wytłumaczyć żydowskim pochodzeniem rozstrzelanego. W Słowniku pełno życiorysów żydów polskich — od Kazimierzowej Esterki do zmarłych i zamordowanych w ghetcie warszawskim lub uduszonych w komorach gazowych. Są też w Słowniku życiorysy niewątpliwych cudzoziemców, jak np. Józefa Frantska, Czecha — pilota, przydzielonego do polskiego dywizjonu lotniczego w W. Brytanii. Nie sądzę też, by postać Erlicha, wybitnego działacza politycznego w Polsce, można było szacować niżej od Mordka Fajermana, który wзира ku nam z kart Słownika jako ostatni żydowski cymbalista w Warszawie. Jest tylko jedno wytłumaczenie — to miłanowicie, że Redakcja Słownika **musiała** stanąć na stanowisku, że Erlich przez swój pobyt w więzieniu na kresach polskich w październiku i listopadzie r. 1939 uzyskał «zaszczyt» zmiany obywatelstwa polskiego na sowieckie, i stracił prawo do występowania w historii obok innych Żydów polskich.

I jeszcze jeden brak wśród życiorysów — brak nie zupełnie dla mnie zrozumiały. Tu przeprosić muszę Czytelnika, bo nie chcąc — mówić muszę o sobie. Przed wojną miałem zaszczyt współpracować z krakowską Akademią i pisać życiorysy dla tegoż Słownika. Teraz — biorąc do rąk te wydane już po wojnie zeszyty — z pewnym zdumieniem ujrzałem swoje pełne nazwisko w dołączonym

wykazie współpracowników tomów V i VI. Wewnątrz zeszytów, wydanych już po wojnie, figurują również jako autor. Akademia i Redakcja jest tu w porządku najzupełniejszym. Okazuje się, że artykuły moje, napisane i wysłane do Redakcji przed wojną, ocalały i teraz dopiero zostały wyzyskane. Pamiętam, że te ostatnie swoje artykuły złożyłem w Redakcji osobiście podczas ostatniego swego pobytu w Krakowie. Pamiętam również, że był też wśród nich napisany przeze mnie na życzenie życiorys Feliksa Dzierżyńskiego. Nie rozumiem, dlaczego dziś Dzierżyński został w Słowniku pominięty zupełnie. Jeśli mój artykuł zginął lub jeśli napisany był tak, że Redakcja wyszukać go nie mogła, — to przecież wielu historyków mogłoby przedstawić tę postać lepiej niż ja. Nie jest też Dzierżyński igłą w stogu siana, by go można było przeoczyć. Pamiętam, że pisząc o nim przed wojną, korzystałem wśród innych źródeł także i z najświeższych wówczas oficjalnych wydawnictw sowieckich. Mówiono tam o nim ze czcią — z najniższymi pokłonami — i nazywano go «szlachetnym rycerzem rewolucji bolszewickiej» choć według pogłosek, krążących zbyt uparcie, został otruty. Nazwisko jego — obok nazwiska Kirowa — przechowywane jest pieczołowicie w panteonie sowieckim. Nie dalej, jak przed kilku tygodniami — na sowieckiej galwonce propagandowej w Warszawie, w 31-szą rocznicę rewolucji październikowej, nie kto inny, tylko sam Zambrowski — i to w obecności ambasadora sowieckiego Lebediewa — powoływał się na «czynny udział patriotów polskich» w przewrocie, a Marchlewskiego i Dzierżyńskiego właśnie wymieniał jako «najbliższych współpracowników Lenina i Stalina». Mam też w tej chwili przed sobą egzemplarz krakowskiego organu P.P.R. «Dziennika Polskiego» — z portretem Dzierżyńskiego i z artykułem pt. «Bohater rewolucji październikowej». Czytam tu, że był Dzierżyński «naturą jakby z jednej bryły wykutą» i że postać jego «żyje w sercach milionów ludzi w Związku Radzieckim». Dlaczego tedy w Słowniku został pominięty? Szukając wyjaśnień — znalazłem jedno tylko i to nie gdzie indziej, jak w ostatnim dostępnym dla mnie tutaj wydaniu z r. 1946 oficjalnej sowieckiej «Historii partii» bolszewickiej. Co prawda w ostatnim przedwo-

jennym wydaniu — z tekstem, uchwalonym przez C.K. w r. 1938 i dołąd — jak zapewniają mnie wybitni znawcy przedmiotu — niezmiennym, Dzierżyński wymieniony jest kilkakrotnie, np. rozdział VII, paragraf 7 lub rozdział VIII, paragraf 5. Ale w powojennym wydaniu — jakie nam też pod ręką i może dla niewiadomych — potrzeb odpowiednio skróconym jest nieco inaczej, — «historia» ta ma podwójny charakter — apologetyczny z jednej, polemiczno-oskarżycielski z drugiej strony. Obok więc niewiele nazwisk z najbliższego otoczenia Stalina są tu nazwiska zlikwidowanych «wrogów narodu» z wyluczeniem i ponownym raz jeszcze potępieniem popełnionych przez nich zbrodni. Pominięte jest tu wszystko, co nie odpowiada potrzebom aktualnej gloryfikacji, apologetyki lub oskarżenia. Dzierżyńskiego ani po jednej, ani po drugiej stronie nie ma. Myślę, że ten drobny szczegół rzuca bardzo wymowne światło na warunki, w jakich dziś — w «wolnej Polsce» — pracować musi świat nauki i świat, mający podawać «informacje bez tendencji politycznej». Bo skoro Dzierżyńskiego w «Historii partii» — tej swoistej ewangelii sowieckiej — nie ma, to... kto to wie?... może wpadł w nielaskę?... a więc po co wplątywać się w niebezpieczne dociekanie, należy mu się pamięć w historii, czy — nie?... Dogmaty sowieckie, jak kameleony przecież, zmieniają barwę to, co wczoraj było nietykalne, dziś stracone być może z piedestału, a jutro? — kto wie? — może będzie znowu przywrócone do łask. Nie jest też rzeczą wykluczoną — i to mi jeszcze wygląda na najbardziej prawdopodobne — że zabrakło dla Dzierżyńskiego miejsca w słowniku po prostu dlatego że w Sowietach obowiązuje zasada, iż o partii, o jej historii i jej ludziach pisać mogą tylko marksiści z Instytutu Marksa-Engelsa-Lenina. I Akademia krakowska, działająca w «wolnej» Polsce, mogła już otrzymać obowiązujące instrukcje w tej sprawie.

W niewesołych swoich refleksjach — nie mogę niestety ograniczyć się do tych tylko uwag. Wiemy choćby z ostatnich — pokazowych — procesów warszawskich, że czynny udział w walce zbrojnej z Rosją jest dziś wystarczającą podstawą do gwałtownego oskarżenia i drakońskiego wyroku. Nie jest jeszcze potępiany i nie jest jeszcze karany udział w wal-

ce z Rosją carską, bo i komuniści kiedyś z nią walczyli. Wyczuwa się też w Słowniku większą swobodę i mniejszy lęk w stosunku do pierwszej wojny światowej i Legionów, choć i tu nie brakuje takiego np. curiosum, jak mające zapewne usprawiedliwić stwierdzenie, że Roman Dyboski «jako austriacki oficer rezerwy musiał walczyć na froncie przeciwrosyjskim». W życiorysie oficera i Brygady Albina Fleszara zwrócono uwagę prawie wyłącznie na jego prace naukowe w dziedzinie geologii; «rzucony w wir walk wojny światowej» — był, jak stwierdza odważnie Słownik, «gorącym zwolennikiem obozu niepodległościowego i stronnikiem Piłsudskiego, co jednak nie przeszkadzało mu współżyć z ludźmi innych przekonań; ale pałając wraz z całą organizacją, w której tkwił głęboko, nienawiścią do Rosji carskiej, miał oczy i uszy otwarte na głosy, które wieściły niemieckie niebezpieczeństwa... Natomiast dość szeroko potraktowano służbę bojową Tadeusza Furgalskiego, jednego — jak słusznie podkreśla Słownik — «z najpopularniejszych dowódców legionowych»; nie zabrakło nawet stwierdzenia, że «pamięć jego uczeń rozkaz Piłsudskiego z 11.VII.1916». Poważniejszych zastrzeżeń nie wywołuje również życiorys komendanta Legionów Karola Durskiego-Trzaski; Słownik stwierdza nawet, że Józef Piłsudski «nie bez słuszności w tym wypadku» zarzucił Durskiemu, iż «nie potrafi przeciwstawić się zapychaniu legionistami każdej dziury»; powiedziane jest nawet, że Durski «popierał plany trialistyczne N.K.N. — podczas gdy Piłsudski żądał zupełnej niepodległości, a pierwszy tego etap widział w usamodzielnieniu się Legionów spod egidy austriackiej». Gorzej natomiast — o wiele gorzej — jest już z rokiem 1920. Słownik oczywiście nie mógł tej wojny wyminąć, ani udać, że wierzy, iż nie było jej wcale. Spotkać więc można — zwłaszcza w pierwszych powojennych zeszytach — wzmianki, że był to «rok groźny», że ten walczył «jako ochotnik», tamten — wyróżnił się pracami fortyfikacyjnymi i samodzielnie obroną Koziatyna i zdobył krzyż walecznych, kto inny «za energię okazaną» odznaczony został wirtu militari, lub wreszcie inny jeszcze znalazł «śmierć na placu boju». Mówiac o obronie Lwowa, Słownik ma



jeszcze odwagę czy jeszcze ma możność stwierdzić, że był to zamach Ukraińców, którzy «przy poparciu władz austriackich opanowali prawie w zupełności to miasto». Nie ma jednak ani słowa, ani aluzji nawet, że rok 1920 to wojna z Rosją, ani tym bardziej, że była to dla oręża polskiego wojna zwycięska. I te przytoczone wyżej wzmianki — nieliczne, nieśmiałe, ogłędne, ostrożne — znikają w miarę wzrostu numeracji zeszytów. Nie brakuje też przypomnienia, że «wyprawa kijowska Piłsudskiego» była przez prawy odłam społeczeństwa «bezwzględnie potępiona».

Nieraz też spotkać można jaskrawe, gwałtowne nawet — nie licujące z zasadą obiektywizmu historycznego i «bezsrobnego informowania», ale zgodne z wymaganiami politruków z P.P.R., wycieczki i ataki na stosunki i ludzi Polski przedwojennej. Najzacieklej — i to milkakrotnie — atakowany jest Janusz Jędrzejewicz za «reakcyjną reformę» z r. 1933. Nie powaga naukowa bynajmniej, lecz pospolita demagogia wiecowa wyziera ze zjadliwych wycieczek przeciw «sanacji». Groteskowo też brzmi — zwłaszcza w zestawieniu z dzisiejszą rzeczywistością w Polsce — «zwrot, użyty w życiorysie T. Dwernickiego, który «z wielką cywilną odwagą — uwzględniając ówczesne stosunki polityczne — stanął w r. 1926 po przewrocie majowym jako obrońca w procesie, wytoczonym gen. Rozwadowskiemu». Sprawa Brzeście wyłania się w Słowniku milkakrotnie. Brześć — przeholowany mocno przez nie-mądrych i zbyt gorliwych wykonawców (a gdzież ich nie ma!) — zaszczytu Polsce nie przynosi, niestety, i nikt nie będzie kruszył kopii w jego obronie. Czemuż jednak on jest w porównaniu z niepolicezonymi łagrami w Rosji i z przepelnionymi więzieniami w Polsce dzisiejszej? Słownik w tych sprawach zachowuje grobowe zaiste milczenie, ale nie pomija żadnej okazji, by przypomnieć o «katu-szy brzeskiej». Nie wiele mają wspólnego z prawdziwą historią, ale za to mocno trącą hagiografią życiorysy działaczy najnowszej Polski «demokratycznej». Oto np. Zygmunt Felczak — przed wojną «ofiara procesów politycznych», po wojnie — dygnitarz, dokonywający «zgodnie ze swą ideologią radykalnie demokratyczną rozłam w stronnictwie pracy» — po śmierci odznaczony krzyżem Grunwaldu i «pochowany na

koszt państwa»; był on — jak informuje nas Słownik — autorem dzieła pt. «Droga wielkiej odnowy», poświęconego «charakterystyce wad narodowych» i «wydźwignięciu Polski na wyższy niż dotychczasowy szczebel rozwoju kulturalnego». Albo drugi — Ignacy Fik, wielce zasłużony już przed wojną przez swą «antysanacyjną działalność»; on to jest autorem m. inn. przełomowej czy epokowej nawet w dziejach polskiej myśli deklaracji gdzie — w r. 1940! — za ideał uznawał «Polskę ludową, demokratyczną, pojętą jako republikę socjalistyczną, w granicach bezspornie etnograficznych, związaną z sąsiednimi państwami słowiańskimi, a współpracującą z innymi republikami ludowymi».

Niewesoło mi po takiej lekturze — po tych zawartych w ośmiu zeszytach informacjach «bez tendencji politycznej ani moralizatorskiej». Pocięsząc się, że mogłoby być znacznie gorzej? Słaba to pociecha, zwłaszcza przy pewności, że w przyszłości cień potężnej pięści, regulującej życie polskie we wszystkich dziedzinach, zarysuje się w Słowniku jeszcze wyraźniej. Nie tak dawno przecież — przed kilku zaledwie tygodniami — przypuszczono w kraju szturm gwałtowny na Akademię. Na uroczystościach, związanych z 75-leciem jej istnienia, wołał Skrzyszewski: «Bez czerpania pełną garścią z przebogatychoś doświadczeń nauki radzieckiej nie pchniemy naprzód rozwoju nauki polskiej»... Precz z «przestarzałymi metodami», do walki ze «skostnieniem w badaniach naukowych»!... Wspomagał Skrzyszewskiego w tym wrzasku niejaki Polewka: «Proletariat polski chce widzieć w naukowcach sprzymierzeńców w budowie Polski ludowej»... A w koncesjonowanym warszawskim «Robotniku» H. Jabłoński gromi: «wśród naszych pracowników naukowych przytłaczająca większość to ludzie, związani z innymi niż dzisiejsze warunkami politycznymi» — «wielu z nich, choć dziś chce szczerze dla odrodzonej Polski pracować, nie rozumie rządzącej dziś w Polsce klasy społecznej, w konsekwencji nie rozumie, jak temu państwu służyć»... Zgodnie z tymi stwierdzeniami — dotychczasowy redaktor Słownika prof. Wł. Konopczyński został już przeniesiony na emeryturę. Na opróżnione stanowiska wejdą ludzie, którzy — według słów tegoż Jabłońskiego —

«nie mieli możliwości przyzdobienia swych nazwisk doktorskimi tytułami» — ale dobrze rozumieją, jak należy dla «odrodzonej Polski pracować». Oni też — bezpośrednio czy innymi drogami — decydować będą o obli-

czu i treści następnych zeszytów Słownika...

Ale — jak powiedziałem już w tytule — dłużej przecież klasztoru niż przeora!..

**Wł. POBÓG-MALINOWSKI.**

Pisałem 15-22 listopada 1948.

Na skutek ogólnej zwyczajki kosztów wydawniczych jesteśmy zmuszeni podnieść z dniem 1 stycznia 1949 cenę zarówno prenumeraty jak i pojedynczego numeru „Kultury”.

Pojedynczy numer kosztować będzie .....	120 frs.
Prenumerata roczna .....	1200 frs.
Prenumerata półroczna .....	650 frs.

Dochodzą do tego kosztu przesyłki: pojed. nr. 20 frs., przy prenumeracie rocznej 240 frs. i półrocznej 120 frs.

Pragnąc jednak przyjść z pomocą naszym dotychczasowym czytelnikom, przyjmujemy do końca grudnia br. prenumeraty na przyszły rok według dotychczas obowiązujących stawek, tzn. rocznie 800 frs., półrocznie 500 frs., plus koszty przesyłki jak wyżej.



**(Prosimy wypełnić i wysłać)**

Do:

THE VISTULA PRESS LTD.

86, Avenue Road, London N. W. 8.

Zamawiam niniejszym prenumeratę „KULTURY” na okres

pół roku — za cenę sh. 16.

jednego roku — za cenę £ 1. 10. 0.

*(Prosimy oznaczyć krzyżykiem wybraną prenumeratę)*

Proszę o wysyłanie do mnie pisma, poczynając od wydania  
za miesiąc .....

O każdorazowej zmianie swego adresu będę Panów zawczasu  
powiadamiał, dołączając 1 sh. na koszty sporządzenia nowej  
matrycy adresowej.

Imię, nazwisko, dokładny adres: .....

(drukowanymi literami)

**(Prosimy wypełnić i wysłać)**

Do:

LIBRAIRIE « LIBELLA »

12, rue St-Louis en l'Île, Paris IV<sup>e</sup>.

Zamawiam niniejszym prenumeratę „KULTURY” na okres

pół roku — za cenę 500 frs.

jednego roku — za cenę 800 frs.

*(Prosimy oznaczyć krzyżykiem wybraną prenumeratę)*

Proszę o wysyłanie do mnie pisma, poczynając od wydania  
za miesiąc .....

O każdorazowej zmianie swego adresu będę Panów zawczasu  
powiadamiał, dołączając 10 fr. na koszty administracyjne.

Imię, nazwisko, dokładny adres: .....

(drukowanymi literami)

# KULTURA

pod redakcją Jerzego Giedroycia

Cena egzemplarza:

we FRANCJI 90 fr.; w W. BRYTANII 3 sh.; we WŁOSZECH 200 lir;  
w SZWECJI 2,50 kor.; w NIEMCZECH 2,50 Mk.; w SZWAJCARII 1,80 fr. szw.  
w BELGII 20 fr. belg.; w ARGENTYNIE 2,50 peso.

Warunki prenumeraty:

we FRANCJI: roczna 800 fr.; ½-roczna 500 fr.  
w W. BRYTANII: roczna 1 £ 10 sh.; ½-roczna 16 sh.  
we WŁOSZECH: roczna 2000 lir; ½-roczna 1200 lir  
w SZWECJI: roczna 22 kor.; ½-roczna 12 kor.  
w NIEMCZECH: roczna 25 Mk.; ½-roczna 15 Mk.  
w SZWAJCARII: roczna 18 fr.szw.; ½-roczna 10 fr.s.  
w USA i Kanadzie: roczna 6 dol., ½-roczna 4 dolary  
w ARGENTYNIE: roczna 25 peso; ½-roczna 15 peso  
w BELGII: roczna 180 fr.b.; ½-roczna 100 fr.b.

Cena ogłoszeń: cała strona 6.000 fr. fr.; ½ strony 4.000 fr. fr.

Przedstawicielstwa:

W W. BRYTANII: „GRYF” Publications Ltd., 59/61 Hatton Garden, London, E.C.1.  
We FRANCJI: Librairie « Libella », 12, rue St-Louis en l'Île — Paris (IV<sup>e</sup>)  
We WŁOSZECH: Jan Grochow. ki, 81, via della Croce, Roma  
W SZWECJI: «Wiadomości Polskie», Riddaregatan 25/1 ö. g., Stockholm.  
W NIEMCZECH: Wydawnictwo «Kronika», (16) Eppstein (Taunus), Hotel  
Bienberg, U. S. Zone.  
W SZWAJCARII: Redakcja «Pod Prąd», — Fribourg 2, Case 10  
W ARGENTYNIE: Składnica Książki Polskiej «Libreria Polaca», Av. Leandro  
N. Alem 641, Buenos Aires.  
W KANADZIE: Polska Agencja Książek i Czasopism, 636 Queen St. West,  
Toronto, Ontario.  
W U.S.A.: zamówienia i wpłaty kierować: „Harvard Trust Company”,  
Harvard Square, Cambridge, Mass., na konto M. K. Dziewanowski.  
W BELGII: do nabycia w Librairie et Bibliothèque „Slave”, 13, rue de  
Roumanie, Bruxelles.

Adres Redakcji: Librairie «Libella», 12, rue St-Louis en l'Île, Paris IV<sup>e</sup>.  
Telefon: Maisons Laffitte (S.-et-O.) 19-04

Redaktor przyjmuje po uprzednim porozumieniu się  
listownym lub telefonicznym

Redakcja KULTURY rękopisy nadesłane a nie zamówione zwraca  
jedynie przy załączeniu znaczków pocztowych na porto

KULTURA omawia w pierwszym rzędzie książki i czasopisma  
nadsyłane do redakcji w 2-ch egzemplarzach



Już ukazała się książka  
STANISŁAWA GRYZIEWICZA  
pod tytułem

## ŚRODKI POLITYKI GOSPODARCZEJ

i jest do nabycia w redakcji „Kultury” jak również we  
wszystkich przedstawicielstwach.

Cena egzemplarza: we Francji 250 frs., w W. Brytanii 7/6.

W pierwszych dniach stycznia ukaże się dawno zapowia-  
dana książka JÓZEFA CZAPSKIEGO pt.:

## NA NIELUDZKIEJ ZIEMI

Można ją już zamawiać w Redakcji „Kultury” lub w  
przedstawicielstwach.

Cena we Francji — 380 frs., w W. Brytanii — 9/7.

Zawiadamiamy prenumeratorów i czytelników, że  
przedstawicielem „KULTURY” i INSTYTUTU  
LITERACKIEGO na W. Brytanię od lipca rb. jest

## „GRYF” Publications Ltd.

59/61, Hatton Garden, LONDON, E.C. 1

Tel.: CHAncery 5094

*We wszelkich sprawach związanych z prenumeratą  
„Kultury”, zamówieniami książek itp., prosimy zwracać  
się do wymienionej firmy*